MAGAZYN

Ostatni rozdział z dziejów polskiej mocarstwowości: zajęcie Zaolzia
– Str. 18

Jerzy Antczak, reżyser kultowych „Nocy i dni”, o nowym serialu pod tym tytułem
– Str. 20-21

Telemagazyn z programem TV i zapowiedzią najciekawszych filmów, seriali i programów

Nr ISSN 2353-6152
Nr indeksu 350-206
9 772353 615057 40

www.gazetawroclawska.pl

Nr 229 | Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Piątek, 2.10.2026

78 lat

Gazeta WROCŁAWSKA

Relaks

Krzyżówki do kawy. Nowości w programie TV

Wrocław

Obwodnicę budują nawet w nocy. Widać już nawet półtunel

Kierowcy nie mogą się już doczekać domykającego całość fragmentu Wschodniej Obwodnicy Wrocławia. Prace są prowadzone nawet w nocy
– Str. 3

Wrocław

Dr Gizela Jagielska ma kierować ginekologią na Brochowie

Ginekolożka, która stała się znana po przeprowadzeniu aborcji w 9. miesiącu ciąży w Oleśnicy, będzie pracować w szpitalu im. A. Falkiewicza
– Str. 8

USA. Koszulka Michaela Jordana sprzedana za ponad 12 mln dolarów. Koszykarz grał w niej w 1998 roku w finale przeciwko Utah – Str. 10

Sport. Danny Franco, trener koszykarzy Śląska Wrocław, po przegranym meczu EuroCup z Budućnością Podgorica: Nie szukamy wymówek
– Str. 32

FOT. EUROLEAGUEBASKETBALL.NET

FOT. CZYTELNIK

Dolny Śląsk

„Kukiriniarze” pędzą nawet sto na godzinę. Ilość wypadków rośnie...

„Kukiriniarze” to młodzi użytkownicy szybkich hulajnóg elektrycznych. Za tą prześmiewczą nazwą kryją się jednak wypadki, poważne obrażenia i kłopoty policji z ustaleniem, czy pojazd może legalnie poruszać się po drogach
– Str. 6

– Staram się być solidnym, rzetelnym emerytem

Rozmowa z Lechem Janerką

Lech Janerka coś nuci pod nosem, przygrywa sobie na gitarze. I opowiada... – Str. 16–17

FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

eprasa.pl 2b902aabc5

POLECAMY

JUTRO Wycieczki po relaks i zdrowie PONIEDZIAŁEK Wydarzenia sportowe weekendu

2.10.2026
Piątek

Dziś imieniny: Ambrożego, Bohdana i Małgorzaty
Telefon alarmowy: 112

GAZETA WROCŁAWSKA

Redaktor naczelna Maja Majewska
Z-ca redaktor naczelnej Mateusz Różański
Wydawcy Grzegorz Chmielowski, Cyprian Dmowski, Janusz Michalczyk

www.gazetawroclawska.pl

Polska Press Makroregion Zachód
Redakcja ul. św. Antoniego 2/4 (wejście A, I p.), 50-073 Wrocław
tel. 71 37 48 151, 71 37 48 100
redakcja@gazeta.wroc.pl
Prezes Makroregionu Robert Glinkowski
Dyrektor marketingu oddziału Anna Bijak-Bednarska
Druk Polska Press Oddział Poligrafia, 41-203 Sosnowiec Milowice, ul. Baczyńskiego 25a

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa, tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy Elżbieta Żuraw
Redaktor naczelny Polska Press Grupy Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

PBC

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.gazetawroclawska.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Komentarz

Janusz Michalczyk: Superinteligencja na horyzoncie, czyli komedia pomyłek

publicysta

Z oficjalnych dokumentów amerykańskich znika sztuczna inteligencja (AI). Prezydent Donald Trump ogłosił, że zamiast tego określenia będzie używać terminu „superinteligencja". Najwyraźniej został przekonany przez szefów potężnych firm technologicznych, że już za moment zwykła, ludzka inteligencja pozostanie daleko w tyle. To dość zabawne, bo jednocześnie ci sami ludzie straszą nas nieuchronnym końcem cywilizacji, jaką znamy. Co zatem ma być takie super?

Niezależni analitycy widzą w tym straszeniu przewrotną próbę przyciągnięcia inwestorów do firm, które już przetrawiły grube miliardy dolarów i są w stanie wchłonąć dowolną ilość pieniędzy. „Superinteligencja" jest obietnicą olbrzymich zysków, choć dziś nikt nie ma pojęcia, w jaki sposób je wygenerować. Zanosi się na krach - jak to już bywało w historii, zarobi kilku cwaniaków, a rzesza frajerów pożegna się z oszczędnościami i majątkami.

Podobno niektóre systemy zwane agentami AI stały się niezależne, co i rusz próbują wymknąć się spod kontroli. W istocie wszystkie dotychczasowe doniesienia o ich wybrykach okazały się mocno naciągane, bo za każdym razem umożliwiał je jakiś banalny ludzki błąd. Wygląda na to, że ci agenci sami z siebie są bezradni jak przedszkolaki. Nie zagrażają nam obdarzone własną świadomością systemy, lecz sterujący nimi beztroscy, niekompetentni osobnicy.

W rzetelnych dyskusjach o AI powtarzają się uwagi o tym, że te systemy coraz lepiej naśladują ludzi, ale skoro nie mają ciała w sensie biologicznym - nie ma mowy o prawdziwych emocjach. Owszem, ten czy ów zakocha się w smartfonie gadającym do niego czule, jednak będzie to epizod z komedii pomyłek.

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Gazetę Wrocławską"

tel. 71 727 62 37
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.gazetawroclawska.pl

POGODA

dziś
23°C/10°C

jutro
21°C/7°C

WOKÓŁ NAS

Sprawdziliśmy, co się dzieje z butelką, której nie przyjmie butelkomat

Agnieszka Domka-Rybka

Nie za każdą plastikową butelkę czy metalową puszkę otrzymamy zwrot kaucji. Część opakowań trzeba po prostu wyrzucić do odpowiedniego kosza. Niestety, niektórzy klienci, gdy maszyna „wypluje" opakowanie, wyrzucają je obok butelkomatu, robiąc duży bałagan.

FOT. JAN JELIŃSKI

Większość butelek oddajemy w dużych sklepach

Nasza Czytelniczka była świadkiem takiej sytuacji przed jedną z Biedronek.

- Młody mężczyzna wrzucał plastiki do butelkomatu. Maszyna nie chciała przyjąć jednej butelki, próbował kilka razy. Nie wiem, może była zgnieciona lub, po prostu, nie miała znaku kaucji, więc butelkomat ją wypluwał. W pewnym momencie mężczyzna stracił wyraźnie cierpliwość i kopnął tę butelkę obok kaucjomatu. Rzuciłam okiem, a tam było więcej porozrzucanych opakowań. Widać, inne osoby też zostawiły nieprzyjęte butelki przy maszynie. Nie rozumiem takiego zachowania, to zwykły brak kultury. Tym bardziej mnie to dziwi, bo obok stał wielki kosz. Był... pusty. Ale nie, ludzie wolą zostawić po sobie syf! - krytykuje pani Edyta.

Za jakie butelki i puszki otrzymamy zwrot kaucji

Jak powszechnie wiadomo, system kaucyjny rządzi się swoimi prawami. Maszyna przyjmie tylko te butelki i puszki, które:

- nie są zgniecione,
- mają oryginalny kształt
- czytelną etykietę
- muszą być nienaruszone.

Jeśli więc ktoś niechcący zgniecie opakowanie, to może zapomnieć o zwrocie pieniędzy. W takiej sytuacji zamiast naliczenia zwrotu pojawi się komunikat o odrzuceniu i takich pojemników. Butelkomat rozpoznaje nie tylko kod kreskowy, ale również formę butelki.

Nieważne, że przez lata byliśmy przyzwyczajeni do tego, że butelki PET i aluminiowe puszki najlepiej zgniatać - system kaucyjny ma swoje zasady.

Jakie butelki przyjmuje? Są to:

- plastikowe butelki jednorazowe (PET) o pojemności do 3 litrów (woda, napoje gazowane, soki w plastikowych opakowaniach);
- puszki metalowe o pojemności do 1 litra (napoje energetyczne, piwo, napoje smakowe w puszkach);
- butelki szklane wielokrotnego użytku o pojemności do 1,5 litra (piwo, oranżada czy woda).

Co się zmieni w butelkomatach?

Tymczasem rząd planuje zmiany w systemie kaucyjnym. Butelkomaty czeka spora rewolucja, ponieważ będą musiały „otworzyć się" na nowe opakowania, czyli to nie będą już tylko wspomniane puszki, butelki plastikowe i szklane wielokrotnego użytku (do 1,5 l), ale także inne opakowania, jak np. kartony po napojach czy popularne „małpki". Paulina Hennig-Kloska, ministra klimatu, potwierdziła w rozmowie z mediami, że decyzja w tej sprawie już zapadła.

Pierwsze zmiany mają zacząć obowiązywać w 2027 roku, a pełne wdrożenie zaplanowano na 1 stycznia 2029 roku.

Jeśli zaś chodzi o opakowania po sokach i mleku, to one mają zostać objęte systemem Rozszerzonej Odpowiedzialności Producenta (ROP). Te opakowania - oczywiście opróżnione wciąż będą „lądować" w żółtym worku na metale i tworzywa sztuczne. Koszty ich recyklingu będą ponosić firmy produkujące żywność w kartonach.

Tak sprawdza się system kaucyjny

Polacy coraz częściej spotykają się z możliwością zwrotu butelek i puszek nie tylko w dużych sieciach, lecz także w mniejszych, lokalnych sklepach.

W skali kraju 13 proc. wszystkich zebranych butelek i puszek pochodzi z małych sklepów o powierzchni poniżej 200 mkw., a 87 proc. z placówek powyżej 200 metrów – wynika z danych Polskiego Systemu Kaucyjnego. ©℗

eprasa.pl 2b902aabc5

WROCŁAW/DOLNY ŚLĄSK

• Dyżur reportera
email: redakcja@gazetawroclawska.pl
Facebook: @GazetaWrocławska

DOLNY ŚLĄSK

Złodzieje paliwa szturmują stacje benzynowe? Wiemy, gdzie kradną najczęściej

Karolina Kwiatek

Tylko w tym roku na Dolnym Śląsku zgłoszono ponad 2600 kradzieży na stacjach benzynowych. Czy na tę liczbę mają wpływ rosnące ceny paliw? Zapytaliśmy o to policję.

Od stycznia do końca sierpnia br. policjanci interweniowali ponad 2600 razy w związku z kradzieżami, do których miało dochodzić na stacjach benzynowych na Dolnym Śląsku. Zgłoszenia dotyczyły zarówno kradzieży ze sklepów na stacjach (np. alkoholu czy batoników), jak i samego paliwa (nawet w 80 proc. przypadków).

Komisarz Przemysław Ratajczyk z KWP we Wrocławiu zaznacza, że mimo to mundurowi nie wiążą liczby kradzieży ze wzrostem cen paliw. To dlatego, że w 2025 roku było ich więcej, choć paliwa były tańsze.

- Porównując aktualne dane z zestawieniem za ubiegły rok, widzimy spadek tych zdarzeń (dla porównania, w całym 2025 roku na Dolnym Śląsku odnotowano około 4200 zgłoszeń - red.) - mówi Przemysław Ratajczyk z Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu. - Może wydawać się to dziwne, bo logika podpowiada, że skoro paliwo jest droższe, to tych kradzieży będzie znacznie więcej, ale nasze statystyki tego nie potwierdzają - dodaje.

Tu złodzieje lubią grasować

Podobny wniosek wysuwa się, gdy zerkniemy na dane dotyczące przestępstw, czyli kradzieży paliwa o wartości powyżej 800 zł. Od stycznia do sierpnia 2025 r. odnotowano 94 takie zdarzenia. W analogicznym okresie 2026 r. było ich już „tylko" 80.

Co ciekawe, zmieniła się czołówka powiatów, w których najczęściej dochodzi do tych przestępstw. W 2025 r. najwięcej kradzieży paliwa o wartości powyżej 800 zł odnotowano w powiatach: zgorzeleckim, bolesławieckim i wrocławskim (liczonym wraz z miastem Wrocław).

Aktualnie na czele niechlubnego rankingu znajdują się powiaty: zgorzelecki, legnicki (z miastem Legnica) oraz wrocławski (z Wrocławiem).

©℗

FOT. ANDRZEJ BANAŚ

Ceny na stacjach rosną, a kradzieży paliwa jest mniej (zdj. ilustracyjne)

WROCŁAW

Obwodnica Wrocławia jest budowana nawet nocą. Rośnie nowy wiadukt, widać już słynny półtunel

Jerzy Wójcik

Cztery nowe ronda, licząc od Alei Karkonoskiej i wpięcie w istniejące rondo przy ul. Grota-Roweckiego. Kierowcy nie mogą się już doczekać domykającego całość fragmentu Wschodniej Obwodnicy Wrocławia. Prace przy budowie czterech kilometrów trasy są prowadzone nawet w nocy.

FOT. SKANSKA

Montaż belek prefabrykowanych na wiadukcie wschodniej obwodnicy nad linią kolejową Wrocław - Sobótka - Świdnica.

Firma Skanska, odpowiedzialna za zbudowanie ostatniego odcinka drogi wojewódzkiej nr 372 - czyli popularnej Wschodniej Obwodnicy Wrocławia, nie zwalnia tempa. Prace przy domknięciu obwodnicy do węzła bielańskiego, trwają nawet nocami, przy sztucznym oświetleniu. Pod koniec września w ten sposób budowano wiadukt obwodnicy nad czynną linią kolejową Wrocław - Sobótka - Świdnica.

Nocami, gdy nie kursowały składy KD, na budowę dostarczano prefabrykowane belki, które były montowane na wiadukcie WD1. Gdy ruszymy już nowym odcinkiem obwodnicy, od Al. Karkonoskiej, będzie to pierwszy obiekt inżynieryjny, dzięki któremu bezproblemowo pokonamy tory kolejowe, bez konieczności tkwienia przed zamkniętym przejazdem.

Następnie przejedziemy przez budowane właśnie rondo na przedłużeniu ulicy Niebieskiej na Klecinie, by dotrzeć do mostu nad Ślęzą. Ta przeprawa również jest już dobrze widoczna na najnowszych zdjęciach z drona. Obok właściwego mostu funkcjonuje już tymczasowy, na potrzeby prowadzenia budowy. Kolejny obiektem - jadąc na wschód - będzie nowe rondo w pobliżu ulicy Radosnej we wsi Wysoka (Radosna to przedłużenie przebudowywanej również ulicy Ołtaszyńskiej we Wrocławiu).

Tu ciekawostka. Rondo powstanie nieco na zachód od obecnej ulicy Radosnej i będzie zbudowane w obniżeniu. A to dlatego, że w tym miejscu rozpoczyna się już zjazd do chyba najsłynniejszej konstrukcji nowej obwodnicy - tzw. półtunelu. Obniżanie i wjazd do półtunelu rozpocznie się (patrząc od zachodu) już na wysokości Toru Wyścigów Konnych na Partynicach. Poniżej poziomu terenu pojedziemy następnie przez osiedle mieszkaniowe we wsi Wysoka - w bezpośredniej bliskości bloków przy ul. Brzozowej, by z powrotem wyjechać na poziom gruntu za szkołą podstawową w Wysokiej. Prace przy półtunelu już trwają. Powstaje zarówno konstrukcja oporowa i obudowa przyszłego tunelu, jak i pogłębiany jest sam wykop. W centrum osiedla mieszkaniowego trwają intensywne prace. Przypomnijmy, że ta technologia, polegająca na obniżeniu drogi i „schowaniu" jej częściowo w ziemi, ma znacząco zmniejszyć hałas i uciążliwość dla mieszkańców Wysokiej.

Trasa powinna być gotowa na początku 2028 roku i zamknąć około 30 kilometrowy ring wokół Wrocławia. Tak poprowadzi od Grota-Roweckiego, przez Wysoką do węzła bielańskiego:

Wzdłuż całej obwodnicy powstaną chodniki i drogi rowerowe, a także kładka dla pieszych i kładka pieszo-rowerowa w okolicach ulicy Bratniej. ©℗

REKLAMA 0011584666

eprasa.pl 2b902aabc5

PRZEGLĄD MINIONEGO TYGODNIA

PONIEDZIAŁEK, 28.09

Pociągi jednak nie dojadą na Świebodzki? Ochrona środowiska przyblokowała PKP

PKP PLK zadeklarowały niedawno zakończenie projektowania nowych torów do Dworca Świebodzkiego. Żeby jednak rozpocząć prace budowlane, potrzebna jest jeszcze decyzja środowiskowa Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska. Ta nie spieszy się z jej wydaniem i - jak przyznaje - nie jest w stanie wskazać, kiedy to się stanie.

Pod skalnym osuwiskiem zginął 43-letni górnik

Spółka KGHM Polska Miedź S.A. poinformowała o tragicznym zdarzeniu. Zmarł górnik z Zakładów Górniczych Rudna na Dolnym Śląsku. Mężczyzna był poszkodowany w wypadku, do którego doszło w minionym tygodniu.

FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

Znów zaczyna się zamęt wokół Dworca Świebodzkiego

WTOREK, 29.09

Prokuratura wytoczyła ciężkie działa na szpital za śmierć i upokorzenie Kacpra

Ból i upokorzenie. To ostatnie, czego przed śmiercią miał doświadczyć Kacper Bucki, pacjent szpitala Latawiec w Świdnicy. - Prokurator zweryfikuje, czy doszło co najmniej do narażenia na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia. Podkreślam, co najmniej - mówi nam Marek Rusin, prokurator okręgowy w Świdnicy.

Nakradli Niemcom aut za 10 milionów zanim ich złapano

Ponad 50 aut miało paść łupem zorganizowanej grupy przestępczej, która zajmowała się kradzieżą aut w Niemczech. Samochody miały trafiać na Dolny Śląsk, gdzie były rozbierane i sprzedawane na części. Straty szacuje się na 10 mln zł. CBŚP zatrzymała w tej sprawie 10 osób.

ŚRODA, 30.09

Remontowcy wkroczyli na szczyt Śnieżki. Będą odnawiać „spodki"

Firma PreFabrykat z Miłkowa przejęła plac budowy, a to oznacza, że rozpoczyna się remont Wysokogórskiego Obserwatorium Meteorologicznego „Śnieżka" w Karkonoszach. Słynne trzy, połączone ze sobą „kosmiczne spodki" są symbolem Śnieżki. Obiekt, zaprojektowany przez Witolda Lipińskiego i Waldemara Wawrzyniaka, został oddany do użytku w 1974 r. Od lat wymagał gruntownej modernizacji. Dolny dysk, w którym przez lata działała restauracja, pozostaje zamknięty od 2015 r.

Wreszcie ruszyła budowa dworca autobusowego

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to za kilka miesięcy w Wałbrzychu znowu będzie funkcjonował dworzec autobusowy. 28 września przy ul. Lubelskiej symbolicznie wbito łopaty pod budowę centrum przesiadkowego. Jego częścią ma być właśnie dworzec autobusowy. Przypomnijmy, że jedyny dworzec PKS w mieście pod Chełmcem przestał istnieć w 2014 roku.

FOT. FIRMA PREFABRYKAT

Wykonawca remontu wszedł już na teren obserwatorium na Śnieżce

CZWARTEK, 31.09

Wyrok za śmierć harcerza podczas brawurowej próby przepłynięcia jeziora

15-letni Dominik utonął, bo zawiedli opiekunowie. To młodzi ludzie. Wyrok zapadł po jednej rozprawie. Sąd Rejonowy w Wolsztynie skazał 21-letniego drużynowego Marka G. na rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na trzy lata. Natomiast 19-letni ratownik WOPR Igor K. usłyszał wyrok 10 miesięcy więzienia w zawieszeniu na trzy lata. Taki wyrok zapadł w jednodniowym procesie, który toczył się 29 września w województwie wielkopolskim.

Rekordowa rekrutacja w szeregi policji

70 nowych policjantów złożyło ślubowanie i zaraz po szkoleniu trafi do Wrocławia. Tak dużego wzmocnienia wrocławskiej komendy nie było od lat. Równie rekordowa rekrutacją może pochwalić się całe województwo dolnośląskie. We wrześniu do służby przyjęto aż 150 osób. W Komendzie Miejskiej Policji we Wrocławiu słyszymy, że tak dużej rekrutacji nie było tu od lat.
©℗

REKLAMA 0011591482

Partner Główny
PZU ZDROWIE

Partnerzy:
m med GRUPA MEDYCZNA
MĘDRECKI WILK WSPÓLNICY
Creator

JELENIA GÓRA

Skoszona lampa i rozbity samochód, bo do kabiny wleciała... osa

Aneta Kolesińska

Rozbity samochód, skoszona lampa i znak drogowy a to wszystko przez osę, która wleciała do środka. Do wypadku doszło na jednej z dróg w Jeleniej Górze.

Do groźnie wyglądającego wypadku doszło na ul. Konstytucji 3 Maja w Jeleniej Górze w środę, przed godz. 14.00.

Na miejsce szybko przyjechali policjanci jeleniogórskiej drogówki, którzy mieli za zadanie ustalenie przebieg zdarzenia. Okazało się, że 38-letnia kobieta kierująca samochodem osobowym marki Citroen jechała od strony Wrocławia. W pewnym momencie do wnętrza pojazdu wpadł owad, który rozproszył jej uwagę.

- Próbując zareagować na nieoczekiwaną sytuację, kobieta straciła panowanie nad samochodem. Pojazd zjechał z jezdni, następnie uderzył w znak drogowy, uszkadzając go, po czym wpadł do przydrożnego rowu. Lampa została kompletnie zniszczona, na szczęście kierująca nie odniosła obrażeń – przekazuje podinspektor Edyta Bagrowska z Komendy Miejskiej Policji w Jeleniej Górze.

FOT. KMP JELENIA GÓRA

Kierująca osobowym Citroenem uderzyła w znak drogowy, lampę i wpadła do rowu z powodu... osy

Za spowodowanie zagrożenia w ruchu drogowym kobieta została ukarana mandatem.

Policjncia zaznaczają, że podczas prowadzenia pojazdu najważniejsza jest koncentracja i obserwowanie sytuacji na drodze. Jeżeli do auta wpadnie owad, nie próbujmy za wszelką cenę go usuwać. Nie odrywajmy wzroku od drogi i nie wykonujmy gwałtownych manewrów. W miarę możliwości należy zachować spokój, zmniejszyć prędkość i bezpiecznie zatrzymać pojazd w miejscu, w którym nie będzie on stwarzał zagrożenia dla innych uczestników ruchu.
©℗

eprasa.pl 2b902aabc5

MATERIAŁ INFORMACYJNY ARiMR

0011568199

Od gospodarstwa do własnego produktu.
86 mln zł na inwestycje w nowym naborze ARiMR

Rozwój przetwórstwa, zakup nowoczesnego wyposażenia, skuteczniejsza sprzedaż i zwiększenie wartości produktów wytwarzanych w gospodarstwie. To cele, na które rolnicy, ich małżonkowie i domownicy oraz mikroprzedsiębiorcy mogą otrzymać wsparcie z Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa.
Od 1 października do 2 listopada 2026 r. potrwa nabór wniosków na Rozwój współpracy w ramach łańcucha wartości (w gospodarstwie). Interwencja ta jest finansowana z Planu Strategicznego dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027. Do dyspozycji beneficjentów przeznaczono nieco ponad 86 mln zł.

Fot. Adobe Stock

Nie tylko produkcja, lecz także własny produkt i większa wartość
Naprzeciw tym potrzebom wychodzi ARiMR. W ramach nowego naboru wspierane są inwestycje materialne i niematerialne związane z przetwarzaniem oraz sprzedażą produktów rolnych. Z pomocy wyłączone są produkty rybołówstwa i akwakultury.
Wsparcie obejmuje m.in. podejmowanie lub kontynuowanie działalności w zakresie rolniczego handlu detalicznego (RHD), podejmowanie działalności gospodarczej lub marginalnej, lokalnej i ograniczonej (MOL), a także kontynuowanie takiej działalności przez mikroprzedsiębiorców.

Od maszyn po energię, informatykę i sprzedaż
Katalog inwestycji kwalifikujących się do wsparcia jest szeroki. Obejmuje m.in. przedsięwzięcia dotyczące budynków i budowli wykorzystywanych do przetwarzania, magazynowania oraz przygotowywania produktów do sprzedaży, a także obiektów służących do laboratoryjnej kontroli jakości produktów rolnych.
Wsparcie może objąć również modernizację infrastruktury związanej ze składowaniem i zagospodarowaniem odpadów oraz rozwiązania poprawiające efektywność energetyczną, m.in. biogazownie, fotowoltaikę, magazyny energii, instalacje odzysku ciepła, pompy ciepła oraz kotły i piece na biomasę. I co ważne, dofinansowanie można otrzymać również na inwestycje związane z realizacją celów strategii „od pola do stołu."

W warunkach rosnącego znaczenia jakości, lokalności i sprzedaży bezpośredniej możliwość przetwarzania własnych surowców oraz sprzedaży gotowych produktów staje się istotnym narzędziem rozwoju.

Duże znaczenie ma możliwość zakupu nowych maszyn, urządzeń i wyposażenia do magazynowania i przygotowania produktów do przetwarzania, samego przetwarzania, magazynowania produktów lub półproduktów oraz przygotowania ich do sprzedaży. Można również inwestować w aparaturę pomiarową i kontrolną oraz urządzenia do sterowania procesem produkcji lub magazynowania.
Program uwzględnia także cyfrową stronę działalności. Pomoc może być wykorzystana na zakup: oprogramowania o zarządzania, systemów teleinformatycznych, patentów, licencji, praw autorskich i znaków towarowych. Wspierane są również systemy zarządzania jakością, terminale płatnicze, sprzęt komputerowy i oprogramowanie oraz rozwiązania informatyczne związane ze sprzedażą na odległość.

Kto może sięgnąć po pieniądze?
Pierwszą z grup potencjalnych beneficjentów stanowią rolnicy i ich małżonkowie, rozpoczynający lub rozwijający działalność w zakresie rolniczego handlu detalicznego (RHD) związanego z przetwarzaniem produktów rolnych, a także rolnicy, ich małżonkowie i domownicy, którzy rozpoczynają wykonywanie działalności gospodarczej w zakresie przetwarzania produktów rolnych, w tym działalności marginalnej, lokalnej i ograniczonej (MOL).
Do drugiej grupy mogących się ubiegać o to wsparcie należą mikroprzedsiębiorcy, którzy zobowiązują się do kontynuowania wykonywania działalności gospodarczej związanej z przetwarzaniem produktów rolnych, w tym MOL. O pomoc mogą ubiegać się osoby fizyczne, które w dniu składania wniosku mają ukończone 18 lat, posiadają status mikroprzedsiębiorcy, mają numer identyfikacyjny nadany w ramach krajowego systemu ewidencji producentów, ewidencji gospodarstw rolnych oraz ewidencji wniosków o przyznanie płatności, a także spełniają pozostałe wymagania określone w regulaminie. Niezbędne jest również przygotowanie biznesplanu spełniającego wymagane warunki.
W przypadku mikroprzedsiębiorcy kontynuującego działalność gospodarczą istotny jest dodatkowy warunek związany z gospodarstwem. Wnioskodawca powinien posiadać gospodarstwo rolne samoistnie lub zależnie, np. na podstawie dzierżawy, oraz wykorzystywać w procesie przetwarzania produkty rolne z tego gospodarstwa. Ich udział powinien wynosić co najmniej 50 proc. wszystkich przetwarzanych produktów rolnych w ujęciu ilościowym.

Nawet 120 tys. zł, a dla mikroprzedsiębiorcy aż 500 tys. zł
Wysokość wsparcia zależy od charakteru działalności i inwestycji. Rolnicy i ich małżonkowie, którzy podejmują lub kontynuują działalność w ramach RHD, mogą otrzymać ryczałt w wysokości 30 tys., 60 tys. albo 120 tys. zł, przy czym pomoc może pokryć do 65 proc. kosztów kwalifikowalnych operacji.
Na takich samych zasadach oprócz rolników i ich małżonków wspierani mogą być domownicy podejmujący działalność gospodarczą lub MOL. Także w tym przypadku do dyspozycji są kwoty 30 tys., 60 tys. lub 120 tys. zł, do 65 proc. kosztów kwalifikowalnych.
Trzecia ścieżka jest skierowana do mikroprzedsiębiorców kontynuujących działalność gospodarczą, w tym MOL. Pomoc ma formę refundacji i może sięgnąć 500 tys. zł, przy poziomie do 50 proc. kosztów kwalifikowalnych. Minimalna kwota pomocy wynosi 10 tys. zł, a wartość inwestycji musi mieścić się w przedziale od 10 tys. zł do 500 tys. zł.
W przypadku ryczałtu pieniądze są wypłacane w dwóch ratach: pierwsza stanowi 80 proc. przyznanej pomocy, druga - 20 proc. Pierwsza rata może zostać wypłacona na podstawie wniosku o płatność złożonego maksymalnie w ciągu sześciu miesięcy od przyznania pomocy i m.in. po rozpoczęciu realizacji biznesplanu. Druga rata trafia do beneficjenta po zrealizowaniu inwestycji.
Biznesplan należy zrealizować w ciągu 24 miesięcy, nie później niż do 30 czerwca 2029 r.

Kiedy trzeba złożyć wniosek?
Nabór trwa od 1 października do 2 listopada 2026 r. Wnioski można składać wyłącznie elektronicznie, za pośrednictwem systemu teleinformatycznego ARiMR – Platformy Usług Elektronicznych ARiMR (PUE). Wniosek złożony w innej formie pozostanie bez rozpatrzenia. Za datę złożenia uznaje się dzień wystawienia przez Agencję potwierdzenia złożenia wniosku.
Rozwój przetwórstwa i sprzedaży w gospodarstwach pozostaje ważnym elementem polityki rolnej państwa. W warunkach rosnącego znaczenia jakości, lokalności i sprzedaży bezpośredniej możliwość przetwarzania własnych surowców oraz sprzedaży gotowych produktów staje się istotnym narzędziem rozwoju. Nowy nabór ARiMR daje zatem nie tylko możliwość pozyskania dotacji, ale także tworzy szansę na budowę silniejszego i bardziej konkurencyjnego gospodarstwa.

Plan Strategiczny dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027

ARiMR Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa

Dofinansowane przez Unię Europejską

Materiał opracowany przez Agencję Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Instytucja Zarządzająca Planem Strategicznym dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Materiał dofinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach Planu Strategicznego dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027.

eprasa.pl 2b902aabc5

DOLNY ŚLĄSK

Dzieci pędzą na hulajnogach nawet 100 km/h. Wypadków jest coraz więcej, a przepisów nie ma

Michał Perzanowski

Młodych użytkowników najmocniejszych hulajnóg elektrycznych, jeżdżących nawet 100 km/h, nazywa się „kukiriniarzami". Za tą prześmiewczą nazwą kryją się jednak także wypadki, poważne urazy i trudności policji ze sprawdzeniem, czy pojazd może legalnie poruszać się po drodze.

FOT. AUTOR

Takie obrazki nie są już rzadkością na dolnośląskich drogach. Coraz szybsze hulajnogi oznaczają coraz większe niebezpieczeństwo

Zgodnie z przepisami, dopuszczalna prędkość hulajnogi elektrycznej w Polsce wynosi 20 km/h. Tyle samo wynosi maksymalna prędkość konstrukcyjna pojazdu, który ma odpowiadać ustawowej definicji hulajnogi elektrycznej.

Tymczasem dostępne są urządzenia, które po zdjęciu elektronicznej blokady mogą osiągać prędkość 50-60 km/h. Są też znacznie mocniejsze konstrukcje osiągające 80-100 km/h. Co gorsza, istnieją modele e-hulajnóg, przy których wystarczy naciśnięcie przycisku i odblokowywana jest ich pełna moc.

- Choć wizualnie przypominają hulajnogi elektryczne lub rowery, w rzeczywistości są pojazdami o mocy i prędkości nawet do 100 km/h, kwalifikującej je do kategorii motocykli. Pojazdy te są często modyfikowane przez użytkowników lub wprowadzane do obrotu bez odpowiednich homologacji. W praktyce nie podlegają one obowiązkowi rejestracji ani ubezpieczenia OC, a ich kierujący poruszają się po chodnikach, korzystając z przywilejów przewidzianych dla znacznie słabszych urządzeń transportu osobistego - zwraca uwagę na problem posłanka Dorota Marek.

Niepokojące jest to, że po takie urządzenia sięgają również nastolatkowie. Kilkunastoletni kierujący mogą znaleźć się na pojeździe zdolnym do osiągnięcia prędkości samochodu jadącego miejską arterią. Taką moc mają hulajnogi m.in. marki Kukirin, chińskiego producenta. Najszybsze modele osiągają takie prędkości, a ich zasięg to nawet kilkadziesiąt kilometrów. Są do kupienia w każdym polskim specjalistycznym sklepie.

15-latek wjechał w betonowy murek

Przykład z sierpnia pochodzi z powiatu bolesławieckiego. Policjanci zatrzymali 25-letniego mężczyznę jadącego hulajnogą, w której usunięto blokadę prędkości. Po przeróbce urządzenie mogło rozpędzić się nawet do 50 km/h. Kierujący dostał 1000 zł mandatu za jazdę pojazdem niedopuszczonym do ruchu.

Znacznie poważniejsze konsekwencje mogą mieć wypadki. W Oławie 15-letni chłopak jadący hulajnogą elektryczną uderzył w betonowy murek przy ul. Brylantowej. Obrażenia były na tyle poważne, że na miejsce skierowano śmigłowiec Lotniczego Pogotowia Ratunkowego. Nastolatek został przetransportowany do szpitala.

Do wypadku doszło również w powiecie oleśnickim, gdzie dwaj młodzi mężczyźni jechali wspólnie na jednej hulajnodze. Zostali potrąceni przez samochód, a jeden z nich trafił do szpitala.

Policja przypomina

- Mimo licznych apeli o rozwagę na drodze i przestrzeganie obowiązujących przepisów, nadal zdarzają się sytuacje, w których użytkownicy hulajnóg elektrycznych podejmują niebezpieczne dla siebie i innych decyzje [...] Takie zachowanie jest nie tylko niezgodne z przepisami, ale prowadzi również do niebezpiecznych sytuacji. Niestety tym razem do takiej sytuacji doszło z udziałem samochodu osobowego - mówi asp. Karolina Walczak z Komendy Powiatowej Policji w Oleśnicy.

To nie są odosobnione przypadki. W 2025 roku na Dolnym Śląsku odnotowano 55 wypadków z udziałem hulajnóg elektrycznych, w których rannych zostało 46 osób. Wśród poszkodowanych szczególnie widoczne były grupy w wieku 11-15 oraz 16-20 lat.

W całym kraju wypadków jest coraz więcej. W 2025 roku odnotowano 1158 wypadków z udziałem użytkowników hulajnóg elektrycznych. Zginęło w nich 11 osób, a 1055 zostało rannych. Jeszcze gorzej wyglądało pierwszych siedem miesięcy 2026 roku. Liczba wypadków wzrosła z 702 w analogicznym okresie poprzedniego roku do 828. Liczba zabitych wzrosła z pięciu do 11, a rannych z 638 do 745.

Szczególną uwagę zwraca wiek sprawców. W 2025 roku użytkownicy hulajnóg w wieku 7-14 lat spowodowali 243 wypadki. Zginęły w nich trzy osoby, a 265 zostało rannych. W grupie 15-17 lat było kolejnych 149 wypadków, jedna ofiara śmiertelna i 177 rannych.

Lekarze podkreślają, że nie chodzi już wyłącznie o otarcia, stłuczenia czy proste złamania. Do szpitala trafiają dzieci z ciężkimi urazami czaszkowo-mózgowymi, złamaniami kości czaszki, krwiakami wewnątrzczaszkowymi i stłuczeniami mózgu. Zdarzają się obrażenia oczodołów, szczęki, żuchwy i zębów, ale również urazy płuc, wątroby oraz śledziony.

Rząd chce uderzyć w odblokowane hulajnogi

Ministerstwo Infrastruktury przygotowało projekt UC95 dotyczący między innymi systemu homologacji i nadzoru nad rynkiem. Resort chce, aby skuteczniej eliminować z obrotu hulajnogi, których konstrukcja umożliwia rozwijanie prędkości większej niż 20 km/h. Nadzór nad tym rynkiem ma zostać wzmocniony, a większą rolę ma otrzymać Transportowy Dozór Techniczny. Chodzi więc nie tylko o karanie użytkownika złapanego na szybkiej jeździe. Państwo chce wcześniej sprawdzać, co importerzy i sprzedawcy wprowadzają na polski rynek, oraz umożliwiać wycofywanie urządzeń niespełniających wymagań. - Podmiot gospodarczy, który będzie wprowadzał do obrotu hulajnogi elektryczne niespełniające warunków technicznych lub dające możliwość manipulowania mechanizmem napędowym zwiększając prędkość powyżej 20 km/h, będzie podlegał karze administracyjnej. Oznacza to, że nielegalne będzie też zdejmowanie blokad z hulajnóg elektrycznych i rowerów elektrycznych. Ponadto, dzięki nowym przepisom Straż Miejska otrzyma uprawnienia do kontroli prędkości i mocy hulajnóg - informuje resort infrastruktury.

Na koniec września 2026 roku prace nad UC95 nadal trwają. Projekt przeszedł konsultacje i uzgodnienia, ale nie są to jeszcze przepisy obowiązujące użytkowników hulajnóg. Specjalne wyposażenie ma również otrzymać Policja, która już dzisiaj może używać laserowego miernika prędkości, ale to nie wszystko. Dziś problem pojawia się bowiem wtedy, gdy funkcjonariusz zatrzymuje hulajnogę, ale chce sprawdzić, jaką maksymalnie prędkość może osiągnąć sam pojazd.

Tu rozwiązaniem mają być „mobilne hamownie". Pozwalają postawić jednoślad na urządzeniu i bez rozpędzania go na drodze sprawdzić jego rzeczywiste możliwości.

- Kompleksowa kontrola hulajnóg elektrycznych, rowerów wspomaganych elektrycznie czy urządzeń transportu osobistego, pod kątem spełnienia przez te pojazdy wymagań technicznych, w zakresie m.in. mocy silnika czy ograniczonej konstrukcyjnie maksymalnej prędkości, niewątpliwie nie może być przeprowadzona w warunkach kontroli drogowej bez specjalistycznych przyrządów typu hamownia - mówi wiceminister Czesław Mroczek.

To może być kluczowe dla walki z najmocniejszymi, przerabianymi hulajnogami. Dzisiaj policjant widzący nastolatka pędzącego 60 km/h może zmierzyć jego prędkość i zatrzymać go do kontroli.

W praktyce nawet wtedy problem nie znika, bo służby coraz częściej zwracają uwagę nie tylko na zachowanie kierującego, ale również na sam pojazd. ©℗

KRÓTKO

Głogów

„Bądź gotowy". Strażacy zapraszają na grę terenową

W niedzielę na głogowskim Rynku ruszy gra terenowa „Bądź gotowy", przygotowana przez OSP JRS Głogów oraz OSP KSRG Serby. Początek zaplanowano 4 października o godz. 10:30 przed ratuszem.
– Podczas gry, drużyny będą miały za zadanie odwiedzić sześć punktów, zapoznać się z tematem danego punktu oraz wykonać krótkie zadanie! Tematem przewodnim gry jest Ochrona Ludności i Obrona Cywilna a wszystkie przygotowane zadania zostały zaczerpnięte z Poradnika Bezpieczeństwa – informują organizatorzy.
Zapisy są prowadzone za pośrednictwem wiadomości na Facebooku OSP JRS Głogów oraz OSP KSRG Serby. Zgłoszenia można przesyłać także mailowo na adres: ospjrsglogow2010@gmail.com.

Sandra Stempniewska

Legnica

Jesienna zbiórka odpadów wielkogabarytowych

Od 5 do 16 października na terenie Legnicy prowadzona będzie zbiórka odpadów wielkogabarytowych, zużytego sprzętu elektrycznego i elektronicznego oraz opon. Odpady będą odbierane w wybrane dni - z podziałem na 10 rejonów miasta. Odpady Należy wystawiać wieczorem w dniu poprzedzającym wyznaczony dzień odbioru:

- w zabudowie jednorodzinnej - przed posesję,
- w zabudowie wielorodzinnej - w miejscu gromadzenia odpadów, przy zasiekach śmietnikowych,
- właściciele garaży w większych zespołach garażowych, ulice np.: Torowa, Siemianowicka, Drzymały, Kilińskiego, Jana Pawła II, Tatarska, Oświęcimska, Żwirki i Wigury, Inwalidów, Iwaszkiewicza / Sudecka, Sudecka / Koskowicka, Cmentarna, Pątnowska - przy wjeździe na teren zespołów garażowych,
- właściciele garaży znajdujących się we wnętrzach podwórzowych – przy zasiekach śmietnikowych,
- właściciele rodzinnych ogrodów działkowych – w miejscu gromadzenia odpadów przy zasiekach śmietnikowych.

Do odpadów wielkogabarytowych oraz zużytego sprzętu elektrycznego i elektronicznego nie należą: wszelkiego rodzaju części budowlane i sanitarne takie jak deski drewniane, belki, panele, ramy okienne, grzejniki, płytki, motorowery, kosiarki spalinowe; odpady remontowe i odpady ogrodowe. Odpady takie należy przekazywać do Punktów Selektywnej Zbiórki Odpadów Komunalnych przy ul. Rzeszotarskiej 1 oraz ul. Nowodworskiej 48.

Klaudia Korfanty

eprasa.pl 2b902aabc5

MATERIAŁ INFORMACYJNY UMWD
1011523644

Młodzi Dolnoślązacy mogą zostać radnymi województwa. Trwa nabór do Młodzieżowego Sejmiku

Do 14 października młodzi mieszkańcy regionu mogą zgłaszać swoje kandydatury do Młodzieżowego Sejmiku Województwa Dolnośląskiego. W jego skład wejdzie 30 osób w wieku od 15 do 20 lat. To szansa, by reprezentować swoich rówieśników, przedstawiać ich potrzeby i pomysły oraz włączyć się w sprawy ważne dla Dolnego Śląska.

O mandat młodzieżowego radnego mogą ubiegać się mieszkańcy całego województwa. Dolny Śląsk został podzielony na pięć okręgów, z których wybranych zostanie po sześciu przedstawicieli. Kadencja Młodzieżowego Sejmiku potrwa nie dłużej niż dwa lata, a jego członkowie będą pełnić swoje funkcje społecznie.

– Młodzieżowy Sejmik to przestrzeń dla młodych ludzi, którzy mają własne pomysły, energię i chcą angażować się w życie swoich lokalnych społeczności oraz całego regionu. Zależy nam, aby mogli mówić o sprawach ważnych dla swojego pokolenia, a my chcemy tego głosu słuchać. Zachęcam młodych Dolnoślązaków do zgłaszania swoich kandydatur – mówi **Paweł Gancarz, Marszałek Województwa Dolnośląskiego.**

Trwa nabór do II kadencji Młodzieżowego Sejmiku Województwa Dolnośląskiego

Młodzi z własnym głosem

Młodzieżowy Sejmik jest organem konsultacyjnym, doradczym i inicjatywnym. Jego radni mogą przedstawiać stanowiska w sprawach dotyczących młodego pokolenia, opiniować projekty uchwał, uczestniczyć w pracach nad wojewódzkimi dokumentami strategicznymi skierowanymi do młodych mieszkańców oraz monitorować realizowane w tym zakresie działania. Mogą także podejmować własne inicjatywy, m.in. związane z edukacją obywatelską.

– Jest pełna zgoda wszystkich środowisk i rozpoczynamy nabór do Młodzieżowego Sejmiku. To ogromnie ważne dla Dolnego Śląska, ale przede wszystkim dla młodych ludzi, którzy będą mogli realizować własne pomysły dla swoich środowisk – mówi **Jerzy Pokój, Przewodniczący Sejmiku Województwa Dolnośląskiego.**

> *„Młodzieżowy Sejmik to przestrzeń dla młodych ludzi, którzy mają własne pomysły, energię i chcą angażować się w życie swoich lokalnych społeczności oraz całego regionu.”*

Marszałek Paweł Gancarz zachęca młodych Dolnoślązaków do zgłaszania swoich kandydatur

Nabór prowadzony jest według nowych zasad. W prace nad ich przygotowaniem zaangażowani byli m.in. Zarząd Województwa Dolnośląskiego, radni oraz sejmikowa Komisja Kultury, Edukacji i Nauki.

– Nabór do Młodzieżowego Sejmiku rusza na dużo prostszych, jasnych i klarownych, ale też bardzo obywatelskich zasadach. Pozwólcie nam, dorosłym, słuchać waszego głosu, waszych oczekiwań i waszych poglądów. Chcemy zobaczyć w Młodzieżowym Sejmiku zarówno młodych ludzi, którzy już działają w organizacjach czy radach młodzieżowych, jak i tych, którzy dopiero chcieliby spróbować swoich sił w przestrzeni obywatelskiej – podkreśla **Monika Włodarczyk, Radna oraz Przewodnicząca Komisji Kultury, Edukacji i Nauki Sejmiku Województwa Dolnośląskiego.**

Pozwólcie nam słuchać Waszego głosu – wojewódzka radna Monika Włodarczyk

Przestrzeń do działania

Kandydować może każdy, zarówno młodzi Dolnoślązacy, którzy już angażują się społecznie, jak i osoby, dla których Młodzieżowy Sejmik może być pierwszym doświadczeniem działalności obywatelskiej. Ważnym zapleczem takiej aktywności są również organizacje pozarządowe funkcjonujące w regionie.

– Na terenie Dolnego Śląska mamy ponad 14 tysięcy organizacji pozarządowych. To ogromna siła młodych wolontariuszy i młodych ludzi, którzy działają społecznie. Zachęcamy ich, żeby kandydowali do Młodzieżowego Sejmiku i reprezentowali swoje organizacje oraz środowiska – mówi **Tomasz Tkacz, Pełnomocnik Marszałka ds. Współpracy z Organizacjami Pozarządowymi i Młodzieżą.**

Kandydatury można zgłaszać do 14 października. Należy przygotować formularz zgłoszeniowy wraz z wymaganymi dokumentami i dostarczyć je zgodnie z zasadami określonymi przez Kancelarię Sejmiku Województwa Dolnośląskiego. Nowych radnych wybierze Komisja Konkursowa. W jej pracach uczestniczą także przedstawiciele organizacji pozarządowych zajmujących się m.in. działalnością na rzecz młodzieży i wspieraniem aktywności obywatelskiej młodych ludzi. Szczegółowe informacje o naborze, wymaganych dokumentach i zasadach wyboru dostępne są na stronie Kancelarii Sejmiku Województwa Dolnośląskiego.

eprasa.pl 2b902aabc5

WROCŁAW

Dr Gizela Jagielska ma pracować w szpitalu na Brochowie. Będzie kierować ginekologią?

Konrad Bałajewicz

Dr Gizela Jagielska, ginekolożka, która stała się znana po przeprowadzeniu aborcji w 9. miesiącu ciąży w Oleśnicy, została wybrana w konkursie na świadczenie usług medycznych w szpitalu im. A. Falkiewicza na Brochowie. Jej pojawienie się tam wywołuje protesty przeciwników aborcji.

nformację o konkursie i zakresie poszukiwanych lekarzy można znaleźć w oficjalnych dokumentach szpitala. W rozstrzygnięciu konkursu Gizela Jagielska została wybrana jako jedna z siedmiu lekarzy do pracy na oddziale ginekologiczno-położniczym oraz do realizacji świadczeń ambulatoryjnych. Szpital wybrał ją także jako jedną z trzech lekarzy do pracy na oddziale neonatologicznym.

Ma kierować ginekologią i patologią ciąży?

Jak wynika z dokumentów konkursowych, umowy zawierane w ramach tego postępowania obowiązują do 30 września 2027 roku. Na razie oficjalnie nie wiadomo, kiedy lekarka rozpocznie pracę na Brochowie ani jaką funkcję będzie pełnić. Według nieoficjalnych informacji, do których dotarło Radio Wrocław, od 1 października miałaby kierować oddziałem ginekologii i patologii ciąży.

Burza po aborcji

Nazwisko lekarki od kilkunastu miesięcy jest dobrze znane w całej Polsce. Jagielska pracowała wcześniej w Powiatowym Zespole Szpitali w Oleśnicy. To tam w październiku 2024 r. przeprowadziła aborcję u pacjentki będącej w bardzo zaawansowanej ciąży.

FOT. KAROLINA KWIATEK

Jeden z protestów przed szpitalem im. A. Falkiewicza na Brochowie

Sprawa dotyczyła kobiety, u której na późnym etapie ciąży zdiagnozowano u płodu wrodzoną łamliwość kości. Kobieta była w głębokim kryzysie psychicznym, wcześniej szukała pomocy w innych placówkach. Ostatecznie trafiła do Oleśnicy, gdzie zabieg przeprowadziła dr Jagielska. Chodziło o ciążę w 36./37. tygodniu. Podstawą do przeprowadzenia zabiegu była przesłanka zagrożenia zdrowia kobiety, w tym jej zdrowia psychicznego.

Sprawą zajęła się prokuratura. Postępowanie zostało wszczęte z urzędu po doniesieniach medialnych, dotyczących legalności przeprowadzenia zabiegu. Śledczy przesłuchali świadków i zebrali dokumentację medyczną.

Prokuratura umorzyła postępowanie, zaczęły się protesty

W grudniu 2025 roku Prokuratura Rejonowa w Oleśnicy umorzyła postępowanie, uznając, że w działaniach związanych z przerwaniem ciąży nie dopatrzono się znamion czynu zabronionego. Informacja o jej starcie w konkursie na Brochowie wywołała reakcję środowisk przeciwnych aborcji.

Od kilku tygodni przed szpitalem odbywają się regularne protesty, organizowane przez Fundację Życie i Rodzina. Po ogłoszeniu wyników konkursu, fundacja zapowiedziała kolejne protesty.

„Fundacja Życie i Rodzina nie pozostawi poczętych dzieci bez pomocy. Będziemy głosem maluchów, które same nie mogą się bronić i sprawimy, że głos ten będzie donośny. Już w najbliższą niedzielę 4 października o godzinie 17:00 zapraszamy na Publiczny Różaniec o zatrzymanie aborcji pod szpitalem (wejście od ul. Biegłej). Kolejne modlitwy 18 października w tym samym miejscu i o tej samej porze, a potem w każdą 3. niedzielę miesiąca" - poinformowała Fundacja Życie i Rodzina. ©℗

REKLAMA 0011486419

ZAKŁADY POGRZEBOWE

● **„ABEL"** – Zakład Pogrzebowy, bezgotówkowa organizacja pogrzebów i kremacji. Całodobowe przewozy zmarłych z domu, szpitali, hospicjum. Tel. całodobowe, kom. 502-922-708, 71/ 355 92 23 ul. Św. Wincentego 10 A.

● **„ADORIA"** Usługi Pogrzebowe. Tanio, profesjonalnie i bezgotówkowo. Całodobowy odbiór ciała z dowolnego miejsca. Pożegnania i kremacje. Obsługa ekskluzywnym karawanem. Biuro na terenie cm. Osobowice 59a - wszystkie sprawy w jednym miejscu. Tel. całodobowy 71 352 52 05 lub 503 33 83 84.

● **„ANUBIS"** – kompleksowe usługi pogrzebowe - profesjonalnie - bezgotówkowo. Dom Pogrzebowy, biuro i własna kaplica i chłodnia, organizowanie pożegnań przed kremacją oraz czuwanie przy zmarłym przed pogrzebem tradycyjnym w godzinach dogodnych dla klienta. Wrocław, ul. Szpacza 32/34, tel. 71 350 01 01 całodobowy. Biuro: Wrocław, ul. Dubois 20, Wróblowice, ul. Stawowa 5. Całodobowe przewozy zmarłych kraj i zagranica. Załatwianie formalności również w domu klienta. Telefony całodobowe 71 328 83 85, 723 030 303.

● **„ARCHON"**– Zakład Pogrzebowy tel. 71 332 60 60 – całodobowe przewozy zmarłych. Własna chłodnia i kaplica, rozliczenia bezgotówkowe, wyrabianie aktów zgonu i wszystkich formalności ZUS i USC. Obsługa ceremonii pogrzebowych ekskluzywnym karawanem Mercedes Pilato gratis. Nasze oddziały: Włodkowica 37, Hallera 112, Bogusławskiego 33, Traugutta 67, Skłodowskiej-Curie 49, Kiełczowska 90 (cm. komunalny), Krzywoustego 287, Trzebnicka 67, ul. Grabiszyńska 101, ul. Zaporoska 83, www.zaklad-pogrzebowy.com.pl

● **„WITWICCY"** Zakład Usług Pogrzebowych, Producent Trumien. Całodobowy przewóz zmarłych. Rozliczamy ZUS, KRUS, WBE, MSWiA w zakładzie. Własna chłodnia. Kompleksowo. Solidnie! Wrocław Borowska 254 - naprzeciw Akademii Medycznej, Wrocław Kościuszki 67/1a – róg Gwarnej, Krzyżowice ul. Główna 14 gm. Kobierzyce, Sobótka ul. Św. Anny 19/1, 71/889-00-60, www.zakladpogrzebowy24.pl

● **CAŁODOBOWE PRZEWOZY ZMARŁYCH** dla miasta Wrocławia i Dolnego Śląska. Najniższe ceny. Tel. 502-922-708, 71 322-60-16.

● **KREMATORIUM – ARCHON**, ul. Kiełczowska 90, tel. 71 345 73 43 - całodobowo. Kompleksowe usługi kremacyjne i pogrzebowe, ustalanie terminów. Całodobowy odbiór osób zmarłych z domu, szpitali, hospicjów. www.krematorium.wroclaw.pl

● **MIĘDZYNARODOWE PRZEWOZY ZMARŁYCH**, tel. 71/332-60-60 – całodobowo. Przewóz zmarłych i prochów z państw całego świata. Załatwiamy wszelkie pozwolenia i formalności. Posiadamy licencję na tranport zmarłych z Francji. www.zaklad-pogrzebowy.com.pl

● **ROCH** – Zakład Pogrzebowy, bezgotówkowo, kompleksowo. Całodobowe przewozy zmarłychz domu, szpitali, hospicjum. Tel. całodobowe 71/322 60 16, kom. 502-922-708, Wrocław, ul. Św. Wincentego 10 a (dawna Obrońców Pokoju).

AUTOPROMOCJA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Kondolencje i nekrologi
w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

AUTOPROMOCJA

Wspomnienia.
Te najważniejsze...

Wspomnij bliskich.
Zapal im świeczkę.

Sprawdź na
nekrologi.net
i gazetawroclawska.pl/nekrologi

KULTURA

Muzyka Chopina wraca do dolnośląskich miast

Robert Migdał

Rusza III edycja projektu „Chopin przez Dolny Śląsk". Jednym z głównych punktów będzie Koncert fortepianowy e-moll Fryderyka Chopina.

Na scenie wystąpi Orkiestra Karkonoskiej Filharmonii Kameralnej pod dyrekcją Romana Samostrokova oraz dr hab. Gracjan Szymczak – pianista, laureat licznych konkursów. Oprawę słowną poprowadzi Elżbieta M. Terlega.

Tegoroczna jesienna trasa obejmie cztery koncerty:

- Kamienna Góra – 31 października 2026, Centrum Kultury, godz. 17.00. Bilety po 30 zł.
- Oleśnica – 8 listopada 2026, Ośrodek Kultury, godz. 17.00.
- Polkowice – 9 listopada 2026, Aula Forum Zespołu Szkół, godz. 18.00.
- Oława – 11 listopada 2026, finał III edycji, Ośrodek Kultury, godz. 16.30.

©℗

FOT. MACIEJ KULCZYŃSKI

Pomnik Chopina w Parku Południowym we Wrocławiu

eprasa.pl 2b902aabc5

POLITYKA

Jest list żelazny dla Romanowskiego. Prokuratura zapowiada zażalenie

Dorota Kowalska

Być może Marcin Romanowski będzie mógł wrócić do kraju. Może mu to zagwarantować wydany list żelazny. Pod warunkiem, że decyzja Sądu Okręgowego w Warszawie utrzyma się w mocy.

FOT. ADAM JANKOWSKI

Warszawski sąd okręgowy wydał list żelazny byłemu wiceministrowi sprawiedliwości z czasów PiS Marcinowi Romanowskiemu

Sąd Okręgowy w Warszawie wydał Marcinowi Romanowskiemu list żelazny. Były wiceminister sprawiedliwości ma status podejrzanego w śledztwie dotyczącym Funduszu Sprawiedliwości; od dawna ukrywa się poza Polską. – Miło mi poinformować, że dzisiaj Sąd Okręgowy w Warszawie postanowieniem wydał list żelazny Marcinowi Romanowskiemu. Uchylił tymczasowe aresztowanie stosowane wobec niego od momentu, kiedy to orzeczenie sądu stanie się prawomocne – stwierdził mecenas Bartosz Lewandowski, reprezentujący Romanowskiego. Według rzeczniczki warszawskiego Sądu Okręgowego Anny Ptaszek, sąd uznał, że lepszą decyzją będzie wydanie listu i wyjaśnienie sprawy niż opieranie się na dotychczas nieskutecznych metodach.

„Instytucja listu żelaznego nie może być postrzegana wyłącznie przez pryzmat interesu podejrzanego w odpowiadaniu z wolnej stopy" – pisze w uzasadnieniu swojej decyzji sąd. I dalej tłumaczy, że „stanowi ona również instrument służący realizacji celów postępowania karnego, w szczególności rzeczywistego udziału podejrzanego w postępowaniu, a także stworzeniu warunków do zakończenia postępowania w rozsądnym terminie". Według sądu „dla oceny zasadności wydania listu żelaznego" znaczenie ma fakt, że „pomimo stosowania od grudnia 2024 r. najdalej idących instrumentów krajowych i międzynarodowych nie doprowadziły one do zatrzymania podejrzanego i przeprowadzenia z jego udziałem dalszych czynności procesowych".

Orzeczenie Sądu Okręgowego w Warszawie nie jest prawomocne, a prokuratura zapowiedziała wniesienie zażalenia, bo nie zgadza się z nim prok. Piotr Woźniak kierujący śledztwem dotyczącym Funduszu Sprawiedliwości. W jego ocenie jest kilka ważnych aspektów, które przemawiają przeciwko wydaniu listu żelaznego.

– Jedną z tych kwestii było to, że pan Romanowski posługuje się fałszywą tożsamością, co przyznał we wniosku składanym do sądu. A także prokurator wskazywał na dotychczasową postawę pana podejrzanego, który, po pierwsze, wykorzystując chorobę uciekł z Polski, obawiając się, że zostanie wobec niego stosowane tymczasowe aresztowanie, a także już potem konsekwentnie ukrywał się najpierw na Węgrzech, a potem, jak twierdzi, na terenie Naddniestrza – tłumaczyła rzeczniczka SO w Warszawie. Jak dodała, sąd stanął na stanowisku, że zastosowanie przepisu, który uzależnia wydanie listu żelaznego od stanowiska prokuratora, jest sprzeczne z konstytucją i ze wszystkimi przepisami prawa międzynarodowego.

Prok. Piotr Woźniak poinformował, że na złożenie zażalenia na decyzję sądu ma 7 dni. – Na pewno się w tym czasie zmieszczę – podkreślił.

Na decyzję sądu zareagował minister sprawiedliwości Waldemar Żurek. „Nie ma i nie będzie bezkarności dla ludzi Zbigniewa Ziobry. Prokuratura złoży zażalenie na decyzję o wydaniu listu żelaznego dla Marcina Romanowskiego" – napisał na X.

Decyzja Sądu Okręgowego jest szeroko komentowana także dlatego, że wydał ją sędzia, którego status wcześniej zakwestionował warszawski Sąd Apelacyjny. Uznał, że skład z Konradem Mielcarkiem był „nienależycie obsadzony" z powodu jego powołania przez upolitycznioną Krajową Radę Sądownictwa.

KRÓTKO

Kraków

Bezpieczniejsze lądowanie w Balicach

Nowy system wspomagający lądowanie samolotów przy ograniczonej widzialności (ILS/DME „KRW") rozpoczął w czwartek pracę operacyjną na lotnisku Kraków Airport. Na razie działa w kategorii I, ale w pierwszym kwartale przyszłego roku planowane jest przejście na wyższą kategorię CAT II.

Nieruchomości

Kraków droższy niż Warszawa

W trzecim kwartale tego roku doszło do zmian na rynku nieruchomości – wynika z raportu Otodom. Po miesiącach wprowadzania na rynek drogich inwestycji deweloperzy zaczęli uzupełniać ofertę tańszymi mieszkaniami. We wrześniu średnia cena transakcyjna w Krakowie była wyższa niż w Warszawie. Z przedstawionych w raporcie danych wynika, że średnia cena mieszkań sprzedanych w Krakowie wyniosła 17 828 zł/mkw. i była nie tylko wyższa niż w Warszawie, lecz także o ponad 5 proc. przebiła przeciętną krakowską stawkę ofertową. Poziom zbliżony do rekordów z marca 2025 roku odnotowano również w Poznaniu.

MATERIAŁ INFORMACYJNY T-MOBILE 0011582834

Nie każde wspomnienie powinno trafić do internetu

Co drugi rodzic w Polsce w ciągu ostatniego roku opublikował w internecie zdjęcie, film lub inną treść dotyczącą swojego dziecka. Tymczasem 92 proc. dzieci uważa, że powinno mieć wpływ na decyzje dotyczące publikowania ich wizerunku. T-Mobile Polska, wspólnie z Komendą Główną Policji i UNICEF Polska, rozpoczyna kampanię „Status: Udostępnione", zwracając uwagę na konsekwencje sharentingu.

Niewinna pamiątka czy dyskomfort dziecka?
Sharenting, czyli dzielenie się przez rodziców w internecie informacjami i zdjęciami dzieci, stał się powszechnym elementem korzystania z mediów społecznościowych. Problem pojawia się wtedy, gdy perspektywa rodzica rozmija się z perspektywą dziecka.

Z raportu T-Mobile Polska „Status: Udostępnione – skala i charakterystyka sharentingu w Polsce" wynika, że 92 proc. dzieci uważa, iż powinno mieć wpływ na decyzję o publikacji swojego wizerunku. Wśród nastolatków, których rodzice publikują ich zdjęcia, 32 proc. przyznaje, że odczuwało z tego powodu zawstydzenie lub spotkało się z negatywnymi reakcjami rówieśników.

– 92 proc. dzieci chce być pytanych o zgodę, a 79 proc. rodziców uważa, że powinno się je o nią pytać. Jednocześnie tylko 34 proc. rodziców deklaruje, że robi to regularnie. To pokazuje, jak duża jest luka między przekonaniami a codziennymi praktykami – podkreśliła Małgorzata Rybak-Dowżyk, dyrektorka Departamentu Komunikacji Korporacyjnej i ESG T-Mobile Polska.

Zdjęcie zostaje w sieci
Publikując zdjęcie lub film, rodzic traci pełną kontrolę nad materiałem, który może zostać zapisany, skopiowany, rozpowszechniony lub przerobiony. Raz opublikowana treść może funkcjonować w sieci przez wiele lat i być wykorzystywana w sposób niezamierzony przez autora publikacji. Szczególnie dotyczy to materiałów zawierających informacje pozwalające zidentyfikować dziecko lub miejsca, w których przebywa.

„Zanim wciśniesz udostępnij"
Kampania „Status: Udostępnione" ma zwiększać świadomość konsekwencji publikowania treści dotyczących dzieci, bez nawoływania do całkowitej rezygnacji z dzielenia się rodzinnymi chwilami. Eksperci zalecają, by zapytać dziecko o zdanie przed publikacją jego wizerunku, ograniczać grono odbiorców, wyłączać geolokalizację i sprawdzać informacje widoczne w tle zdjęcia.

Nie chodzi o całkowitą rezygnację z dzielenia się rodzinnymi chwilami. Chodzi o to, by przed kliknięciem „udostępnij" na moment zatrzymać się i zastanowić nad konsekwencjami publikacji.

REKLAMA 0011573531

eprasa.pl 2b902aabc5

USA

Nieudana egzekucja. Serce wciąż biło po podaniu dwóch śmiertelnych zastrzyków

Grzegorz Kuczyński

Christa Pike, kobieta skazana w amerykańskim stanie Tennessee na karę śmierci, została przewieziona do szpitala po tym, jak jej serce nadal biło po podaniu dwóch zastrzyków mających spowodować śmierć – poinformował jej adwokat.

Zespół prawników skazanej złożył w trakcie egzekucji pilny wniosek o jej wstrzymanie, stwierdzając: „Pani Pike straciła przytomność, ale jej serce nadal bije, a słychać, jak chrapie". Jeden z adwokatów powiedział stacji BBC, że 50-letniej Pike „udzielano pomocy ratującej życie" w szpitalu po podaniu dwóch strzykawek pentobarbitalu.

Próba egzekucji miała miejsce w zakładzie karnym o zaostrzonym rygorze Riverbend w Nashville ok. godz. 20 czasu lokalnego w środę wieczorem. Pike miała być pierwszą kobietą straconą w USA od 2023 r. i pierwszą w stanie Tennessee od 200 lat.

Wyrok za zabójstwo

Pike została skazana na śmierć w 1996 r. za zabójstwo Colleen Slemmer. Pike miała 18 lat, kiedy wraz ze swoim ówczesnym chłopakiem Tadarylem Shippem pobili, torturowali i zabili 19-letnią Slemmer, którą poznali na obozie szkoleniowym dla nastolatków z problemami.

We wniosku o ułaskawienie Pike przyznała, że zamierzała pobić Slemmer, ale nie zabić, jednak nie była w stanie „zatrzymać się w porę". Adwokaci kobiety argumentowali, że ława przysięgłych nie miała okazji rozważyć okoliczności łagodzących związanych z udokumentowaną historią wykorzystywania seksualnego Pike w dzieciństwie, zanim skazała ją na karę śmierci.

Po nieudanej egzekucji władze amerykańskiego stanu Tennessee ogłosiły w nocy ze środy na czwartek, że wykonywanie wszystkich egzekucji w tym stanie zostało zawieszone do końca roku.

FOT. ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

Christa Pike, skazana na karę śmierci za zabójstwo, przeżyła próbę egzekucji

USA

Ile wojska USA wycofają z Europy? Ambasador uspokaja

Grzegorz Kuczyński

Stany Zjednoczone nie planują drastycznej redukcji liczby żołnierzy w Europie – oświadczył przedstawiciel Waszyngtonu przy NATO, zaprzeczając ostatnim doniesieniom. Telewizja NBC informowała, że Waszyngton rozważa redukcję liczby swoich sił w Europie o co najmniej 25 000 żołnierzy.

– Te doniesienia są nieprawdziwe – powiedział ambasador USA przy NATO Matthew Whitaker w środę 30 września podczas konferencji poświęconej obronności zorganizowanej przez stację telewizyjną Euronews. – Plan ten nie został nawet sfinalizowany przez pracowników biura ds. polityki w Departamencie Obrony – dodał.

Latem tego roku administracja amerykańska rozpoczęła formalny przegląd swojej obecności wojskowej w Europie, co wzbudziło wśród sojuszników obawy, że Stany Zjednoczone mogą ograniczyć liczbę swoich sił zbrojnych w krajach europejskich. Waszyngton podjął już kroki w celu zmiany swojej obecności w Europie, gdzie stacjonuje około 80 000 żołnierzy (w tym 68 000 na stałe, pozostali rotacyjnie). W maju Stany Zjednoczone ogłosiły, że wycofają 5 000 żołnierzy z Niemiec.

Whitaker zapewnił, że Stany Zjednoczone „będą nadal zaangażowane w Europie". W ramach przeglądu analizuje się również sposób, w jaki siły amerykańskie wykorzystują bazy wojskowe. Waszyngton krytykował wcześniej kraje europejskie za to, że nie zezwoliły USA na korzystanie z baz NATO na swoim terytorium podczas wojny z Iranem.

FOT. AA/ABACA/ABACA/EAST NEWS

Amerykański czołg przeprawia się przez Wisłę podczas ćwiczeń obronnych Dragon 2024, które odbywały się w Konarzewie

– Przeprowadzamy po prostu bardzo matematyczną, mechaniczną analizę naszego rozmieszczenia na świecie, ponieważ musimy stawić czoła globalnym wyzwaniom – powiedział Whitaker. Według NBC News, Pentagon rozważa kilka możliwych opcji ograniczenia liczby żołnierzy i zasobów wojskowych w Europie w ramach przeglądu NATO ogłoszonego w czerwcu.

Jakie opcje rozważa Pentagon?

Jedną z opcji mogłoby być wycofanie jednej trzeciej z około 68 000 amerykańskich żołnierzy stacjonujących w Europie na stałe. Jak podała stacja NBC, opcja ta dotknęłaby głównie żołnierzy stacjonujących w Niemczech, we Włoszech i w Hiszpanii.

Drugi, bardziej drastyczny scenariusz mógłby zakładać wycofanie 40 000 żołnierzy wraz z samolotami wojskowymi, okrętami i uzbrojeniem. Stany Zjednoczone mogą również rozważyć przeniesienie żołnierzy z baz w Europie Środkowej lub Zachodniej na wschodnią flankę NATO, bliżej Rosji.

Jak podaje NBC, Hegseth ma podjąć ostateczną decyzję do 6 listopada.

USA wycofują już wojska z Europy

Około połowa z 2000 amerykańskich żołnierzy stacjonujących w Rumunii opuściła ten kraj w zeszłym roku. Około 5 000 amerykańskich żołnierzy jest w trakcie wycofywania się z Niemiec, gdzie stacjonuje ponad połowa europejskiego kontyngentu USA.

Ogłoszenie ich wycofania w maju nastąpiło po tym, jak niemiecki kanclerz Friedrich Merz skrytykował wojnę USA z Iranem. Trump zagroził, że pójdzie „znacznie dalej", ale według amerykańskich mediów sekretarz stanu USA Marco Rubio zablokował wówczas plan Białego Domu dotyczący wycofania aż 25 000 żołnierzy.

WĘGRY

„Operacja Czyściec" na Węgrzech. Magyar mówi o „mafii Fideszu"

oprac. Anna Nagel

Operacja Czyściec" w ciągu kilku miesięcy dotarła do „najwęższych kręgów mafii Fideszu" – przekazał w środę premier Węgier Peter Magyar.

Magyar zaznaczył, że celem operacji było uwolnienie Węgier od polityczno-gospodarczej mafii, która „oplatała wszystko", a także odzyskanie skradzionych środków publicznych i pociągnięcie do odpowiedzialności przestępców, którzy przez dekady czuli się bezkarni.

„Środa była ważnym kamieniem milowym. Kraj poczynił ogromny krok naprzód na drodze do odnowy" – oświadczył premier, odnosząc się do aresztowania byłego ministra w rządzie Orbana, Miklosa Sesztaka.

Magyar dodał, że wkrótce okaże się, jak długo „gangsterzy z Fideszu będą przestrzegać omerty", czyli mafijnej zasady milczenia. Wkrótce też wyjdzie na jaw, kto – chcąc ratować własną skórę – zdecyduje się zeznawać przeciwko głównym organizatorom procederu, w tym „szefom mafii" – zaznaczył węgierski premier.

Zapewnił, że jego rząd będzie chronił śledczych, prokuratorów, sędziów oraz pracowników Narodowego Biura Odzyskiwania i Ochrony Mienia (NVVH).

W środę, związku z podejrzeniem sprzeniewierzenia środków publicznych na kwotę ponad 17 mld forintów (46,3 mln euro), prokuratura wystąpiła też o aresztowanie innego byłego ministra Orbana i obecnego posła jego partii Fidesz, Balazsa Hanko. **PAP**

USA

Koszulka Jordana sprzedana za ponad 12 mln dolarów

oprac. Anna Nagel

Koszulka słynnego koszykarza Michaela Jordana z trzeciego meczu finałów NBA w 1998 roku, ostatnich w jego karierze, została sprzedana na aukcji za 12,26 mln dolarów.

W tym stroju Jordan zagrał jedno ze spotkań finału play off z Utah Jazz w sezonie 1997/98, w którym wywalczył szóste w karierze i zarazem ostatnie mistrzostwo NBA. Został on wystawiony na aukcję przez przedsiębiorcę Ryana Gougha i sprzedany za pośrednictwem internetowego domu aukcyjnego należącego do Pharrella Williamsa.

Kwota transakcji pobiła dotychczasową rekordową cenę za pamiątkę związaną z Jordanem - 10,091 mln dolarów kosztowała koszulka, w której wystąpił w pierwszym spotkaniu finałów w 1998 roku.

„Niewiele przedmiotów w historii sportu uosabia wielkość tak doskonale, jak koszulka Michaela Jordana z trzeciego meczu finałów NBA w 1998 roku" – napisano w ofercie domu aukcyjnego Joopiter.

Choć w przypadku Jordana osiągnięto rekordową cenę, to wciąż stanowi ona zaledwie połowę sumy zapłaconej za najdroższy w historii aukcji przedmiot sportowy, w którym sportowiec występował podczas meczu. Rekord ten należy do koszulki legendarnego baseballisty Babe'a Rutha z World Series w 1932 roku sprzedanej w 2024 roku za 24,12 mln dolarów.

PAP

eprasa.pl 2b902aabc5

Jerzy Antczak, reżyser kultowych „Nocy i dni” z 1977 r., komentuje powstanie serialu pod tym tytułem – Str. 20-21

PULS *regionów*

PDT vs. PKN - runda I

BT/GETTY/POLSKAPRESS

eprasa.pl 2b902aabc5

POLITYKA

Prof. Rafał Chwedoruk: Karol Nawrocki dla istotnej części wyborców ciągle jest enigmą

– Problem polityków, którzy zrobili gwałtowne kariery, jak Paweł Kukiz, jak Szymon Hołownia, jak Ryszard Petru, jak Karol Nawrocki polega na tym, że ich problemy zaczynają się wtedy, kiedy mija zgiełk kampanii wyborczej i opinia publiczna zaczyna się przyglądać, na kogo w zasadzie zagłosowała – mówi profesor Rafał Chwedoruk, politolog, komentator polityczny

Dorota Kowalska

Panie profesorze, Donald Tusk powiedział ostatnio tak: „Grzeczny już byłem, nie cofnę nogi". Co to stwierdzenie, Pana zdaniem, oznacza? Wojnę totalną z prezydentem?

Nie, raczej oznacza, że Donald Tusk jest świadomy tego, iż postawił wszystko na jedną kartę. Bynajmniej nie teraz, a wtedy, kiedy wracał do wąsko pojętej krajowej polityki. On zdaje sobie sprawę, że jedyną jego legitymizacją jako przywódcy Platformy i jako lidera całej opozycji jest to, że stanowi kontrapunkt względem Prawa i Sprawiedliwości i że posiada zdolności wygrywania wyborów z PiS-em. Rzecz jasna nie za każdym razem, bo nawet teraz bywa z tym różnie, ale na tle innych przywódców jest w tym najbardziej doświadczony. Zdaje też sobie sprawę z tego, że kiedy ten model legitymizacji zniknie, w zasadzie nie będzie nikomu do niczego potrzebny. Świetnie to obrazuje casus zapomnianej już dzisiaj Koalicji Europejskiej, która niegdyś wystartowała w wyborach do Parlamentu Europejskiego i łączyła Platformę, PSL i Lewicę. Ona osiągnęła wysoki wynik, ale bardzo wyraźnie przegrała z PiS-em. Na skutek tej porażki wielu wyborców, którzy wcześniej głosowali na Platformę, w kolejnej elekcji zagłosowało na Lewicę i ludowców. Wtedy właśnie, kiedy ten czynnik głosowania na największego z przeciwników PiS-u zniknął. Teraz Donald Tusk po przegranych wyborach prezydenckich – a głosów wskazujących na jego współodpowiedzialność za porażkę w drugiej turze było sporo – tym bardziej na swój sposób gra politycznie o wszystko. By móc dalej być przywódcą Platformy, musi przynajmniej konsolidować wokół siebie partię oraz najwierniejszą część jej elektoratu. A wśród tej najwierniejszej części istotny procent stanowią ci, którzy uważają rozliczenie niedawnej przeszłości za jeden z priorytetów polityki. Stąd od czasu do czasu Donald Tusk musi wykonywać takie gesty, które będą pokazywały, że jest najdalej idącym, bezkompromisowym przeciwnikiem PiS-u.

Tak, tylko w tej wypowiedzi było ewidentne nawiązanie do Karola Nawrockiego – było i o baseballu, i o kibicach.

Prawica jest w tej chwili personalizowana przez Karola Nawrockiego. Prawo i Sprawiedliwość, mimo sukcesu krakowskiego, bo wynik pana Drewnickiego to polityczny sukces, jest jednak pogrążone w strukturalnym kryzysie, ma najniższe notowania niemal w całej swojej historii, może poza pierwszymi wyborami. Jarosław Kaczyński nie jest politykiem, który rozpoczynałby swoją karierę albo był w jej apogeum. Wyraźnie pełni bardziej funkcję, rzekłbym, wewnątrzpartyjnego mobilizatora, aniżeli tego, kto ma potężną władzę i pełni rolę hegemona prawicy, jak to było do niedawna. Konfederacja jest bytem dosyć efemerycznym, mającym bardzo zróżnicowanych wyborców. To prawda, ma niezłe notowania, jednak zachowuje dystans względem PiS-u, a Grzegorz Braun to już zupełnie inna bajka. Natomiast Karol Nawrocki we wskaźnikach zaufania wciąż stoi wysoko. Poza tym osoba pana prezydenta jest osobą, w którą nie jest tak trudno uderzać. Nie wszystkie te polityczne uderzenia okazywały się być efektywne. Natomiast bagaż różnych życiowych doświadczeń, na tle Andrzeja Dudy na przykład, bardzo taką taktykę, jaką obrał Donald Tusk, ułatwia.

Na pewno część wyborców koalicji rządzącej chce rozliczeń. To jest dla nich sprawa ważna, dla niektórych być może nawet kluczowa. Czy to oznacza, że te rozliczenia przyspieszą na rok przed wyborami?

Słowo „przyspieszenie" robi w polskiej polityce zawrotną karierę od 1990 roku, kiedy użył go Lech Wałęsa, poparty przez olbrzymią część sfrustrowanych obywateli. Choć paradoksalnie to przyspieszenie miało oznaczać szybsze tempo wprowadzania ultraliberalnych reform. Tak na marginesie, żyjemy w cywilizacji, w której należy się spieszyć. Może dopiero generacja Zet to zmieni. A wracając do sedna problemu: żeby rozliczać w polityce, trzeba mieć polityczną siłę. Szczyt politycznej siły Donalda Tuska oraz koalicji rządzącej przypadał na pierwsze miesiące po efektownie wygranych wyborach. Rozliczenia miały miejsce w niektórych sferach, a w każdym razie na pewno daleko idące zmiany, w innych nie. Źródłem tego nie były zaniechania, brak woli, ale brak politycznej siły wynikający z różnych czynników.

Jakich?

Po pierwsze – ze skali poparcia dla głównych bloków politycznych. Po drugie dlatego, że zwycięstwo Karola Nawrockiego zmieniło nieco polską politykę. Po trzecie dlatego, że PSL nie kwapiło się – z różnych powodów, choćby po to, żeby nie zostać sam na sam z Donaldem Tuskiem, nie zatracić kontaktów na prawicy – do daleko idących rozliczeń. I wreszcie ważny był i jest także czynnik międzynarodowy, choćby w postaci Donalda Trumpa. On także ogranicza horyzont możliwej rozprawy z rządami Zjednoczonej Prawicy.

Ale jednak rozliczenia mamy: w zeszłym tygodniu zarzuty w śledztwie dotyczącym nieprawidłowości wokół finansowania kampanii społecznej „Sprawiedliwe Sądy" przez Polską Fundację Narodową usłyszała Anna P., obecnie pracownica Kancelarii Prezydenta, i Piotr M., obecnie dziennikarz Republiki. Są rozliczenia związane z Funduszem Sprawiedliwości, z Rządową Agencją Rezerw Strategicznych. Trochę tego jednak jest!

Nie mówię, że nie. Tyle tylko, że pamiętajmy, iż dla większości opinii publicznej polityka w dzisiejszym świecie, w dzisiejszej kulturze jest silnie spersonalizowana. I sytuacja, w której jakiś anonimowy polityk trzeciego rzędu jest w cieniu rozliczeń, nic nie znaczy.

Politycy z pierwszych rzędów też są rozliczeni, patrz: Zbigniew Ziobro.

Jego można od biedy uznać za polityka pierwszego planu, ale póki co, nic mu chyba nie jest. Żaden wyrok nie zapadł, żaden proces w zasadzie się nie toczy. Mateusz Morawiecki, Jarosław Kaczyński i wielu innych polityków jest wciąż czynnych zawodowo, żaden z nich nie poniósł odpowiedzialności za coś, co zarzucała im ówczesna opozycja, a dzisiaj koalicja rządząca. Te rozliczenia też są oczywiście pewnego rodzaju mitem. To jest, powiedziałbym, takie absurdalne przejęcie schematu myślowego prawicy z lat 90., domagającej się rozliczenia czasów Polski Ludowej, niepomnej kompletnie tego, jaki charakter miała w Polsce transformacja, jakie siły wewnętrzne i zewnętrzne były w nią zaangażowane. I później, kiedy SLD przestał odgrywać wiodącą rolę w polskiej polityce, a dwa odłamy prawicy – jeden bardziej liberalny, drugi bardziej konserwatywny – zostały sam na sam jako główne podmioty polskiej polityki, zaczęły ten schemat, dotyczący dużo poważniejszych kwestii i wydarzeń, nanosić na siebie nawzajem. To jest troszeczkę oderwane od rzeczywistości, pogłębia społeczne emocje. A przez osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy wśród afer były rzeczywiście poważne afery, jak i były takie, które są bardziej pochodną wyobraźni.

To znaczy?

Chociażby afera nazwana aferą Dwóch Wież. Chyba nawet najwytrwalsi przeciwnicy Jarosława Kaczyńskiego mieliby problem z uwierzeniem w to, że ów polityk epatujący dystansem wobec nowoczesności i prywatnego biznesu mógłby zostać kandydatem na czołowego dewelopera w centrum Warszawy. Spośród tych afer nie jest chyba przypadkiem, że to Fundusz Sprawiedliwości zaszedł najdalej w rozliczeniach, bo był najprostszy do tego, a ci, którzy znaleźli się w kręgu dyskusji, a niektórzy w kręgu podejrzeń, delikatnie rzecz ujmując cechowali się niebywałą wręcz beztroską w czasie sprawowania władzy. Ale, jak sądzę, jest to na mapie różnych afer bądź budzących wątpliwości opinii publicznej wydarzeń, zjawisk, procesów po roku 1989 taka afera rzędu średniego rzędu. Owszem, mowa w niej o dużych pieniądzach, ale to nie jest afera, która miała strategiczny wymiar. Spuentowałbym tak: Donald Tusk może kwestią rozliczeń utrwalić swoje przywództwo w partii, ma szansę utrzymać przywództwo w koalicji, natomiast to absolutnie nie wystarczy do ponownego zwycięstwa w wyborach.

Ewidentnie widać, że Donald Tusk chce też zrobić porządek w niektórych instytucjach państwa, że wspomnę o Trybunale Konstytucyjnym. Mówi się, że minister Żurek ma się wziąć za Prokuraturę Generalną. To się uda do wyborów, Pana zdaniem?

To nie ma tak naprawdę najmniejszego znaczenia. Każdy w Polsce, kto próbuje opierać strategię polityczną na kwestii wymiaru sprawiedliwości, bardzo na tym traci. Gdy Prawo i Sprawiedliwość doszło do władzy w 2015 roku, druga strona pod naciskiem środowisk pozaparlamentarnych obrała taką strategię i za chwilę nastąpiły złote lata PiS-u pod względem poparcia. I odwrotnie: PiS, kiedy utracił władzę w roku 2023, próbował przekonać opinię publiczną, że to on jest wytrwałym obrońcą wymiaru sprawiedliwości, praworządności i za chwilę rozpoczął się największy kryzys w dziejach tej partii. Myślę, że większość obywateli nie zauważy tak naprawdę, co się dzieje z Trybunałem Konstytucyjnym, który tak czy inaczej będzie sparaliżowany. Jedyna sprawa, która mogłaby mieć jakieś znaczenie wyborcze, gdyby plany ministra Żurka się ziściły, to sprawa praw kobiet, jeśli chodzi o aborcję. To kwestia, która wywołała poważne zainteresowanie i przyczyniła się niegdyś do utraty władzy przez PiS. Gdyby tu chciano wmontować Trybunał Konstytucyjny tylko w drugą stronę, tym razem liberalizując ustawodawstwo, to być może tak – to byłby dla wyborców jakiś argument. Oddelegowanie do TK ministra Berka sprawiało wrażenie pokazania żółtej kartki ministrowi Żurkowi i innym środowiskom zaangażowanym w kwestie wymiaru sprawiedliwości, jakby Donald Tusk chciał im powiedzieć, że niezbyt sobie z tym wszystkim radzą. Panuje chaos i powszechne przeświadczenie o niemocy. I być może nie jest dziełem przypadku, że dynamika wydarzeń stała się dużo większa po zapowiedziach Donalda Tuska dotyczących nominacji ministra Berka.

eprasa.pl 2b902aabc5

FOT. SYLWIA DĄBROWA

Prezydent Karol Nawrocki

FOT. ADAM JANKOWSKI

Premier Donald Tusk

Afera Zondacrypto, bo cały czas widzimy jej kolejne odsłony, wpłynie na nastroje społeczne, na to, jak ludzie będą głosować?

Myślę, że w minimalnym stopniu, chyba że wyjdą na jaw takie rzeczy, które jeszcze do tej pory na jaw nie wyszły. Olbrzymia część z nas niezbyt rozumie mechanizmy takiej niegdysiejszej bazarowej gry w trzy karty, tyle tylko, że przeniesionej na poziom internetu i rynku finansowego. Nie zdaje sobie sprawy zresztą, jak dużym zagrożeniem jest „ta gra" dla wielu obywateli. Wszak to forma hazardu. Więc dla większości z nas nie jest to coś, czego doświadczalibyśmy na co dzień. Znaczenie dla systemu partyjnego to wszystko może mieć wtedy, jeśli okazałoby się, że w cieniu Zondacrypto widnieją nie tylko politycy PiS-u, bo PiS co miał stracić, to już stracił, ale gdyby pojawili się na przykład czołowi politycy Konfederacji. Gdyby część opinii publicznej, ta głosując na Konfederację, dostrzegła, że istnieje jakaś szara strefa między PiS-em a Konfederacją, że te partie nie są od siebie tak odległe, jak Konfederacja na co dzień manifestuje, to mogłoby rzeczywiście mieć pewne znaczenie. Jeśli nie, ta afera wpisze się w zjawiska, które powodują, że PiS będzie żył nadal, zapewne będzie drugą siłą w parlamencie, natomiast jego możliwości przyciągania nowych wyborców będą bardzo ograniczone na tle tego, co ta partia prezentowała niegdyś.

Ceny paliw jednak mogą mieć znaczenie. Tutaj prezydent pozostaje nieugięty. Natomiast mam wrażenie, że na tym otwartym konflikcie z rządem Karol Nawrocki jednak traci. W rankingach zaufania dogania go Radosław Sikorski, zaufanie do prezydenta spadło od czerwca o siedem punktów procentowych. Więc to nie jest tak, że prezydent z tej wojny z rządem nie wychodzi trochę poobijany.

Do rankingów zaufania nie przykładałbym większej wagi. Bo tak to być może prezydentem byłby od dawna Ryszard Kalisz, który niegdyś brylował w tych rankingach, a Jarosław Kaczyński w szczycie swojej władzy bywał w nich nisko notowany. Nie sądzę, żeby konflikt z rządem sam w sobie wpływał na pozycję obecnego prezydenta. Przynajmniej na razie.

Dlaczego?

Dlatego że trwa swoisty miesiąc miodowy z udziałem prezydenta i istotnej części opinii publicznej. Takie miesiące w polityce oczywiście nie są wieczne. Wcześniej czy później to będzie musiało się zmienić. Zwłaszcza jeśli rządzący - kwestia paliw z tym się wiąże – będą stawiali głowę państwa przed koniecznością podejmowania decyzji, które nie wszystkim będą się podobały, które będą przeciwstawiały mu duże grupy wyborców, także jego wyborców. I kwesta ceny paliw jest jedną z takich sytuacji. Oczywiście wcześniej być może ustawa łańcuchowa, chociaż to dużo bardziej niszowy temat, była tematem, w którym każda decyzja podjęta przez Karola Nawrockiego była nacechowana ryzykiem. Więc konflikt z rządem sam w sobie niekoniecznie, ponieważ notowania rządu są bardzo niskie, natomiast długofalowe skutki niektórych sporów tak – mogą prezydentowi zaszkodzić. Pamiętajmy, że Karol Nawrocki dla istotnej części wyborców jest enigmą. Jest kimś, na kogo zagłosowali, bo nie chcieli, żeby druga strona wygrała wybory. Natomiast problem polityków, którzy zrobili gwałtowne kariery, jak Paweł Kukiz, jak Szymon Hołownia, jak Ryszard Petru, jak Karol Nawrocki polega na tym, że ich problemy zaczynają się wtedy, kiedy mija zgiełk kampanii wyborczej i opinia publiczna zaczyna się przyglądać, na kogo w zasadzie zagłosowała. Wtedy bardzo często odkrywane są dystanse między poglądami dużych grup wyborców a danym politykiem, czy też zdumienie stylem uprawiania przez niego polityki. Więc z całą pewnością notowania Karola Nawrockiego nie będą szły w górę. Wcześniej czy później rozpocznie się mniejszy czy większy ich spadek. Natomiast to, co utrzymuje tego polityka w różnym stopniu na czele rankingów, to jedno wydarzenie, to znaczy kwestia odebrania orderu Zełenskiemu. Tu minister Sikorski i reszta przespali moment eskalacji konfliktu i doprowadzili do tego, że Karol Nawrocki znalazł się na chwilę po tej samej stronie, po której była większość wyborców, także wyborców obozu rządzącego. To mu dało dodatkowy kapitał i opóźnia nieuchronne spadki popularności obecnej głowy państwa.

Myśli Pan, że Karol Nawrocki będzie teraz tracił w sondażach badających popularność i zaufanie do polityków?

Myślę, że to będzie wszystko ewoluowało. Samo zaufanie nie ma kompletnie żadnego znaczenia. Bronisław Komorowski niemal do momentu porażki w wyborach miał wysokie notowania zaufania. Istotne będzie co innego, mianowicie poziomy poparcia dla prawicowych partii, perspektywa ich zwycięstwa w wyborach i możliwość docierania nie tylko do wyborców PiS-u, bo ci w dużo mniej licznej liczbie niż niegdyś tak czy tak w ostatecznej instancji poprą Nawrockiego, natomiast bardzo różni wyborcy Konfederacji już niekoniecznie.

Ta wojna między rządem a prezydentem w ciągu tego najbliższego roku do wyborów będzie się nasilać?

W oczywisty sposób. Mówiąc krótko: prawica będzie się chowała za plecami prezydenta. Szczególnie PiS, zdając sobie sprawę z własnych ograniczeń. Z kolei rządzący wiedzą, że żaden inny polityk prawicy nie jest jej symbolem, jak Karol Nawrocki. Nawrocki inaczej niż wspomniany Duda, inaczej niż Morawiecki w roli premiera jest politykiem wyrazistym, politykiem o zupełnie innym stylu uprawiania polityki. No i co tu dużo mówić, politykiem bardziej kontrowersyjnym. I stąd trudno byłoby zmarnować ze strony koalicji rządzącej taką okazję i w niego nie uderzać.

Jak Pan myśli, co w ostatecznym rachunku zadecyduje o decyzjach wyborców niezdecydowanych? Bo to oni przesądzą o wyniku wyborów.

Ceny paliw przekładają się na ceny bardzo wielu produktów i towarów. W niektórych przypadkach w sposób szybki, bezpośredni, w innych pośrednio i w dłuższym horyzoncie czasowym. To świetnie widać w Stanach Zjednoczonych. Polska sama nie jest producentem, wydobywcą ropy, żeby nas mogła przed tym wszystkim, co dzieje się na światowych rynkach, uchronić. Rządzących czekają trudne decyzje z tym związane. Jeśli chcą mieć szansę na zwycięstwo w wyborach, muszą dbać o to, aby koszty życia codziennego ze względu na paliwa, ale także na inne aspekty, nie były coraz wyższe. Jak spojrzymy sobie nawet na ten Kraków, należy pamiętać, że nie można go przekładać prosto na ogólnokrajową politykę, bo tam jest zmienna w postaci Łukasza Gibały, która nie wystąpi w ogólnokrajowej polityce, poza tym Kraków nigdy nie był reprezentatywny dla wyników ogólnopolskich. Ale jedna rzecz zwraca uwagę. Otóż cała sprawa zaczęła się od strefy czystego transportu, która dla części mieszkańców, szczególnie obrzeżnych dzielnic, oznaczała ograniczenie komfortu poruszania się po mieście, a co za tym idzie podniesienie kosztów. To jest, powiedziałbym, małe wydarzenie, ale ono może urosnąć do rangi symbolu. Rząd stara się robić wiele, by zabezpieczać poziom życia kluczowych dla niego grup elektoralnych – świadczy o tym choćby reforma podatkowa korzystna dla obywateli i obywatelek o średnich dochodach. To pokazuje, że dostrzeżono taką konieczność. Ale tu chodzi przede wszystkim o to, by ograniczyć możliwość mobilizacji przeciwko rządzącym. A taka możliwość pojawia się wtedy, kiedy niezadowolenie ma dość szeroki charakter, kiedy powstają inne niż symboliczne poziomy niezadowolenia z rządzących, a zaburzenia poziomu życia codziennego w wymiarze materialnym czymś takim byłyby z całą pewnością.

Czyli najważniejsza dla wyborców jest jakość codziennego życia, tak?

To nie ulega najmniejszej wątpliwości. Oczywiście zdarzają się elekcje, w których pojawia się temat nagle bądź nie nagle, zakłócający ten prosty obraz, ale bez ogólnej frustracji z tym związanych bardzo trudno byłoby wyzwolić opozycji tak masowe zainteresowanie wyborców. Świetnie pokazała to kwestia wieku emerytalnego niegdyś, gdzie bez tego czynnika Platforma z całą pewnością nie oddałaby wówczas władzy. Straciła nawet na rzecz PiS-u mnóstwo wyborców. Obrosła negatywnymi stereotypami. I z kolei PiS, jak tracił władzę w ostatniej dekadzie – mało kto dzisiaj pamięta, jak toczyła się przez długi czas dyskusja o inflacji, która miała swoje bardzo różnorodne źródła, i zewnętrzne i wewnętrzne. Wysoka inflacja z całą pewnością nie pomogła PiS-owi. Więc tak – stabilność życia codziennego odgrywa bardzo ważną, nawet kluczową, rolę dla wyborców.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Prof. Rafał Chwedoruk

Politolog Uniwersytetu Warszawskiego. Specjalizuje się w polityce historycznej, ruchach społecznych, ekstremizmach politycznych. Autor wielu książek, m.in. „Polityka historyczna", „Socjaliści z Solidarności w latach 1989-1993".

eprasa.pl 2b902aabc5

LUDZIE

Da się trafić do celu z ponad jednego kilometra? Przemyślanin to potrafi

Karabin oparty na dwójnogu, z tyłu poduszka, przy oku luneta. Tarcza jest daleko, bardzo daleko. Dla laika to tylko niewielki punkt na końcu ogromnego poligonu. Dla Tomasza Jastrząbka to cel, do którego trzeba dopasować wszystko: odległość, wiatr, temperaturę, ustawienie karabinu, pozycję ciała i oddech

FOT. ARCHIWUM

Sam strzał jest końcem skomplikowanego procesu przygotowań

Norbert Ziętal

Jeden błąd może sprawić, że pocisk minie cel o kilka, a przy niektórych warunkach nawet kilkanaście centymetrów. Przy dystansie ponad kilometra każdy metr ma znaczenie.

Tomasz Jastrząbek z Przemyśla od kilku lat należy do czołówki zawodników strzelectwa długodystansowego. Startuje między innymi na 300, 600 i 800 metrów, a podejmuje się również strzelania na dystansach przekraczających kilometr. Z ostatnich mistrzostw Europy w Drawsku Pomorskim przywiózł cztery medale: złoty, srebrny i dwa brązowe.

Zaczęło się od wiatrówki

Pierwszy kontakt z bronią miał jeszcze jako dziecko. – U mnie w domu cały czas było strzelanie. Mój tato miał wiatrówkę, jeździł na zawody. Ja już od małego miałem kontakt z bronią i tak zacząłem – wspomina.

Później pojechał na strzelnicę. Musiał pożyczyć karabin, bo jeszcze nie miał swojego. Szybko okazało się, że nawet z cudzej broni potrafi osiągać dobre wyniki. Z czasem kupił własną. Zaczął poznawać sprzęt, ustawienia i wszystkie szczegóły, które w przyszłości miały decydować o wyniku. – Wszystko robiłem sam. Dobór sprzętu, ustawienia karabinu, lunety – mówi.

Na pierwsze poważniejsze zawody pojechał do Skarżyska-Kamiennej. Podczas treningu organizator zauważył, że nowy zawodnik radzi sobie całkiem dobrze. Zaproponował mu start w mistrzostwach Polski. Pan Tomasz nie miał jeszcze dużego doświadczenia, ale spróbował. Efekt? Drugie miejsce. To był dopiero początek. W 2021 roku pojechał na mistrzostwa Europy do Drawska Pomorskiego. Był to jego debiut w tej imprezie. – Pierwszy raz pojechałem na mistrzostwa Europy, a wygrałem cały turniej i przywiozłem złoto. To było coś niesamowitego – wspomina.

Od tamtej pory regularnie pojawia się na najważniejszych zawodach. Na jego koncie jest ponad 30 medali mistrzostw Polski, Europy i dużych zawodów międzynarodowych.

Nie wystarczy wycelować

Z boku strzelectwo długodystansowe może wyglądać jak sport, w którym liczy się przede wszystkim celność. Jednak sam strzał jest dopiero końcem całego, skomplikowanego procesu. Najpierw trzeba znać dokładną odległość, ocenić warunki i odpowiednio ustawić poprawki. Problem w tym, że na dużym poligonie warunki przy stanowisku strzeleckim mogą być zupełnie inne niż kilkaset metrów dalej. Podstawowe konkurencje rozgrywane są na 300, 600 i 800 metrów. Są też dystanse przekraczające kilometr. Podczas tegorocznych zawodów pan Tomasz strzelał na 1057 metrów. – Zawody na strzelnicy i na dużym poligonie to dwie różne konkurencje. Na strzelnicy wszystko można przewiedzieć, a poligon to duży obszar, tam wiatr ma się gdzie rozpędzić – tłumaczy.

Właśnie wiatr jest jednym z największych przeciwników każdego zawodnika. Przy krótkim dystansie jego wpływ można czasem zlekceważyć. Przy 800 czy 1000 metrach nie ma już takiej możliwości. Powietrze pomiędzy strzelcem a tarczą może zachowywać się różnie na kolejnych odcinkach toru lotu pocisku. Zawodnik musi przewidzieć, jak te zmiany wpłyną na strzał. Najpierw trzeba więc zmierzyć rzeczywistą odległość. Nie robi się tego „na oko". Tomasz, podobnie jak inni zawodnicy, korzysta z dalmierza. – Każdy metr jest ważny. Niewielka pomyłka, a kula trafi w zupełnie w inne miejsce – wyjaśnia.

W obliczeniach pomagają kalkulatory balistyczne. Ten sprzęt pozwala szybko przeliczyć potrzebne poprawki, ale nie rozwiązuje wszystkich problemów. Na dużym poligonie pogoda potrafi zmienić się szybciej, niż zawodnik odda kolejne strzały. Dlatego doświadczeni strzelcy obserwują nie tylko urządzenia. Patrzą także na powietrze. Praktyka jest o wiele ważniejsza niż najlepsze urządzenia.

Wiatr widać przez lunetę

Przemyślanin mówi o mirażu. Przez lunetę można zobaczyć charakterystyczny ruch ogrzanego powietrza nad ziemią. Dla początkującego strzelca może być niemal niezauważalny. Dla doświadczonego zawodnika staje się kolejną wskazówką dotyczącą siły i kierunku wiatru. – Jak się zobaczy przez lunetę, to widać, pod jakim kątem wiatr to gorące powietrze przesuwa – tłumaczy.

Z czasem można nauczyć się rozpoznawać różnice. Inaczej wygląda miraż przy słabym wietrze, inaczej przy mocniejszym. Właśnie dlatego w tej dyscyplinie trudno zastąpić doświadczenie samym sprzętem. Można kupić dobry karabin, lunetę, dalmierz i kalkulator balistyczny. Nie można jednak kupić lat spędzonych na obserwowaniu zachowania pocisku w różnych warunkach.

Na stanowisku zawodnik leży. Karabin z przodu oparty jest na dwójnogu, z tyłu na specjalnej poduszce. Pozycja musi być stabilna, ale jednocześnie pozwalać na sprawne przechodzenie pomiędzy kolejnymi dystansami.

W klasie Semi-Auto Open, w której startuje Tomasz, trójbój obejmuje 300, 600 i 800 metrów. Na każdym dystansie trzeba oddać dziesięć strzałów. Na wszystko jest 18 minut.

– Osiemnaście minut jest na trzy dystanse. Na 300 metrów dziesięć strzałów, na 600 metrów dziesięć i na 800 następnych dziesięć. Razem z przeładowaniem, z przeliczeniem, z zobaczeniem tego wiatru, ze wszystkim trzeba się zmieścić w osiemnaście minut – wylicza pan Tomasz.

Podczas zawodów w Drawsku Pomorskim było jeszcze trudniej. Ze względu na fatalne warunki pogodowe czas skrócono do 15 minut. – To był wyścig z czasem – mówi.

W kwadrans trzeba zmienić dystans, obserwować wiatr, przeładować broń, oddać strzały i pilnować wyniku. Nie ma miejsca na długą przerwę. Z drugiej strony pośpiech również może kosztować punkty.

W tej dyscyplinie znaczenie ma także ułożenie ciała. Przemyślanin nie zatrzymuje całkowicie oddechu. Najlepiej strzela mu się na półoddechu, ponieważ przy całkowitym wypuszczeniu powietrza po pewnym czasie zaczyna odczuwać dyskomfort.

Jeszcze jeden szczegół. Policzek musi być stabilnie oparty o kolbę. – Jak się brodą dotyka karabinu czy policzkiem, to musi być oparty. Ja przynajmniej tak robię o kość policzkową. Jeżeli ktoś tego nie zrobi, to widać nawet na lunecie puls – mówi.

Strzelanie długodystansowe to niezwykle precyzyjny sport. Zawodnik leży nieruchomo, a przez lunetę może zobaczyć nawet delikatne drgania wynikające z własnego pulsu. Nie ma tu miejsca na przypadkowe ruchy.

Karabin też trzeba znać

Pan Tomasz używa dwóch karabinów, ponieważ startuje w dwóch klasach sprzętowych. Jeden to amerykański Lancer L30 kalibru 6,5 Creedmoor. Kupił go w 2018 roku i od tego czasu praktycznie niczego w nim nie zmieniał.

Drugi został zbudowany specjalnie według jego założeń, z wybranymi przez niego komponentami. – Długość lufy, skręt, długość lufy. Każdy element dostosowałem pod siebie – opowiada. W klasie Standard używa karabinu o kalibrze 308 Winchester, którego masa wraz z wyposażeniem musi mieścić się w limicie określonym w regulaminie. Ważną częścią wyposażenia są lunety. Pan Tomasz korzysta ze sprzętu firmy Schmidt & Bender, ale wśród zawodników popularne są także inne specjalistyczne marki. Nie ma jednak jednego celownika, który pasowałby każdemu. – Każdy ma inne oko. Musi popatrzeć sobie przez szkło i wybrać najlepsze – mówi.

Czy snajper musi mieć sokole oko? To największy mit, bo okazuje się, że nie. Pan Tomasz ma wadę wzroku, ale odpowiednie ustawienie optyki pozwala mu widzieć obraz wystarczająco wyraźnie. Współczesne lunety umożliwiają dopasowanie dioptrii do konkretnego oka.

W historii wyczynowego sportowca najbardziej zaskakuje być może to, że pan Tomasz nie trenuje regularnie tak często, jak można by się spodziewać. Powód jest prosty. Prowadzenie firmy i codzienne obowiązki sprawiają, że na częste wyjazdy na strzelnicę zwyczajnie brakuje mu czasu. Kilka lat temu trenował więcej. Wtedy przekonał się również, że przesada może przynieść odwrotny skutek. – Kilka lat temu miałem tak po prostu, że trenowałem i się przetrenowałem. To jest dla mnie gorsze niż nietrenowanie – mówi.

Tegoroczne mistrzostwa Europy przyniosły jeszcze jedną historię. Tuż przed zawodami zepsuł mu się karabin. Udało się go naprawić, ale Tomasz nie zdążył już oddać ani jednego strzału. Na zawody pojechał bez treningu, bez „rozstrzelania". Wrócił z... czterema medalami. Nie oznacza to, że trening jest w tym sporcie niepotrzebny. Tomasz uważa jednak, że oprócz pracy i doświadczenia potrzebne są również określone predyspozycje. – Można powiedzieć, że wytrenować można do pewnego stopnia. Ale później to już jednak trzeba mieć tak, że to się mówi: albo się ma to coś, albo nie ma – twierdzi .

Mundurowi i pasjonaci

Na zawodach spotykają się przedstawiciele różnych środowisk. Jest sporo policjantów i żołnierzy, ale są również cywile, sportowcy i osoby, które po prostu znalazły w strzelectwie swoją pasję. Pan Tomasz przyznaje, że bez niej trudno byłoby osiągać dobre wyniki. Ten sport wymaga ciągłego szukania odpowiedzi na pytanie, dlaczego jeden strzał był lepszy od drugiego i co sprawiło, że pocisk znalazł się akurat w tym miejscu tarczy. – Kto ma pasję, po prostu bardziej się tym interesuje, bardziej docieka. I przez to podwyższa swoje umiejętności – mówi.

Sam nie jeździ na wszystkie możliwe zawody. Wybiera przede wszystkim najważniejsze – mistrzostwa Polski, Europy oraz duże imprezy międzynarodowe. Jego dorobek to już ponad 30 medali.

Strzelectwo w Polsce w ostatnich latach wyraźnie zyskało na popularności. Dane Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego pokazują wzrost liczby licencjonowanych zawodników i klubów, a coraz więcej osób pojawia się również na strzelnicach.

Pan Tomasz zauważył tę zmianę także w swoim najbliższym otoczeniu. Jak mówi, przed rosyjską agresją na Ukrainę zdarzali się znajomi, którzy pytali go, po co właściwie posiada broń i dlaczego interesuje się strzelectwem. Po wybuchu wojny pytania często były już inne. – Odkąd wybuchła wojna, to już zaczęli do mnie dzwonić, jak wyrobić sobie pozwolenie, co to trzeba zrobić – opowiada.

Jego zdaniem większe zainteresowanie bronią powinno oznaczać również większą wiedzę na temat bezpieczeństwa. – Broń to nie jest zabawka. To jest narzędzie od początku wymyślone do zabijania. Nie ma się co oszukiwać – podkreśla.

©℗

eprasa.pl 2b902aabc5

MATERIAŁ INFORMACYJNY KOSD WROCŁAW 0011588888

Nowoczesna inwestycja pod Wrocławiem.

W pakiecie wróżka i gwiazdor Eurowizji

Takie rzeczy tylko w kopalni KOSD Wrocław! U stóp słynącej z magii góry Ślęży, kopalnia wydobywa antygoryt – zastygłą miliony lat temu lawę wulkaniczną, naturalnie zieloną, wykorzystywaną współcześnie zarówno do budowy dróg, jak i produkcji pięknych kamieni ogrodowych, galanterii kuchennej, biżuterii. Firma ruszyła właśnie z nową inwestycją. Pod marką Fill Green produkuje ekologiczne spoiwa dla chemii budowlanej. Tak samo rewolucyjne jak uroczystość, która towarzyszyła otwarciu marki.

Goście, który przybyli na otwarcie nowoczesnej fabryki Fill Green – przedstawiciele przedsiębiorstw, organizacji, urzędów czy wyższych uczelni – byli mocno zaskoczeni, gdy zamiast standardowego „uścisku dłoni prezesa", zostali powitani na terenie kopalni w Nasławicach przez ucharakteryzowanych po starosłowiańsku szczudlarzy oraz tancerki z Teatru Avatar, dzieci ze szkoły w Świątnikach oraz prawdziwą... wróżkę – szeptuchę!

Widowiskowy odstrzał i popularny aktor

Prezes KOSD Mirosław Kotowski „przejął" gości nieco później. Zaprowadził ich nad imponujące wyrobisko antygorytu, mające zasoby do wydobycia sięgające 20 mln ton! Następnie zaprosił na wycieczkę po kopalni, podczas której wyjaśniał szczegóły nowoczesnej linii technologicznej Fill Green, służącej do produkcji wypełniaczy mineralnych dla chemii budowlanej. Potem wszyscy weszli do pachnącej nowością hali produkcyjnej, w której obejrzeli – na wielkim ekranie – niesamowite widowisko: transmitowany na żywo przez kamery i drony odstrzał skał na wyrobisku.

– Na oczach naszych gości odstrzelonych zostało 46 tys. ton surowca! Użyto do tego ponad 6 tys. ton materiałów wybuchowych – mówi prezes Mirosław Kotowski.

Ludzie nie zdążyli jeszcze ochłonąć po widowiskowym odstrzale, a już czekała ich kolejna niespodzianka. Na scenę wszedł popularny aktor Piotr Pręgowski, znany z tak kultowych produkcji filmowych, jak m.in. „Miś" i „Zmiennicy" czy roli Pietrka w serialu stulecia „Ranczo". W koronie i odważnym stroju Króla Gibango, aktor zaprezentował najnowsze wcielenie, którym podbił tegoroczną Eurowizję. Podczas wydarzenia w Nasławicach pełnił rolę konferansjera, humorystycznie przeprowadzając gości przez kolejne niespodzianki.

– Wielką „atrakcją" naszego eventu okazała się szeptucha Jolanta Szewczyk. Do jej groty ustawiały się kolejki. Zarówno kobiet, jak i panów, bez względu na pełnione funkcje i stanowiska. Szeptucha potrafiła bowiem zobaczyć w człowieku jego losy i dać trafne rady na przyszłość. Budziło to olbrzymie zdziwienie gości, ponieważ zgadzało się niejednokrotnie z ich przeczuciami i myślami – mówi prezes Mirosław Kotowski.

– Dla mnie to wydarzenie też było niesamowite! Tym bardziej że otoczenie antygorytowych skał dodaje temu miejscu niesamowitej energii. Te kamienie mają wielką moc – powiedziała nam szeptucha.

Nie bez powodu z antygorytu z Nasławic wytwarzane są np. bransoletki. Noszone na nadgarstkach, koją ludziom nerwy, redukują stres, wspomagają pamięć i koncentrację. Ze względu na te wyjątkowe właściwości antygorytu, na czas eventu zbudowany został na terenie kopalni „Krąg mocy", z wydobywanych tu głazów. Można było czerpać z niego dobrą energię.

Ciekawym elementem wydarzenia był też poczęstunek, przygotowany przez artystkę kulinarną, Martę Kuczmę. Był inspirowany starosłowiańskimi przepisami, które – według przekazów – gwarantują hojność i dobrobyt. Goście mogli się delektować m.in. tatarem z grzybów, fermentowanymi śledziami na musie jabłkowo-cebulowym i innymi pysznościami.

Gwiazdą wypełnionego starosłowiańskimi akcentami wydarzenia był zespół Percival, znany w świecie ze ścieżki dźwiękowej do kultowej gry Wiedźmin. Grupa wykonała w Nasławicach świetny koncert tradycyjnych pieśni słowiańskich, wykorzystując dawne instrumenty.

Magia i rewolucja idą w parze

– Uroczysty debiut marki Fill Green był godny produktów, które firma wprowadziła lub niebawem wprowadzi na rynek krajowy, a zapewne i zagraniczny. Organizatorzy zaprezentowali nam nowoczesny ciąg technologiczny, a inicjujący odstrzał na starcie był wielokrotnie bardziej widowiskowy niż otwarcie szampana. Końcowe odcinki tego ciągu pokazały nam możliwości, jakie daje zarówno surowiec, jak i technika obróbki. Jest to mała rewolucja techniczna, ale i artystyczna. W szczególności zainteresowała mnie część otwierająca nową przestrzeń na materiały i chemię budowlaną. Zarówno surowiec, jak i technologia, pozostają w absolutnej symbiozie ze współczesnymi badaniami naukowymi i trendami ekologicznymi. Jeżeli firma wyrazi zainteresowanie współpracą, jesteśmy – jako uczelnie i instytucje badawcze – bardzo zainteresowani badaniami fizykochemicznymi, na końcu których pojawią się (mam nadzieję) jeszcze doskonalsze rozwiązania racjonalizatorskie. Już teraz urodziły się pomysły na temat nowych projektów badawczych, a w mniejszej skali na doktoraty wdrożeniowe – mówi prof. Andrzej Ubysz, profesor na Wydziałach Budownictwa Lądowego i Wodnego Politechniki Wrocławskiej oraz Inżynierii Kształtowania Środowiska i Geodezji Uniwersytetu Przyrodniczego.

– Inwestycja Fill Green jest dowodem na to, że innowacyjne, proekologiczne rozwiązania, mogą powstawać w regionie wrocławskim w oparciu o lokalny surowiec. Połączenie tradycyjnego wydobycia z nowoczesnym zapleczem badawczo-rozwojowym to model, który chcielibyśmy widzieć częściej na Dolnym Śląsku. Pozytywnie zaskoczyła mnie skala samego wyrobiska oraz zakres zastosowań tej skały i jej wykorzystanie, np. przy pracach inwestycyjnych w Porcie Lotniczym Wrocław. W uroczystości otwarcia szczególnie doceniam oryginalny sposób, w jaki przedstawiciele firmy potrafili przedstawić projekt: z wiedzą i zaangażowaniem, ale też nawiązując do staropolskich zwyczajów i historii miejsca -mówi Mateusz Jarzombek, Dyrektor Centrum Wspierania Biznesu w Agencji Rozwoju Aglomeracji Wrocławskiej (ARAW).

– Działanie u stóp magicznej Ślęży zobowiązuje do wyjątkowego szacunku dla spuścizny tego miejsca – podkreśla Mirosław Kotowski, prezes KOSD Wrocław. Dodaje, że nowa marka Fill Green pracuje nad wprowadzeniem na rynek – obok ekologicznych wypełniaczy i grysików mineralnych dla chemii budowanej – także produktu, który będzie alternatywą dla cementu.

– To będzie rewolucja. Na rynku chemii budowlanej nie było bowiem dotąd alternatywy dla cementu, którego produkcja wiąże się z wysokim śladem węglowym i dużymi kosztami. Nasz produkt będzie dużo mniejszym obciążeniem dla środowiska i tańszym. Trwają zaawansowane prace nad jego opatentowaniem – mówi Mirosław Kotowski, Prezes Zarządu Spółki KOSD Wrocław, właściciela marki Fill Green.

Adresy www: polishgreen.pl, fillgreen.pl, builtgreen.pl

eprasa.pl 2b902aabc5

ROZMOWA

FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

Lech Janerka w swoim domu na peryferiach Wrocławia. To tutaj powstała – w większości – jego ostatnia płyta, obsypana nagrodami muzycznymi „Fryderyk”. Z salonu jest wyjście na klimatyczny ogród

– Staram się być w wolnych chwilach solidnym, rzetelnym emerytem

Lech Janerka zaprosił nas do swojego domu na peryferiach Wrocławia. Żeby na spokojnie porozmawiać, bez pośpiechu, na luzie. Sielanka. Dom przy ślepej uliczce. Cisza. W środku klimatyczne wnętrze. Siedzimy na starych, wygodnych fotelach tuż przy wyjściu na pełen zieleni ogród. Lech Janerka coś nuci pod nosem, przygrywa sobie na gitarze. I opowiada...

Robert Migdał

Ładny ma Pan dom: klimatyczny, z ogrodem.

Po trzydziestu paru latach wyprowadziłem się z ulicy Legnickiej. Mieszkałem vis a vis zajezdni tramwajowej, na trzecim piętrze, pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Podobało mi się. Od telewizora do lodówki były dwa kroki.

Wygodnie.

Małe mieszkanko, jeden pokoik, w którym byłem w stanie tworzyć. Tam nagrywałem na przykład głosy do płyty „Fiu Fiu”. Mieszkaliśmy w tym mieszkaniu z Bożeną, z dwójką dzieci nieletnich i dwoma psami. Dużym wilczurem, a właściwie wilczurzycą i takim małym kundelkiem, którego ktoś przywiązał na zamarznięcie pod domem handlowym „Astra”, w styczniu. No i wzięliśmy go obsikanego i półżywego.

Ma Pan dobre serce. A czy oprócz „Fiu Fiu” w tym mieszkaniu powstał materiał na inne płyty?

Pierwszą płytą, którą tam robiliśmy, było „Ur”. Co tam jeszcze powstawało? „Bruhaha”. „Dobranoc”... No i w końcu myślałem, że dokonam żywota na tej Legnickiej, bo tak się do tego miejsca przyzwyczaiłem.

Gościłem w tym mieszkaniu u Państwa. Ładne było, wszędzie blisko.

Tak, mieszkanko było nieduże, ale zwarte. Ale przyszedł taki moment, że zaczęło nam doskwierać bieganie na trzecie piętro, wnoszenie sprzętu i tak dalej. No i Bożena, moja żona, powiedziała: „Słuchaj, trzeba coś z tym zrobić, bo nie da się tu żyć”. Na dodatek nie było gdzie auta postawić – zdarzało się, że pod domem nie mogłem zaparkować i musiałem parkować na stacji benzynowej, która była po drugiej stronie ulicy.

No i przy Legnickiej było głośno.

Tam był monstrualny hałas. To był betonowy blok i ten beton wpadał w rezonans. Straciłem tam słuch.

Ooo...

W ogóle połowy pasma nie słyszałem, bo to mieszkanie cały czas wibrowało, a mózg produkuje pewien filtr: broni się w ten sposób, że wycina część pasma. A po przeprowadzce do nowego domu – po pół roku – słuch mi wrócił.

Kupno domu, wyprowadzka na peryferie Wrocławia... Długo się Pan zastanawiał nad tą rewolucją w życiu?

Nie, to był przypadek. Kiedyś byliśmy na przyjęciu i mama naszego gitarzysty, która lubi pomieszkać w nowym domu najwyżej trzy lata, potem go sprzedaje i kupuje nowy, zapytała mnie, czy dalej mieszkamy na Legnickiej.

– „No tak” – odpowiedziałem.

– „Na tym trzecim piętrze?” – dopytywała.

Powiedziałem: „Daj spokój, nie chcę rozmawiać o tym. Porozmawiaj z Bożeną”. No i porozmawiały. Potem pojechałem do Warszawy na sesję zdjęciową i wtedy zadzwoniła Bożena: „Słuchaj, kupiłam dom, trzeba zapłacić”. No i mamy dom.

Ma Pan pełne zaufanie do żony.

Nie miałem duszy na ramieniu, bo wiem, że Bożena jest rozsądna. I rzeczywiście dom jest fajny. Przy ślepej uliczce. Problemy z parkowaniem zniknęły. Dom był gotowy do zamieszkania, było w nim wszystko, całe wyposażenie. Po miesiącu mieszkania odkryłem... zmywarkę do naczyń w kuchni. Nie było tylko łóżek. Wstawiliśmy je i wprowadziliśmy się.

Piękny salon. Stare meble, kredens z klimatem, wygodne fotele...

A na górze mam studio. Tu praktycznie nagrałem ostatnią płytę.

„Gipsowy odlew falsyfikatu”.

Nagrywaliśmy ją siłami wrocławskimi, bo Bartosz Straburzyński tę płytę produkował. On nagrywał coś w domu, przysyłał mi via internet, ja kompilowałem z tym, co ponagrywałem tutaj. No i tak dobrnęliśmy

eprasa.pl 2b902aabc5

do końca po wielu, wielu latach. Długo to trwało, ale rozpocząłem pracę nad tą płytą jeszcze na Legnickiej, no a potem przenieśliśmy się tutaj i tutaj ją kończyłem.

Czekaliśmy na nią 18 lat!
Nie przesadzaj, jakie osiemnaście?! (Lech Janerka liczy: „2005... 15 lat i trzy..."). No rzeczywiście. Osiemnaście.

Bardzo długo...
Jest coś takiego: kiedy się zaczyna grać i zaczyna się pracować na scenie, z muzyką, to praktycznie powinno się nagrywać płytę co roku. Jeżeli dzieje się tak naturalnie, to super. Ale jeżeli się nie dzieje, to drugie super, bo na siłę robienie czegokolwiek nie ma sensu. Ja tak nie potrafię.

To kiedy będzie kolejna płyta?
Na razie myślę o tym, żeby dotrwać do końca tego roku. Gramy jesienią koncerty. Na początku przyszłego roku zobaczę, co tam po szufladach leży. A sporo rzeczy leży. Czeka.

Dobra wiadomość.
Zobaczymy, czy to spełnia moje kryteria na 2027 rok. Jeżeli będzie spełniało, to nagram i wydam. Zrobię jakąś płytę. Ale też mam nadzieję, że jeszcze coś nowego powstanie, coś nowego skomponuję: że od przyszłego roku coś tam zacznie mi po głowie chodzić i szczypać mnie za ucho, przypominając, że warto by było coś nowego napisać. To jest wyzwanie, przygoda fajna. Zawsze mnie to budowało.

Zacisze domowe sprzyja komponowaniu, pisaniu, tworzeniu?
Napisałem tu parę piosenek na „Gipsowy odlew falsyfikatu", ale od tamtego momentu nie napisałem niczego. Raczej ten dom to jest azyl – powrót do domu jest pretekstem do tego, żeby nic nie robić.

Lubi Pan „nicnierobienie"?
Kocham. Zawsze lubiłem intensywnie pracować i potem wpadać w błogostany różne, dziwne.

Mieszka Pan na peryferiach już szósty rok. Jest Pan takim typowym domatorem, który uprawia ogródek, kwiaty, jakieś warzywka?
Warzyw nie uprawiam. Postanowiliśmy mieć trochę zieleni przed nosem, więc własnymi siłami posadziliśmy parę krzaczków – trochę na rympał, a trochę pod lekkim nadzorem – i sobie rosną. Nie chciałem bawić się w trawniki.

Kojąco to wygląda. Aż chce się położyć na leżaku, odpocząć.
Tak nie miało być od początku. Kiedy przyjechaliśmy pierwszy raz, cały ogród był obłożony czarną folią. Bardzo mi się to podobało i wymyśliłem sobie, że... położymy asfalt, postawimy budkę telefoniczną, semafor i kierunkowskaz z napisem „Tesco". (śmiech)

Pełne szaleństwo.
Czerń, czerwień, prostota, umiar, elegancja. No, ale Bożena...

Głos rozsądku.
...powiedziała: „nie". Musi być zielono. Posadziliśmy więc parę rzeczy i one sobie tam jakoś dają radę. A zamiast trawnika sypnąłem korą. No i o dziwo, spod tej kory zaczęły wyłazić kwiaty. Nagle zakwitły nam sasanki. To coś w ogóle niewiarygodnego. I jakieś grzyby. Wywaliłem je, wytrzebiłem dokładnie, a dopiero później kierowca, który nas wozi na koncerty i który jest grzybiarzem, mówi: „Słuchaj, coś ty zrobił! Te grzyby są strasznie drogie".

FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

Przytulny dom jest pełen muzyki i instrumentów

Ma Pan rękę do roślin, grzybów. Prowadzi Pan spokojne życie emeryta?
Staram się w wolnych chwilach być solidnym, rzetelnym emerytem. Do końca roku gramy koncerty, a potem przestaję robić zamieszanie. À propos emerytury. Gramy z Bożeną czterdzieści parę lat, ale nie wiedzieliśmy, czy otrzymamy emeryturę. Po siedemdziesiątce sprawdziliśmy: mamy, choć groszową. Ale przysługują nam świadczenia lekarskie. Przydało mi się to, bo w zeszłym roku – po dwóch bardzo intensywnych sezonach – się rozjechałem i znalazłem się w szpitalu. I nie musiałem za niego płacić, bo jestem ubezpieczony.

Wspomina Pan o koncertowaniu. Wiele osób zelektryzowało to, że jest to trasa pożegnalna. W Narodowym Forum Muzyki we Wrocławiu, na początku października, ostatni koncert.
Żegnam się z Wrocławiem, żegnam się z wieloma miejscami w Polsce, które jakoś wspominam. Są to miejsca, które jakoś wiążą się z pozytywnymi wspomnieniami, gdzie ludzie byli mili. Czasami to są miejsca spektakularne, takie jak NFM we Wrocławiu, a czasami klubiki na sto osób.

Definitywnie Pan postanowił, że przestanie koncertować?
Tak. Ludzie płacą ciężkie pieniądze za bilet i trzeba im dawać usługę solidnej jakości. A z tą jakością to już bywa różnie. Nigdy nie byłem jakimś pieśniarzem najwyższych lotów, a w tej chwili jeszcze wiek powoduje to, że gardło już nie chce pracować tak jak powinno, jakbym sobie tego życzył. No więc nie ma sensu dalej się wydurniać.

Jakość.
Jakość przede wszystkim.

Po koncertach – oprócz komponowania – może Pan książkę napisze? Autobiografię na przykład.
Poważne wydawnictwa przysyłały mi już nawet wzór umowy do podpisania. Ale postanowiłem, że nie napiszę autobiografii.

Dlaczego?
Jest szereg powodów. Słaby temat.

Eeee tam, ma Pan ciekawe życie.
Nie jestem swoim fanem. Nie chciałbym się puszyć, opowiadać o sobie. Tym bardziej że ludzie mają wystarczającą ilość swoich zgryzot, aby jeszcze czytać o czyichś jakichś takich przypadkach nie za ciekawych.

Starsze pokolenie, ale i to młodsze kochają Janerkę. Hip hopowy zespół „PRO8L3M", wielce popularny wśród młodzieży – wiem, bo moje dzieci go słuchają – skorzystał z Pana twórczości.
Robili płytę, która nawiązywała do lat osiemdziesiątych i tam jakiś fragmencik czegoś mojego wzięli. Mnie jest wtedy bardzo miło, nie mam nic przeciwko temu. A nawet jakiś zespół discopolowy wziął moją piosenkę.

Disco polo?
No tak. Zadzwonili, zapytali się, czy mogą. Ja mówię: „Pewnie, a czemu nie!".

A duety? Z młodszym pokoleniem?
W mojej karierze były propozycje, ale ja jestem słabym śpiewakiem, więc nie palę się do takich kooperatyw. Ostatnio zadzwonił chłopak – „Kieras" - i pyta, czy może wziąć fragmenty moich wywiadów, bo mówię grubym głosem i fajnie to będzie brzmiało z jego muzyką. Zgodziłem się. Podesłał piosenkę, coś tam swojego dokleiłem. A potem okazało się, że ten nasz utwór wylądował na pierwszym miejscu radiowej Trójki – utwór „Skleroza".

Artyści pracują niekiedy zdalnie, przesyłają sobie kawałki kompozycji, aranżacje nawet z drugiej strony globu. Nowoczesność, technika, elektronika, komputery – to dla wielu codzienność. A co Pan sądzi o korzystaniu przez muzyków, twórców, kompozytorów ze sztucznej inteligencji?
Kreatywni nie powinni się jej bać. Boją się ci, którzy nie są twórczy lub tylko symulują kreatywność. Dla mniej jest to narzędzie, z którego warto korzystać. No proszę sobie wyobrazić, że siedzi pan nad nowym utworem i potrzebuje, żeby było coś zagrane nietypowo, np. przez oktet smyczkowy.

I żeby sprawdzić, jak to zabrzmi, to by trzeba było zawołać oktet, zapłacić muzykom, przemęczyć ich, popisać aranżację, skorygować i tak dalej. Mało kogo na to stać. A tak wrzuca się zapytanie do AI i po chwili można posłuchać, jak ta kompozycja brzmi wykonywana przez oktet smyczkowy. A na dodatek można korygować: „Niech bardziej chropawo zagrają" „A teraz z vibratem", „A dodajmy do tego blachy, czyli trąby". I w sekundę mam efekt... Oczywiście nigdy, podkreślam: nigdy, nie zgodziłbym się, żeby sztuczna inteligencja coś za mnie napisała, skomponowała czy zaaranżowała. To ma być tylko posłuszne narzędzie.

Nie jestem swoim fanem. Nie chciałbym się puszyć, opowiadać o sobie. Tym bardziej że ludzie mają wystarczającą ilość swoich zgryzot, aby jeszcze czytać o czyichś jakichś takich przypadkach nie za ciekawych

LECH JANERKA,

artysta muzyk, wokalista

Rok 2046. Sztuczna inteligencja wyprodukowała hologram Lecha Janerki, który jest wyświetlany na scenie...
A publicznością są laptopy... (śmiech) Proszę bardzo, czemu nie? Chociaż nie sądzę, żeby laptopom czy tam innym sztuczniakom będzie się chciało tracić czas na pierdoły. Raczej będą kombinowali, jak zdobyć władzę nad solidną bazą energetyczną.

Wróćmy do roku 2026. Lech Janerka ma 73 lata na karku.
Solidne 73!

Robi Pan jakieś podsumowania: to mi wyszło, to nie, a to mogłem zrobić lepiej?
Tego typu podsumowania robiłem w czasie realnym, więc teraz nie robię.

PESEL trochę dokucza?
Czasami jestem zdziwiony, że czegoś nie mogę: organizm jakby nie nadąża za pomysłem. I takich momentów jest coraz więcej... ©℗

eprasa.pl 2b902aabc5

HISTORIA

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

2 października Wojsko Polskie rozpoczęło powolny marsz przez Zaolzie. Nie doszło do większych walk

Ostatni rozdział z dziejów polskiej mocarstwowości: zajęcie Zaolzia

2 października 1938 roku wojska Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Śląsk" generała Władysława Bortnowskiego wkroczyły na Zaolzie. W ten sposób Polacy dopisali aneks do zawartego wcześniej Układu monachijskiego, który umożliwiał III Rzeszy zajęcie czeskich Sudetów

Mariusz Grabowski

Zajęcie Zaolzia przypieczętował dekretem prezydent Ignacy Mościcki 11 października 1938 roku. Na jego mocy Zaolzie zostało włączone do województwa śląskiego. Inkorporacja do Polski objęła około 900 km kw. zamieszkałych przez ok. 220 tysięcy ludzi.

W cieniu Monachium

Sanacyjna propaganda trąbiła o dziejowym mocarstwowym triumfie i powrocie na rdzenne polskie ziemie. Ale na arenie międzynarodowej aneksja Zaolzia spotkała się z potępieniem – Polska została uznana za sprzymierzeńca Niemiec w podziale Czechosłowacji i kraj, który uniemożliwił stworzenie forsowanego prze Francję systemu sojuszy w Europie Środkowej.

Był jeszcze jeden aspekt tej politycznej układanki: w maju 1935 r. Republika Czeska, w ramach tzw. Paktu wschodniego, zawarła przymierze o wzajemnej pomocy ze Związkiem Sowieckim. Rzeczpospolita Polska uznała to za akt sobie wrogi, uznając casus Zaolzia za formę rewanżu.

O emocjach, jakie towarzyszyły wówczas sporowi polsko-czechosłowackiemu, niech świadczy fragment rozkazu marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego, odczytany żołnierzom 2 października 1939 r: „Za chwilę przekroczycie Olzę, skazaną w ciągu długich lat na upokarzającą służbę rzeki, oznaczającej granicę nie istniejącą ani w sercach tych, co oba jej brzegi zamieszkują, ani w sercach całego narodu polskiego".

Konflikt graniczny między Polską a Czechosłowacją rozpoczął się w momencie, gdy oba kraje uzyskały niepodległość po Wielkiej Wojnie. Już 23 stycznia 1919 r. Czesi wkroczyli na sporne tereny Śląska Cieszyńskiego i szybko zaczęli zdobywać kolejne miejscowości, m.in. Bogumin, Karwinę i Suchą. Doszło nawet do bitwy pod Skoczowem i dopiero interwencja mocarstw zachodnich umożliwiła wstrzymanie walk.

Na początku lutego 1919 r. czeska armia wycofała się za Olzę, uzyskując jednak zdecydowanie korzystniejsze prowizoryczne rozgraniczenie, oparte na linii kolejowej Koszyce – Bogumin.

Podczas konferencji w Spa w lipcu 1920 r. europejskie mocarstwa dokonały arbitralnego podziału Śląska Cieszyńskiego, przyznając Polsce 1002 km kw. jego obszaru. Czechosłowacja otrzymała 1280 km kw. Równie arbitralnie podzielono także tereny Spiszu i Orawy. W wyniku podziału powstało zamieszkane w większości przez Polaków tzw. Zaolzie – część powiatów frydeckiego, frysztackiego i cieszyńskiego wraz z połową Cieszyna.

Trwa cicha wojna

Relacje polsko-czechosłowackie, mimo animozji i wzajemnych oskarżeń o dyskryminację ludności, zamarły na kilkanaście lat. Od połowy lat 30. dużą aktywność na Zaolziu zaczął przejawiać polski wywiad, który inspirował antyczeskie demonstracje, prowadził także akcje dywersyjno-sabotażowe. W wielu miejscach niszczono czechosłowackie symbole państwowe. Z kolei Czechosłowacja odpowiedziała aresztowaniami wśród Polaków i „przykręceniem śruby" mniejszości, która w praktyce była większością.

Historia przyspieszyła, gdy w marcu 1938 r. Niemcy, przy cichej aprobacie Francji i Wielkiej Brytanii, dokonały anschlussu Austrii. W połowie 1938 r. Czesi, zdając sobie sprawę, że będą kolejną ofiarą, próbowali porozumieć się z Polską w sprawie sojuszu polityczno-wojskowego, ale starania te zostały przez Polaków odrzucone.

Szczególnie krytyczny względem sojuszu z Czechosłowacją był ówczesny szef MSZ Józef Beck, wierny uczeń Józefa Piłsudskiego, zwolennik polityki dyplomatycznego „balansowania" między mocarstwami i „grania na siebie".

Incydent z Regerem

W 1938 r. stosunki polsko-czeskie uległy eskalacji. Z inicjatywy Becka przy II Oddziale Sztabu Generalnego powstał tzw. Komitet Siedmiu – zakonspirowana struktura, której zadaniem było prowadzenie działań mających na celu destabilizację polityczną i rozbicie Czechosłowacji. Przez granicę zaczęto przerzucanie dywersantów i broni. Powołano tzw. Legion Zaolziański, czyli wojskowe grupy dywersyjne, przeznaczone do przeprowadzenia „działań w większym stylu na tyłach armii czeskiej".

To wówczas, podczas rozpoznania czechosłowackich umocnień na Zaolziu i rozlokowania wojsk na granicy polsko-czechosłowackiej, zginął 32-letni podharcmistrz Witold Reger. Stało się to 26 września 1938 r. pod Herczawą. Polak został zaskoczony przez czechosłowacki patrol i poległ od kuli. Polska propaganda okrzyknęła go „symbolem przelanej krwi za Olzą".

30 września o godz. 23.45 Rzeczpospolita Polska, wobec ustaleń w Monachium, wystosowała do Czechosłowacji 12-godzinne ultimatum, w którym żądała przekazania Zaolzia. Na granicy stanęło 35 tysięcy żołnierzy Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Śląsk", dowodzonych przez generała Władysława Bortnowskiego.

Strona czeska zaakceptowała ultimatum i 2 października Wojsko Polskie rozpoczęło powolny marsz, opanowując kolejne miejscowości. Wbrew obawom nie doszło do większych walk – strona czeska wycofała się ze spornego terytorium, choć w niektórych miejscach odnotowano wymianę ognia oraz pojedyncze ofiary śmiertelne.

Dokładnie w tym samym czasie Niemcy zajmowały Kraj Sudetów. Tak gorliwie, że sięgnęli po niektóre tereny na Zaolziu, przede wszystkim węzeł kolejowy i stację w Boguminie. Polacy okazali się jednak szybsi.

„W kolejnych miejscowościach zamieszkanych przez Polaków następne dni upływały pod znakiem uroczystości powitalnych. Było to autentyczne święto, towarzyszyła mu ogromna fala entuzjazmu. Czechosłowaccy urzędnicy, żandarmi czy nauczyciele ewakuowali się jeszcze przed wkroczeniem wojsk. Inna sytuacja panowała na zachodnich krańcach Zaolzia, gdzie mieszkało więcej Czechów. Wielu czeskich mieszkańców wraz z rodzinami zostało zmuszonych do wyjazdu i porzucenia domu, dano im na to dzień, czasem trzy dni" – pisze dr Grzegorz Gąsior w tekście „Zaolzie. Polsko-czeski spór o Śląsk Cieszyński".

Kierunek Spisz!

Po zajęciu Zaolzia sanacyjne władze postanowiły pójść za ciosem i zażądały od Pragi także zwrotu rejonu Czadcy, Spiszu i Orawy. Kiedy negocjacje się przedłużały, Warszawa wydała rozkaz użycia wojska. 25 listopada 1938 r. o godz. 2.15 gen. Wacław Stachiewicz, szef Sztabu Głównego WP, telegraficznie przekazał stosowny rozkaz. Jego konkluzja brzmiała: „Zająć siłą obszar zdelimitowany przez komisję polsko-czeską w rej. Czadcy".

W trakcie zajmowania spornych terenów doszło do lokalnych potyczek. Po obu stronach padli zabici i ranni. Straty czeskie miały wynieść czterech zabitych i 14 rannych. Polacy wzięli do niewoli siedmiu jeńców (w tym pięciu Słowaków), których następnie zwolniono.

Prof. Henryk Batowski pisał: „Efekt był tu jeszcze fatalniejszy niż w sprawie Zaolzia, gdyż znaczna część polonofilów słowiańskich odwróciła się od Polski, nieliczni pozostali utracili wszelkie znaczenie, a miejsce wpływów polskich zajęły niemieckie, starannie zabiegające o pogłębienie istniejących rozdźwięków, by przygotować sobie grunt do późniejszego wysunięcia Słowacji przeciw Polsce".

Potwierdziło się to 1 września 1939 roku, kiedy razem z Wehrmachtem oddziały słowackie dokonały agresji na Polskę.

Powojenny epilog

Już po wojnie Polska została zmuszona przez ZSRR do ponownego zaakceptowania granicy z 1920 r., co raz jeszcze sprawiło, iż w granicach Czechosłowacji znalazła się ogromna polska mniejszość. Co ciekawe, całkiem poważnie planowano wówczas kolejne zbrojne zajęcie Zaolzia.

Sprowokowało to Czechów do wyprzedzającego ataku. W maju i czerwcu 1945 r. czechosłowackie oddziały przekroczyły granicę, zajmując mniejsze miejscowości i rozbrajając polskich pograniczników. Sytuację uspokojono dopiero po osobistej interwencji Stalina.

W 1947 roku Polska i Czechosłowacja podpisały wstępną umowę, w której nie rozstrzygnięto jednoznacznie przyszłości spornych terenów. Stało się to dopiero w 1958 r., gdy zawarto ostateczne porozumienie o rozgraniczeniu, potwierdzając prawa Czechosłowacji do terytorium Zaolzia.

eprasa.pl 2b902aabc5

HISTORIA

Citroën 2CV pędzi przez francuskie winnice

6 października 1948 roku na Międzynarodowym Salonie Samochodowym w Paryżu zaprezentowano Citroëna 2CV – „najbrzydsze auto świata". Teraz Francuzi przymierzają się do powtórki z tamtej epoki

Mariusz Grabowski

Być może Citroëny nie były piękne, ale za to tanie w utrzymaniu i maksymalnie uproszczone konstrukcyjnie. Przed cztery dekady sprzedano ich 5 mln i to one zmotoryzowały Francję. Spójrzmy na Citroëna C5 Aircross, najnowsze dziecko firmy – kompaktowego SUV-a i przykład motoryzacyjnego wyrafinowania. Ma hybrydowy napęd, niezliczone systemy bezpieczeństwa i układy wspomagające prowadzenie, ale również interfejs komunikacyjny najnowszej generacji.

Nasz Citroën 2CV miał na początku karoserię z perforowanej blachy, płócienny dach, amperomierz, silnik o mocy 9 koni i w porywach mógł rozpędzić się do nieco ponad 60 km na godz. Był tak prosty w naprawie, że nawet dziecko mogłoby jej dokonać, byle miało młotek i śrubokręt. Z luksusów: były elektryczne wycieraczki.

Konstrukcyjnie 2CV był samochodem przedwojennym. W połowie lat 30. zaprojektował go inż. André Lefèbvre i do czerwca 1940 r. zbudowano 250 prototypowych sztuk. W 1948 r. pokazano lekko zmodyfikowany model. Do Citroëna przylgnęła nazwa „Toute Petite Voiture" („bardzo mały samochód"). Ze względu na cechy auta bardzo wszechstronnego, ekonomicznego i o niskich kosztach 2CV był samochodem dla każdego . „Kaczka" była autem policyjnym, taksówką, karetką i dostawczakiem. Istniał kabriolet 2CV (model Méhari z 1968 roku), a wersja „Fourgonnette" była często np. używana przez francuską służbę drogową lub jako pojazd pocztowy w Belgii. Do tego dochodziła atrakcyjna cena: w 1948 r. auto kosztowało 180 tysięcy franków, równowartość ok. 5-6 tys. euro.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

2CV był samochodem wszechstronnym, ale jednak trudno uwierzyć, że trafił nawet do wojska

Trudno uwierzyć, że 2CV trafił nawet do wojska. Model Ghan-1 był stworzony na potrzeby piechoty morskiej, z możliwością mocowania kilku rodzajów uzbrojenia. Waga umożliwiała łatwe transportowanie go śmigłowcem na pole walki. W latach 50. Ghan-1 trafił na front wietnamski – widać go na wielu fotografiach.

Z czasem dalsze modyfikowanie militarnego 2CV zarzucono. Dla wojskowych konstrukcja okazała się zbyt przestarzała i nieperspektywiczna. Ale na rynku cywilnym auto sprzedawało się dobrze. W 1963 r. zwiększono moc silnika do 18 koni i unowocześniono wskaźniki. W 1965 r. wprowadzono boczne okna za tylnymi drzwiami. W 1967 r. wprowadzono silnik o pojemności 602 cm sześc.

Oblicza się, że do roku 1990 z fabryk w Levallois-Perret pod Paryżem, Chartres-de-Bretagne koło Rennes oraz z montowni w dziewięciu krajach (głównie w portugalskiej Mangualde) wypuszczono łącznie 3 mln 868 tys. 634 egzemplarze modelu Citroëna 2CV. Jeśli doliczymy do tego wersje pochodne i furgonetki, liczba ta sięga blisko 5,1 mln.

Auto było wszędzie: na każdej francuskiej ulicy, w każdym gospodarstwie czy warsztacie samochodowym. Usprawniało codzienne funkcjonowanie tysięcy rodzin, stało się narzędziem modernizacji prowincji. Stanowiło podstawę motoedukacji dla każdego mechanika i przedmiot studiów na wydziałach mechanicznych. Citroën spełnił tę samą rolę co Fiat 500 we Włoszech, Volkswagen „Garbus" w Niemczech i „Żuk" w Polsce.

Latem 1959 r., w Lille, u progu swojej drugiej kadencji, w Citroënie 2CV sfotografował się prezydent Charles de Gaulle. Zważywszy, że polityk mierzył blisko dwa metry, był to dla marki reklamowy dar z nieba. „Nawet de Gaulle mieści się w naszych samochodach" – pisano w folderach.

Francuski sentyment do „Kaczki", symbolu „Dawnej Francji", ugruntowała popkultura, głównie kino. Auto jeździło w wielu francuskich filmach: od „„Zagmatwanych" (1960 r.), przez „Paryż należy do nas" (1961 r.), „Bon Voyage!" (1962 r.), po „Życie prywatne" (1962 r.). Szczególnie fotogeniczne okazało się w „Żandarmie z St. Tropez" (1962 r.).

I budzi uśmiech do dziś. Tylko we Francji istnieje kilkadziesiąt organizacji motofanów 2CV. Skupiają zbieraczy, rekonstruktorów i propagatorów modelu. Miłośnicy „Kaczki" zbierają się też poza Francją, głównie co dwa lata na World Meeting of the Friends of the 2CV. W 2023 r. impreza odbyła się w Szwajcarii, a w 2025 r. w Słowenii. Za rok planowana jest w Holandii. Jednorazowo Meeting gości nawet kilka tysięcy samochodów. Tak było w 2021 r., gdy w 2021 r. do Torunia zjechało 2,5 tys. Citroënów 2CV.

Popularność Citroëna 2CV doczekała się właśnie przekucia w realny produkt – nowej odsłony klasyka. Premierę nowego 2CV zaplanowano podczas salonu Mondial de l'Auto w paryskim Expo Porte de Versailles. ©℗

REKLAMA
0011568070

eprasa.pl 2b902aabc5

ROZMOWA

Nowa wersja „Nocy i dni” na Netflixie? Kibicuję i czekam na premierę!

Szykuje się kolejny hit? Netflix kręci serial „Noce i dnie”, nową wersję genialnej książki Marii Dąbrowskiej. Wielu z nas - słysząc „Noce i dnie” - ma jednak przed oczami kultowy film z Jadwigą Barańską jako Barbarą i Jerzym Bińczyckim jako Bogumiłem. Specjalnie dla „Gazety Wrocławskiej” powstanie serialu dla Netflixa komentuje Jerzy Antczak, reżyser kultowego filmu „Noce i dnie”, za który w 1977 roku był nominowany do Oscara w kategorii najlepszy film nieanglojęzyczny. Rozmawiamy z wybitnym filmowcem, który mieszka teraz w Los Angeles

Robert Migdał

Trwa realizacja nowej wersji „Nocy i dni”. Pana film i serial są kochane przez widzów, uważane za kultowe. Jak pan zareagował na to, że Netflix postanowił przenieść „Noce i dnie” na ekran i zrobić swoją, nową wersję?

Bardzo im kibicuję. Jestem dobrze poinformowany jeśli chodzi o powstawanie tego serialu. Twórcy mają za sobą już 69 dni zdjęciowych, pozostało im jeszcze 12 do zrobienia...

Ooo, konkrety. Rzeczywiście jest pan na bieżąco.

(uśmiech). Jestem w stałym kontakcie z reżyserką serialu – Kamilą Taraburą. Napisała mi ostatnio pięknego maila, w którym stwierdza m.in.: „Nie wszystko mi się udało, ale jestem zadowolona”... To bardzo miła osoba i życzę jej wszystkiego najlepszego.

Jak się poznaliście?

To dzięki Łukaszowi Maciejewskiemu (krytykowi filmowemu, dziennikarzowi, pisarzowi - przyp. red.) On skontaktował twórców nowej wersji „Nocy i dni” ze mną. To była rzecz nieprawdopodobna, bo zadzwonili do mnie, zanim świat usłyszał, że będą nowe „Noce i dnie” i powiedzieli: „Panie Jerzy, robimy „Noce i dnie”. Chcemy pana poinformować, że jutro ukaże się o tym informacja w prasie.” To jest - muszę panu powiedzieć - rzadka elegancja. Jestem pełen uznania dla Kamili i całej ekipy filmowej.

FOT. TOMASZ BOŁT

Reżyser Jerzy Antczak i aktorka Jadwiga Barańska byli ze sobą aż do jej śmierci w 2024 roku. Aktorka, która zasłynęła m.in. rolą Barbary w „Nocach i dniach” spoczywa w USA

Wiele osób, które usłyszały o tym serialu Netflixa, stwierdziło: „Nic nie pobije „Nocy i dni” Antczaka z Barańską w roli Barbary”, „Oni nie mają prawa”, „Jak tak można”...

Drogi kochany panie. Interpretacji mazurków Chopina mogą być tysiące. I nikt nikomu nie zabrania, i nie powinien zabraniać, stworzenia nowej, swojej autorskiej interpretacji „Nocy i dni”, pod warunkiem, że to będzie wierne duchowi Marii Dąbrowskiej.

REKLAMA 0011590085

REKLAMA 0011590036

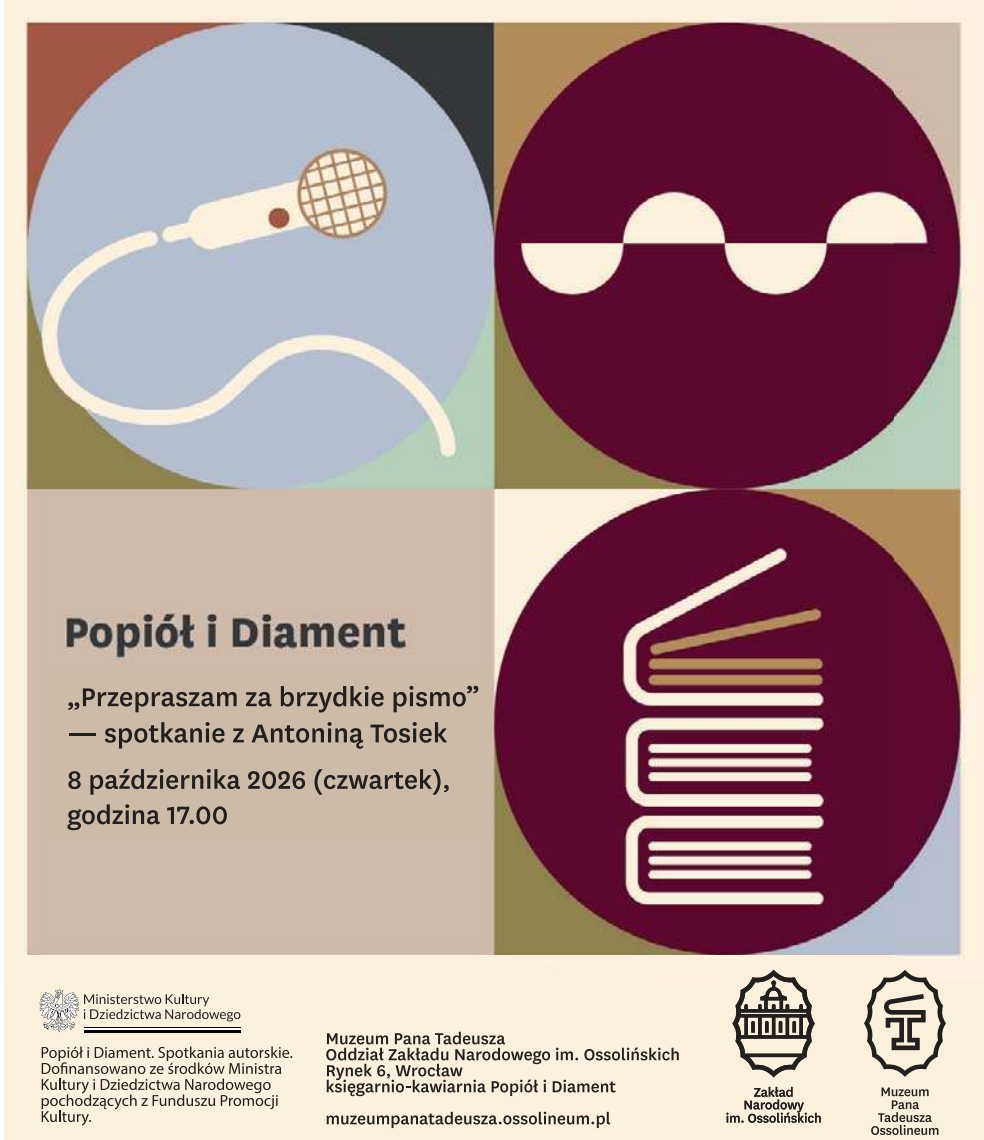

eprasa.pl 2b902aabc5

Netflix ostatnio nakręcił „Lalkę", która z dziełem Bolesława Prusa ma tylko trochę wspólnego... Podobała się panu ta Netflixowska „Lalka"? Czy nie?

Uważam, że Maślona to jest bardzo utalentowany reżyser. Tylko po co on bierze „Lalkę" i dopisuje coś do niej? Także mam mieszane uczucia. Jeżeli chodzi o Wokulskiego w nowej „Lalce", to powiem panu, że Tomasz Schuchardt podobał mi się. Był taki twardy, kanciasty - taki dosyć prymitywny. Podobał mi się bardzo. No i powiem panu Piotr Adamczyk w roli barona Krzeszowskiego - to jest jego kreacja życia.

Wracając do „Nocy i dni"...

Nie jestem przeciwny temu, że ktoś podejmuje się tego samego tematu. Film „Noce i dnie" ma 51 lat. A nadal jest lubiany. Dam przykład. Ostatnio stała się rzecz niezwykła. TVP Polonia puściła na Facebooku tę moją słynną scenę z nenufarami. I w ciągu pięciu godzin jest prawie piętnaście tysięcy lajków, prawie tysiąc komentarzy i tysiąc dwieście oznaczeń. Proszę pana, to jest dla mnie wielka radość. Nie dziwię się, że ktoś postanowił na nowo zekranizować „Noce i dnie". Dziś Piotruś Adamczyk do mnie dzwonił, mój kochany Chopin, i też mnie zapytał: „Jurku, co ty myślisz o tych nowych „Nocach i dniach"? Bo przecież nikt nie dorówna twoim „Nocom i dniom". Na co ja mu powiedziałem: „Piotrusiu, nie wiadomo. Napoleon wygrywał bitwy tylko dlatego, że uważał, że naprzeciwko niego jest lepszy od niego Napoleon. I może te nowe „Noce i dnie" otworzą nowe spojrzenie na tę opowieść. Może zderzenie naszej, monumentalnej adaptacji i z ich kameralną będzie czymś wielkim".

„Noce i dnie" dla Netflixa kręcą młodzi twórcy: nowe spojrzenie, nowa wersja...

Reżyserka ma 33 lata. Jestem przekonany, że dobrze się stało, że ten serial powstaje. Zobaczymy, co oni zrobią, jak to zrobią. W każdym razie podkreślam: Jestem wiernym kibicem powstającej nowej wersji „Nocy i dni". Widzi pan, we mnie nie ma, jak by panu powiedzieć, jakiejś zaborczości: że nie wolno komuś czegoś robić, zakazywać. Przeżyłem 97 lat między innymi dlatego, że byłem człowiekiem otwartym. A jeśli są tacy, którzy mówią: „Nie wolno robić nowych Nocy i dni", to ja nie jestem po ich stronie. Jestem po tej drugiej. Nie dziwię się, że filmowcy podejmują się nakręcenia nowej wersji. Bo, proszę pana, „Noce i dnie" to jest przepiękny temat. Reżyserka tego

FOT. PAWEŁ CHWAŁ

Tarnów. Na Wielkich Schodach i Tarasie trwa montaż scenografii do zdjęć nowej produkcji Netfliksa. Pozostałości spalonej kilkanaście lat temu kamienicy zyskują nową zabudowę

Netflixowego serialu powiedziała mi, że nie chce robić epickiej opowieści, bo nic nie dorówna moim „Nocom i dniom", ale zdradziła mi, że chce zrobić opowieść o duecie miłosnym, o walce pomiędzy Barbarą i Bogumiłą. Myślę, że jej się uda, bo ma otwartą głowę.

Znani są już odtwórcy głównych ról...

W roli Bogumiła - Tomasz Schuchardt. Powiem panu, że bardzo mi się ten aktor podoba. Uważam, że on ma coś z Bińczyckiego. Ma w sobie taką czystość, ma prostotę. Barbarę zagra Jaśmina Polak, która właśnie na Festiwalu Filmowym w Gdyni zdobyła nagrodę za pierwszoplanową rolę kobiecą. To utalentowana aktorka. Ten duet na ekranie to będą dwa instrumenty, które powinny stworzyć koncert.

Czeka Pan z ciekawością na premierę „Nocy i dni" na Netflixie?

Serial zobaczymy – jak mi mówiła reżyserka - już w połowie przyszłego roku. Będzie osiem odcinków. Czekam na niego bardzo, z otwartymi ramionami i z pełną życzliwością. I bardzo kibicuję twórcom.

Na koniec chciałbym zapytać pana o najnowszą książkę, którą pan właśnie pisze – o swojej ukochanej żonie, Jadwidze Barańskiej – która w pana „Nocach i dniach" zagrała Barbarę...

Do tej pory napisałem dwie książki. Pierwsza to była „Noce i dnie mojego życia", opowieści z mojego życia. Potem – „Jak ja ich kochałem" - o ludziach, z którymi pracowałem. A teraz piszę „Jadzia, dar przeznaczenia". Drogi mój panie, rzadko się zdarza, żeby małżeństwa artystyczne przeżyły ze sobą sześćdziesiąt osiem lat. I powiem panu, w czym tkwi tajemnica. Otóż polega ona na tym, że jeżeli w parze małżeńskiej jedna osoba idzie w górę, a druga idzie lekko do dołu, to następuje konflikt interesów i następuje dramat. Otóż nasze małżeństwo przetrwało dlatego, że my oboje, mieliśmy jednakowe sukcesy i mieliśmy jednakowe wpadki - byliśmy równi. W związku z tym nie było między nami konfliktów. To jest rzecz nadzwyczajna, bo byliśmy dwie różne osobowości. Jadwiga, pochodząca ze szlachty, była stateczna, uporządkowana. Ja jestem, wie pan... kartofel z Wołynia (uśmiech) – jak widzę napis: „nie deptać trawy", to ja i tak przechodzę przez ten trawnik. Ja jestem bałaganiarz - bardzo bym się źle się czuł, jakbym miał na biurku wszystko uporządkowane. A u Barańskiej wszystko zawsze było tak poukładane, że jak ona w nocy wstawała, to wiedziała gdzie co jest... Ta książka o Jadzi będzie szczera od bólu. Po raz pierwszy zobaczycie inną Barańską.

A kiedy premiera książki?

Myślę, że w połowie przyszłego roku, gdzieś kwiecień, maj...

REKLAMA
0011586922

eprasa.pl 2b902aabc5

KONFERENCJA POLSKA PRESS GRUPY

Forum Polskich Dostawców: local content wychodzi z fazy deklaracji. Czas na zamówienia i inwestycje

Energetyka i obronność, finansowanie inwestycji i zamówienia publiczne, sztuczna inteligencja i cyfryzacja – te obszary łączy pytanie: jak sprawić, by wielkie inwestycje realizowane w Polsce budowały potencjał polskich przedsiębiorstw. O tym dyskutowano na Forum Polskich Dostawców „Energia z Polski – Local First" organizowanym przez Polska Press Grupę

Grzegorz Gajda

FOT. ADAM JANKOWSKI PPG

Wojciech Balczun, minister aktywów państwowych, wiceminister Eliza Zajdler oraz Elżbieta Żuraw, p.o. prezeska Polska Press Grupy

28 września w Warszawie spotkali się przedstawiciele administracji, największych spółek, sektora finansowego oraz krajowych dostawców. W Forum Polskich Dostawców wzięli udział przedstawiciele Orlenu, PKO Banku Polskiego, PZU, PGE, Tauronu, Enei oraz wielu instytucji publicznych. To już IV edycja cyklu „Energia z Polski – Local First", organizowanego przez Polska Press, pod patronatem Ministerstwa Aktywów Państwowych.

Panele dyskusyjne i warsztaty

Program obejmował zarówno strategiczne znaczenie local content, jak i bardzo praktyczne kwestie: procedury zakupowe, finansowanie, zamówienia publiczne, OZE, cyfryzację oraz sposób włączania krajowych firm w łańcuchy dostaw. Adresowany był do małych i średnich przedsiębiorstw, które dzięki swoim specjalistycznym kompetencjom mają odgrywać kluczową rolę w polskim programie transformacyjnym oraz stać się istotnymi partnerami dla dużych inwestorów i producentów. Dyskusje dotyczyły zamówień oraz inwestycji realizowanych w obszarach infrastruktury, energetyki, transportu, obronności, samorządu i cyfryzacji.

Odbyło się siedem paneli poświęconych m.in. strategii local content, rozwojowi OZE, energetyce konwencjonalnej i ciepłownictwu, finansowaniu inwestycji i prawu zamówień publicznych, infrastrukturze i transportowi oraz przemysłowi obronnemu. Osobny panel dotyczył roli Pełnomocników ds. Local Content w spółkach Skarbu Państwa. Uzupełnieniem były praktyczne warsztaty na temat współpracy i partnerstwa dla dostawców Grupy Orlen.

Od hasła do funkcjonalnego systemu

Najważniejszy wniosek Forum brzmi: local content nie jest już tylko deklaracją. Stał się bardzo ważnym elementem polityki zakupowej, inwestycyjnej i przemysłowej. Na tę ewolucję wskazał minister aktywów państwowych Wojciech Balczun:

– Local content w ciągu roku przeszedł drogę od koncepcji do jednego z najczęściej dyskutowanych tematów w polskiej gospodarce.

Minister zwrócił jednak uwagę, że w Polsce, podobnie jak w innych krajach Unii Europejskiej, nie ma możliwości bezpośredniego wpisania wymogów local content do obowiązujących regulacji.

– Nie możemy stworzyć przepisów nakazujących stosowanie local content. Musimy działać w ramach prawa unijnego. Jednocześnie widzimy, że wiele państw bardzo skutecznie wykorzystuje istniejące instrumenty do wspierania własnych przedsiębiorstw i my również chcemy korzystać z dostępnej przestrzeni. Największym wyzwaniem jest zmiana mentalna. Skoro nie możemy wprowadzić obowiązkowych regulacji, musimy oddziaływać poprzez dobre praktyki, edukację i budowanie świadomości. Chodzi o to, by naturalnym odruchem przy planowaniu inwestycji było uwzględnianie wpływu projektu na polską gospodarkę – powiedział.

Zmiana polega na takim organizowaniu procesów inwestycyjnych i zakupowych, żeby polscy przedsiębiorcy mogli konkurować o duże kontrakty.

– Jeżeli local content wzrośnie o 10% w całym kraju, to ogólny wzrost gospodarczy sięgnie 3%. Taki jest wpływ wdrażania tej idei na całą gospodarkę oraz naszych klientów – wyliczał Szymon Midera, prezes PKO Bank Polski.

Aby skutecznie wdrażać ideę local content, MAP przygotowało kodeks dobrych praktyk, a w największych spółkach powołano pełnomocników odpowiedzialnych za jej wdrażanie. Główny Urząd Statystyczny natomiast rozpoczął pilotaż pomiaru krajowego komponentu w projektach energetycznych.

Wielkie inwestycje i krajowe firmy

Prezesi PKO Banku Polskiego, PZU, Orlenu i PGE podkreślali znaczenie krajowych przedsiębiorstw w realizacji strategicznych inwestycji. Dla energetyki local content oznacza budowanie krajowego zaplecza transformacji – od energetyki odnawialnej i sieci, przez energetykę konwencjonalną i magazynowanie, po technologie przyszłości. Dla sektora finansowego jest to z kolei konieczność stworzenia przedsiębiorstwom warunków do sfinansowania inwestycji i dużych projektów. Ubezpieczyciele podkreślają natomiast mechanizmy ograniczające ryzyko inwestycyjne.

Wspólnym mianownikiem jest skala. Polska rozpoczyna projekty, które przez wiele lat będą generować popyt na produkty, usługi, technologie i kompetencje. Dlatego ważny jest nie tylko sam wybór krajowego dostawcy, ale stworzenie mu warunków do rozwoju.

Ireneusz Fąfara, prezes Orlenu, podkreślał, że zwiększenie udziału krajowych przedsiębiorstw wymaga wcześniejszego przygotowania rynku. Nie wystarczy ogłosić przetarg i oczekiwać, aż polskie firmy automatycznie spełnią wymagania dużego projektu. Potrzebny jest dialog z potencjalnymi dostawcami i przekazywanie im informacji.

To oznacza budowanie relacji, współpracy i uświadamianie potencjalnych partnerów, jakie mamy wymagania technologiczne, rygory i terminy dostaw.

W odpowiednim momencie przestaniemy budować, a będziemy musieli inwestycje utrzymywać. Wtedy obecność polskich dostawców i polskich firm będzie absolutnie kluczowa – mówił prezes Fąfara.

To ważne szczególnie w przypadku MŚP, dla których często barierą jest wysokość wymaganych gwarancji, finansowania, certyfikacji, formalności i zdolność do obsługi dużych kontraktów. Dlatego pod-

eprasa.pl 2b902aabc5

FOT. PPG

W dyskusjach panelowych wziął udział m.in. prezes Orlenu Ireneusz Fąfara (trzeci z lewej)

czas Forum dużo miejsca poświęcono praktycznym aspektom, jak: procedury zakupowe, przygotowanie ofert, negocjowanie umów, finansowanie i kontakt dostawców z zamawiającymi.

Zamówienia publiczne: między konkurencją a interesem gospodarczym

Ważnym elementem forum były dyskusje o procedurach zamówień publicznych. Pokazały, że zwiększanie udziału polskich firm nie może sprowadzić się do wpisania w wymogach przetargowych preferencji dla określonego rodzaju przedsiębiorstw.

Prawo zamówień publicznych ma przede wszystkim zapewniać przejrzystość, konkurencję i ochronę środków publicznych. W ocenie Wojciecha Balczuna można lepiej wykorzystać możliwości, jakie ono daje.

– Przez lata dominowało kryterium najniższej ceny. Tymczasem obecne przepisy pozwalają uwzględniać znacznie więcej czynników. Można analizować wpływ inwestycji na lokalne miejsca pracy, płacone podatki czy rozwój społeczności lokalnych. To właśnie ten szerszy kontekst jest bardzo bliski idei local content – powiedział.

Transformacja energetyki to wielki rynek dla dostawców

Rozwój offshore, fotowoltaiki, biogazowni, magazynów energii czy technologii wodorowych oznacza dla Polski nie tylko zmianę miksu energetycznego, lecz także nowe łańcuchy dostaw. Dlatego local content nie może być rozumiany wyłącznie jako zwiększanie udziału polskich usług czy tzw. prostego montażu. Krajowe firmy mają świetne kompetencje, np. w usługach logistycznych, projektowych, środowiskowych, serwisowych i szkoleniowych. Ciągle jednak mamy problem z rozwojem bardziej zaawansowanych zdolności. Dalszym celem jest więc rozwijanie własnych kompetencji technologicznych i „przesuwanie" polskich przedsiębiorstw w górę łańcucha wartości.

Polskie firmy działają w wielu sektorach potrzebnych do realizacji wielkich inwestycji. Problemem może być jednak brak informacji o planowanych zamówieniach, wymagania finansowe i formalne lub ograniczony dostęp do decydentów zakupowych.

Dlatego podczas forum dużo miejsca poświęcono bezpośredniemu dialogowi między zamawiającymi i dostawcami. Szczególne znaczenie miał panel poświęcony Pełnomocnikom ds. Local Content w spółkach Skarbu Państwa. Jego założeniem było przełożenie doktryny na codzienną praktykę korporacyjną: dialog z rynkiem, identyfikowanie barier prawnych i operacyjnych oraz tworzenie dobrych praktyk zakupowych.

Local content ma budować konkurencyjność

Efektem polityki local content ma być nie tylko więcej zamówień dla krajowych przedsiębiorstw. Równie ważne jest stworzenie firmom warunków do zdobywania doświadczenia, rozwijania technologii i późniejszej ekspansji na rynki zagraniczne.

W tym znaczeniu Forum Polskich Dostawców było nie tyle debatą o tym, czy kupować w Polsce, a raczej: jak budować w Polsce firmy zdolne dostarczać technologie, produkty i usługi dla największych projektów – a następnie konkurować poza krajowym rynkiem.

To może być najważniejszym sprawdzianem dla idei „Local First": czy krajowy komponent pozostanie tylko w pojedynczych kontraktach, czy stanie się mechanizmem budowania kompetencji przemysłowych, technologicznych i finansowych polskiej gospodarki.

– Local content to fundamentalna zmiana mentalności. Musimy wymagać więcej od siebie, aby realnie stworzyć możliwości rozwoju polskich przedsiębiorstw. Firmy z kolei, zdobywając lokalne doświadczenia przy tak dużych projektach, mogą później „wychodzić" na świat i budować skalę w oparciu o inwestycje poza Polską – podkreślał Ireneusz Fąfara.

Odporność i niezależność stają się najważniejszym celem polityki gospodarczej. Dotyczy to zarówno surowców, jak i zdolności produkcyjnych.

– Nie możemy opierać bezpieczeństwa państwa na rozwiązaniach, które wymagają serwisowania czy wsparcia realizowanego tysiące kilometrów od naszych granic. Musimy rozwijać krajowe kompetencje i zaplecze technologiczne. Wiemy, że to proces rozłożony na lata, dlatego potrzebna jest konsekwencja, budowanie świadomości i wspólne działanie administracji oraz biznesu. Local content to w praktyce nowoczesna forma patriotyzmu gospodarczego, oparta nie na hasłach, ale na konkretnych działaniach wspierających rozwój polskich firm i całej gospodarki – podsumował dyskusje minister Wojciech Balczun.

Wydarzenie odbyło się pod honorowym patronatem Wiceprezesa Rady Ministrów Władysława Kosiniaka-Kamysza, Ministerstwa Aktywów Państwowych, Ministerstwa Energii, Ministerstwa Infrastruktury, a także Wicemarszałka Województwa Mazowieckiego. Kongres „Energia z Polski – Local First pod patronatem Strefy Biznesu i Strefy Obrony organizuje Polska Press Grupa. Pierwszy z cyklu odbył się 15 września 2025 roku w Warszawie. Podpisano wtedy „Deklarację na rzecz zwiększenia udziału Polskich Firm w Realizacji Drugiej Fazy Projektów Morskiej Energetyki Wiatrowej na Morzu Bałtyckim". Kolejne edycje odbyły się w Szczecinie i Rzeszowie.

Organizator
POLSKA PRESS GRUPA
Patronat Honorowy
Wiceprezes Rady Ministrów Minister Obrony Narodowej
Ministerstwo Aktywów Państwowych
Ministerstwo Energii
Minister Infrastruktury
Wiceprezes Rady Ministrów Minister Cyfryzacji
Marszałek Województwa Mazowieckiego
Partner Strategiczny
ORLEN
Partnerzy Główni
Enea
PGE
Bank Polski
PZU
TAURON
TOTALIZATOR SPORTOWY
Partnerzy
arp
ORLEN NEPTUN
POLREGIO
POLSKA SPÓŁKA GAZOWNICTWA
PGZ
Partnerzy Wspierający
asseco
GRUPA WB
budimex
Patroni Medialni
strefa BIZNESU.pl
STREFA OBRONY
e-Budownictwo.pl
CIRE.PL
pap POLSKA AGENCJA PRASOWA

eprasa.pl 2b902aabc5

OBYCZAJE

Nieprzemijający urok studenckich lat

Dziś w Łodzi studiuje około 70 tysięcy osób. Niewiele. W latach 2005-2010 było ich aż 130 tysięcy. Warto jednak przypomnieć, że jeszcze w 1975 roku w Łodzi mieszkało zaledwie 30 tysięcy studentów.

Anna Gronczewska

Mateusz pochodzi z niewielkiej miejscowości pod Sieradzem i studiuje na drugim roku Politechniki Łódzkiej.

– Nie narzekam – mówi. – Mieszkam w akademiku w dwuosobowym pokoju. Razem z kolegą płacimy po około 600 zł miesięcznie. Warunki mamy całkiem niezłe, dobrze się dogadujemy. W pokoju jest łazienka. Można też niedrogo zjeść obiad na stołówce PŁ. Śniadania i kolacje przygotowujemy sami. Czasem zamiast stołówki wybieram chińską restaurację albo McDonalda. Zwykle w piątki robimy imprezę w akademiku albo wychodzimy na Piotrkowską. Sesję zaliczyłem bez większych problemów, choć wszyscy straszyli, że pierwszy rok jest najtrudniejszy. Studiuję na Wydziale Mechanicznym.

Nie wszyscy jednak dostają miejsce w akademiku. Wówczas muszą szukać pokoju na prywatnej stancji lub miejsca w prywatnym akademiku. Pokój dwu- lub trzyosobowy kosztuje tam od 1140 do 1590 zł miesięcznie. Za jedynkę trzeba zapłacić nawet 2500 zł. Patrycja studiuje zarządzanie na Uniwersytecie Łódzkim, a Ola medycynę na Uniwersytecie Medycznym. Obie pochodzą spoza Łodzi – Patrycja z Kielc, a Ola z Konina. Poznały się przez wspólnego znajomego i wspólnie wynajęły mieszkanie w bloku na Bałutach. Każda ma własny pokój.

Za wynajem płacą około 2200 zł miesięcznie. Do tego dochodzą rachunki za media. – Nie jest źle. Mamy tu lepsze warunki do nauki niż w akademiku – podkreślają.

Siedem najpiękniejszych lat

Gdy 84-letni Janusz Szczepaniak przejeżdża dziś tramwajem obok „Lumumbowa", zawsze spogląda w stronę osiedla studenckiego. Wspomnienia wracają natychmiast.

– Spędziłem tam siedem najpiękniejszych lat swojego życia – mówi emerytowany matematyk. – Mieszkałem w akademiku nawet wtedy, gdy byłem już asystentem na Uniwersytecie Łódzkim.

Pan Janusz mieszkał na „Lumumbowie" w latach 1960-1967. Pamięta czasy, gdy na osiedlu stało zaledwie kilka domów studenckich.

– W „Balbinie" mieszkały dziewczyny – wspomina. – W akademiku bez nazwy mieszkali chłopcy. Był też dom studencki dla studentów Akademii Medycznej.

Studenci musieli samodzielnie szukać zakwaterowania. Szczęśliwcom udawało się znaleźć miejsce w tzw. tymczasowych domach studenckich, rozrzuconych po całym mieście. Jak wspominał w książce „Mój uniwersytet" Stanisław Bąkowicz, jeden z takich domów mieścił się na dwóch piętrach kamienicy przy ul. Piotrkowskiej 105. Studenci mieszkali również przy al. Kościuszki, ul. Zamenhofa 13, Jaracza 34, Ciesielskiej 6, Ogrodowej 28 czy Karolewskiej. Część z nich zamieszkiwała także wille w Arturówku.

Cztery łóżka i brydż

Janusz Szczepaniak wspomina, że gdy w 1960 roku rozpoczął studia na Wydziale Matematyki Uniwersytetu Łódzkiego, bez problemu otrzymał miejsce w akademiku. Do Łodzi przyjechał z niewielkiej miejscowości pod Opocznem.

– Kiedy się wprowadziłem, w pokojach nie było już piętrowych łóżek – opowiada. – Mieszkałem z trzema kolegami. To były czasy, gdy akademiki nie były koedukacyjne. Chłopcy i dziewczęta mieszkali w oddzielnych budynkach.

Pokój był urządzony bardzo skromnie. Stały w nim cztery żelazne łóżka, szafka i kilka krzeseł. Studentom to jednak w zupełności wystarczało.

– Co miesiąc wymieniano nam pościel, a co dwa tygodnie przychodziła sprzątaczka – wspomina matematyk. – To była ogromna pomoc. Kiedy w pokoju mieszka czterech chłopaków, nikt specjalnie nie pali się do sprzątania. Mieliśmy nawet parkiet. Sprzątaczka pięknie go pastowała, myła łazienki, a potem przez kolejne dwa tygodnie robiliśmy bałagan od nowa.

Studenci stołowali się w mieście. Humanistów obsługiwała stołówka przy ówczesnej ul. Buczka, czyli dzisiejszej ul. Kamińskiego. Studenci kierunków ścisłych jadali przy ul. Piotrkowskiej.

– W „gęsiówce", bo tak nazywaliśmy ten bar, jedliśmy śniadania, obiady i kolacje – wspomina.

W czasach pana Janusza nie było wolnych sobót. Życie towarzyskie rozkręcało się więc dopiero w sobotnie wieczory. Organizowano wtedy zabawy taneczne z orkiestrą. Ci, którzy nie mieli ochoty tańczyć, spędzali czas w pokojach.

– Grało się w karty, głównie w brydża – mówi. – Do tego było piwo. Na mocniejsze alkohole zwykle brakowało pieniędzy, choć czasem zdarzało się wypić coś więcej. Większych burd nie było. Jeśli dochodziło do jakichś ekscesów, sprawą zajmował się sąd koleżeński. Można było stracić miejsce w akademiku, a nawet mieć problemy na uczelni. A miejsce w domu studenckim było na wagę złota. Wielu studentów pochodziło z biednych rodzin i każdy starał się go nie stracić.

MATERIAŁ INFORMACYJNY PGE
0011589615

PGE uruchamia program pozyskiwania z rynku projektów OZE, magazynów energii i infrastruktury sieciowej

PGE Polska Grupa Energetyczna uruchamia „Projekt MOC", aby pozyskiwać z rynku inwestycje z obszaru odnawialnych źródeł energii, magazynów energii i infrastruktury sieciowej. Grupa zaprasza deweloperów, inwestorów, fundusze i właścicieli projektów na każdym etapie rozwoju, od wczesnej fazy po instalacje działające już na rynku, a w szczególności te, które nie są jeszcze oferowane w ramach zorganizowanych procesów sprzedażowych. Spółka jest gotowa kupić 100 proc. udziałów w spółce projektowej, objąć udziały mniejszościowe, utworzyć joint venture lub zlecić dalszy rozwój projektu na podstawie umowy deweloperskiej.

„Projekt MOC" stanowi element działań Grupy PGE ukierunkowanych na rozwój OZE, magazynowania energii oraz rozbudowę infrastruktury niezbędnej do funkcjonowania nowoczesnego systemu elektroenergetycznego. Dzięki współpracy z uczestnikami rynku PGE chce skuteczniej identyfikować, pozyskiwać i rozwijać perspektywiczne projekty wspierające transformację energetyczną oraz wzmacniające bezpieczeństwo energetyczne Polski.

PGE poszukuje projektów, które spełniają następujące minima:
- 20 MW możliwych do zainstalowania dla lądowych farm wiatrowych,
- 20 MW możliwych do zainstalowania dla instalacji fotowoltaicznych,
- 50 MW możliwych do zainstalowania dla bateryjnych magazynów energii (BESS).

Spółka jest zainteresowana projektami na każdym etapie rozwoju:
- wczesnym, np. projekty z zabezpieczonym tytułem do gruntu, w toku procedur planistycznych lub środowiskowych, w tym z warunkami przyłączenia w trakcie uzyskiwania,
- zaawansowanym, np. projekty z wydanymi warunkami przyłączenia lub umową o przyłączenie, decyzją środowiskową i pozwoleniem na budowę (ready-to-build),
- w budowie lub operacyjnymi, np. projekty na etapie realizacji oraz instalacje pracujące, w tym z zawartymi umowami PPA lub kontraktami mocowymi.

Priorytetowo będą traktowane projekty umożliwiające efektywne wykorzystanie istniejącej infrastruktury przyłączeniowej, w szczególności wykorzystujące model współdzielenia przyłącza (cable pooling). PGE będzie również analizować możliwości przejęcia praw do mocy przyłączeniowych oraz infrastruktury sieciowej umożliwiającej integrację nowych źródeł odnawialnych z krajowym systemem elektroenergetycznym.

Grupa PGE dopuszcza elastyczne modele transakcji, dostosowane do etapu rozwoju projektu, w tym:
- nabycie 100% udziałów w spółkach projektowych (SPV),
- wejście kapitałowe i wspólne przedsięwzięcia (joint venture) z dotychczasowym deweloperem,
- umowy o świadczenie usług deweloperskich (Development Services Agreement, DSA), w których partner rozwija projekt na rzecz Grupy PGE,
- struktury opcyjne i warunkowe (earn-out), powiązane z osiąganiem kolejnych kamieni milowych,
- nabycie praw do mocy przyłączeniowej i infrastruktury sieciowej.

Zgłoszenia są przyjmowane w trybie ciągłym. Podstawowe informacje o projekcie (lokalizacja, technologia, moc, status formalnoprawny, status przyłączenia, proponowana forma współpracy) należy przesłać za pośrednictwem formularza dostępnego pod adresem https://www.gkpge.pl/grupa-pge/innowacje/projekt-moc. Każde zgłoszenie jest objęte poufnością.

Przesłanie zgłoszenia nie stanowi oferty, nie inicjuje procesu inwestycyjnego, ani nie zobowiązuje Grupy PGE do podjęcia współpracy. Spółka zastrzega sobie możliwość kontaktu wyłącznie z przedstawicielami wybranych projektów, które po analizie zostaną uznane za zgodne z aktualnymi kierunkami rozwoju i zainteresowaniami inwestycyjnymi Grupy PGE.

eprasa.pl 2b902aabc5

FOT. ARCHIWUM UŁ

Studentki na ulicach Łodzi. Zdjęcie z przełomu lat 60. i 70.

FOT. ARCHIWUM UŁ

Pokój w żeńskim akademiku przy Al. Kościuszki w Łodzi. Rok 1946

Jak przechytrzyć portiera

Ryszard Czubaczyński, wieloletni dyrektor Muzeum Miasta Łodzi, były szef łódzkiej Estrady i pracownik Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego, zamieszkał na „Lumumbowie" w latach 50. W 1955 roku przyjechał ze Skierniewic na egzaminy wstępne na filologię polską Uniwersytetu Łódzkiego.

Podróż rozpoczęła się pechowo. Kiedy wysiadał z pociągu, jedna z pasażerek zahaczyła siatką o jego jedyne spodnie od garnituru, rozdzierając je.

Podczas egzaminu siedział więc wyjątkowo sztywno, starając się ukryć uszkodzenie. W końcu jeden z profesorów zapytał go o powód dziwnego zachowania. Kandydat bez skrępowania opowiedział całą historię, wywołując salwy śmiechu.

– To były czasy, gdy człowiek miał jedną parę spodni i jeden garnitur – uśmiecha się dziś Ryszard Czubaczyński. – Łódź zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Ludzie mieli już telewizory. Co prawda były to „Wisły" z ekranami wielkości dłoni, ale jednak telewizory.

Cieszył się, że otrzymał miejsce w akademiku. Do dziś czasem odwiedza osiedle.

– Otoczenie bardzo się zmieniło, ale wejście do akademika jest właściwie takie samo. Układ portierni też pozostał niemal identyczny.

Wspomnienia wracają natychmiast.

– Największym sukcesem było przechytrzenie portiera. Prześlizgnięcie się po godzinach albo przemycenie do akademika kolegi czy dziewczyny.

I dodaje ze śmiechem:

– Kto oszukał portiera, ten był kimś.

Ryszard Czubaczyński wspomina, że w czasach studenckich uchodził za osiedlowego barda. Wieczorami chodził z kolegami pod okna akademików i śpiewał serenady.

– Zawsze chciałem robić to, czego specjalnie nie umiałem, czyli śpiewać – śmieje się. – Ale dziewczyny otwierały okna i wyglądały na zewnątrz. A o to przecież chodziło.

Przez lata osiedle akademickie bardzo się zmieniło. Akademiki wyremontowano, a obok nich powstały stadion i hala Akademickiego Związku Sportowego.

– Kiedyś była tam niewielka łąka, po której się biegało – wspomina. – Droga na Radiostację prowadziła przez prawdziwe pustkowie. Na uniwersytet często chodziliśmy pieszo przez pola. Polonistyka mieściła się wtedy przy ul. Lindleya.

Jednym z mieszkańców „Lumumbowa" był również Marek Jackowski – lider i założyciel zespołu Maanam. Mieszkał tu w latach 1964-1969, studiując anglistykę na Uniwersytecie Łódzkim.

– W każdym akademiku i klubie studenckim w soboty oraz niedziele odbywały się potańcówki, na których grały rozmaite zespoły – wspominał po latach muzyk. – Nowo przybyłych studentów straszono, że osiedlem rządzi „banda Koko" z Bystrzyckiej, bo tak kiedyś nazywała się ul. Lumumby. „Koko" był barwną postacią, ale nie pamiętam, żeby ktokolwiek z jego ludzi zrobił studentom krzywdę. Relacje były raczej koleżeńskie.

Jackowski wspominał również pierwsze wyprawy studentów do miasta.

– Kiedy wybraliśmy się na pierwsze winko i natknęliśmy się na „bandę Niedźwieckiego", kierowaną przez syna znanego boksera, spodziewaliśmy się kłopotów. Tymczasem nie tylko nie dostaliśmy łomotu, ale zostaliśmy potraktowani życzliwie. Chuligani darzyli studentów sporą sympatią, a na koniec nawet odprowadzili nas do tramwaju.

MATERIAŁ INFORMACYJNY TOWARZYSTWO BUDOWNICTWA SPOŁECZNEGO WROCŁAW SP. Z O.O
0111591423

Ponad 700 nowych mieszkań
dla wrocławian od TBS Wrocław do 2028 roku

Towarzystwo Budownictwa Społecznego Wrocław spółka z o.o.

Druga inwestycja na Nowych żernikach

Wbicie pierwszej łopaty pod budowę 200 lokali na Brochowie to symboliczny moment planu inwestycyjnego TBS Wrocław. Do końca 2028 r. miejska spółka powiększy zasób mieszkaniowy stolicy Dolnego Śląska o ponad 700 lokali. Sprawdzamy szczegóły i harmonogramy kluczowych inwestycji mieszkaniowych, które realizuje TBS Wrocław.

Brochów TBS Wrocław

W poniedziałek (28 września br.) TBS Wrocław wraz z generalnym wykonawcą – firmą PORR S.A. – zainaugurował prace przy budowie 200 mieszkań z usługami społecznymi i handlowymi na Brochowie, w kwartale ulic Mościckiego, Semaforowej, Pakistańskiej i Wietnamskiej. Roboty na budowie idą pełną parą. Wykonawca zrealizował już kluczowe prace przygotowawcze: wykonano ok. 60 proc. wykopu oraz zakończono palowanie pod płytę fundamentową.

Wart ponad 91 mln zł brutto projekt TBS Wrocław na Brochowie to największe przedsięwzięcie w bieżącym portfelu inwestycyjnym spółki. Powstanie tu ponad 10 tys. mkw. powierzchni mieszkalnej. Pula 141 lokali trafi do najemców wskazanych przez Gminę Wrocław, a 59 zasili zasób komunalny. Finał robót przewidziano na pierwszą połowę 2028 r.

– Skala tej inwestycji, ale też całego naszego planu inwestycyjnego rozpisanego do 2028 r. odpowiada zapotrzebowaniu na mieszkania na tani wynajem we Wrocławiu, bo o jedno zwalniane mieszkanie w zasobie TBS ubiega się średnio ponad 30 chętnych. Już dziś nasz zasób liczy blisko 4,5 tys. mieszkań i jesteśmy jednym z największych TBS-ów w Polsce, ale skala potrzeb społecznych wskazuje na to, że kolejne inwestycje w ramach budownictwa społecznego we Wrocławiu są bardzo potrzebne. Dlatego krok po kroku realizujemy nasz plan, aby w ciągu dwóch lat powiększyć miejską bazę mieszkaniową o ponad 700 lokali – wyjaśnia ***Iwona Gosa****, prezes zarządu TBS Wrocław.*

Inwestycje w różnych miejscach na mapie Wrocławia

Plan TBS Wrocław rozpisany do 2028 r. zakłada realizację 5 projektów, które spółka zrealizuje w różnych punktach Wrocławia. W ramach projektu Leśnica X TBS Wrocław przekaże najemcom 30 mieszkań. Inwestycja na Praczach Odrzańskich przewiduje budowę 184 mieszkań na potrzeby zasobu komunalnego Wrocławia. Również na zachodzie miasta, a dokładnie na Nowych Żernikach, TBS Wrocław wybuduje 149 mieszkań, które powiększą miejski zasób komunalny. Natomiast na południu miasta, a dokładnie przy ul. Głubczyckiej i Opolskiej na Księżu Małym, powstanie ok. 155 mieszkań oraz Miejsce Doraźnego Schronienia Ludności.

– Nasze inwestycje mieszkaniowe zrealizujemy w taki sposób, aby zapewnić mieszkańcom dostęp do kluczowych usług na miejscu, m.in. do sklepów lub placówek edukacyjnych. Przed nami ambitne projekty o charakterze miastotwórczym, ale też odpowiadające na wyzwania współczesności, jak np. budowa na Brochowie zgodna z wrocławskim zielonym standardem budownictwa i jednocześnie oferująca dostęp do usług społecznych lub budowa na Praczach Odrzańskich, który zrealizujemy w formie drewnianych prefabrykatów – dodaje **Krzysztof Tęsiorowski**, wiceprezes TBS Wrocław.

Jak wynająć mieszkanie w TBS Wrocław?

Wszystkie informacje o zasadach i warunkach najmu mieszkania w TBS Wrocław są dostępne na oficjalnej stronie internetowej **www.tbs-wroclaw.com.pl**. Tam też spółka regularnie publikuje ogłoszenia o wolnych lokalach do wynajęcia.

TBS Księże Małe

TBS Wrocław Pracze Odrzańskie

eprasa.pl 2b902aabc5

JAJA GRUBEGO

Hasło utworzą litery z pól ponumerowanych u dołu od 1 do 9.

POZIOMO:

4) talon z karetką i gikiem, 8) dziewczyna jak miniaturowa broń drzewcowa, 9) rębacz izraelski, 10) pruski do żarcia, 11) przysługuje temu bez winy, 13) za hazard, filatelistykę i wędkarstwo, 17) stopień w oceanie, 18) na pływakach, ale z tyłu, 19) uczelnia z serem i grymasem, 22) domena rzeźnika, 25) usiłuje wpływać, 27) sarna bez spółki, 28) miasto przychylne wobec azotu, 29) wbrew nazwie – przeważnie z cegieł, 30) papiery w takiej.

PIONOWO:

1) zupie wychodzi na dobre, zmysłom przeciwnie, 2) pity na francuskiej ulicy, 3) obuwie jak niektóre Belgijki, 5) błąd drukarski, przytrafiający się też pannom, 6) antał z nutą, 7) słomiany bywa rozrywkowy, 9) objaw chorobowy, dawniej ozdobny, 12) dzięki niemu masz pojęcie, 14) często ryczy, 15) agresor boiskowy, 16) niechętnie o szwajcarskiej czekoladzie, 17) wiersz chytruska, 20) rządzi fatalistą, 21) u nas znany egzotyczny, 23) pojazd w Rabie, 24) oszukańczy myśliciel, 26) pozwala na oddech.

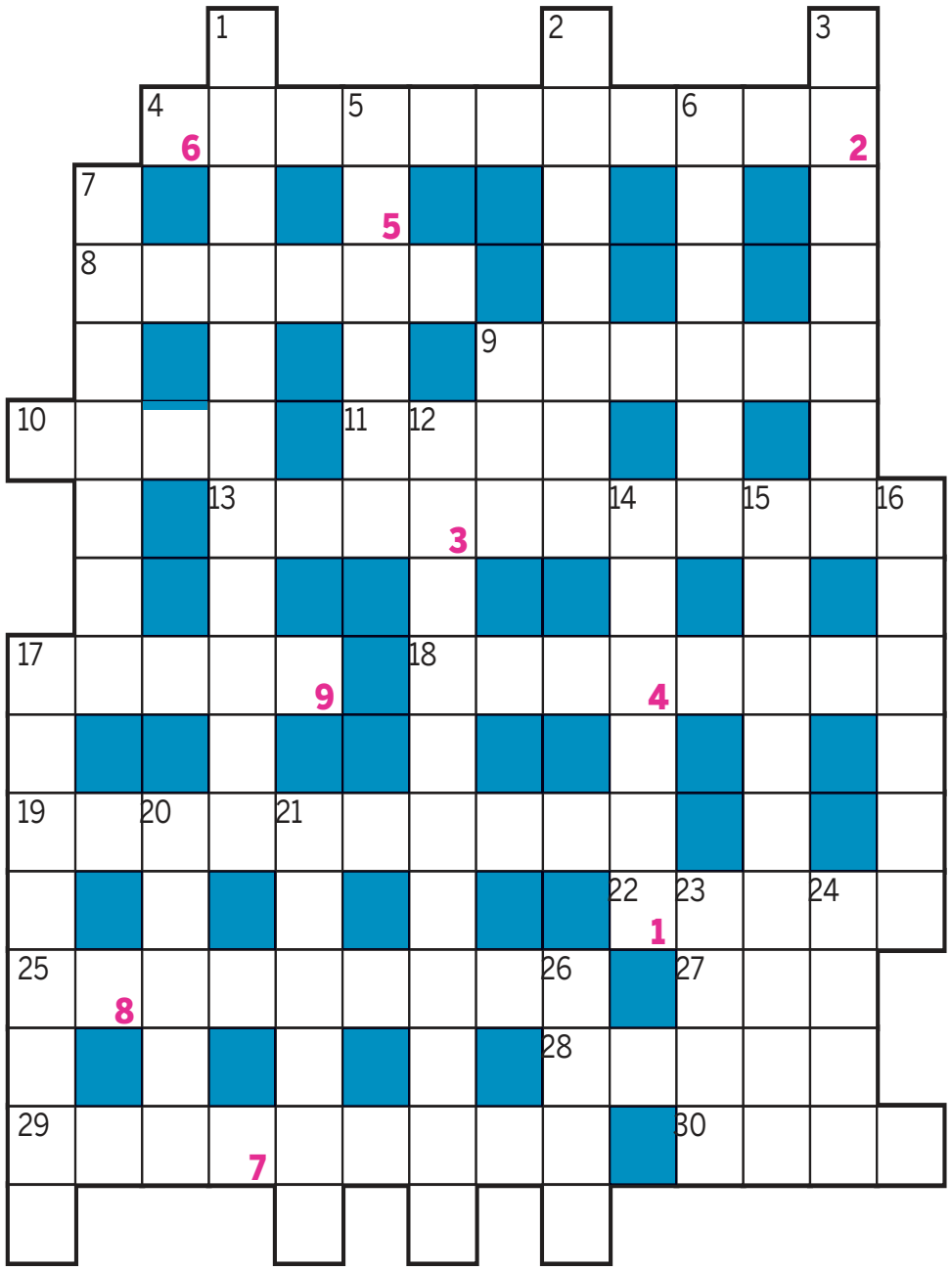

1	2	3	4	5	6	7	8	9

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

Mandaryna

Wyrywa sobie czas

Pierwsze sygnały świadczące o ponownym zbliżeniu celebrytki i Michała Wiśniewskiego pojawiły się na początku tego roku. Byli małżonkowie wystąpili razem podczas sylwestrowej imprezy, a ich zachowanie szybko uruchomiło lawinę spekulacji. Przez kolejne miesiące oboje unikali jednoznacznych deklaracji. W końcu Wiśniewski potwierdził, że od czerwca ponownie tworzą parę. Na razie zakochani nie zdecydowali się na wspólne zamieszkanie, niemałą przeszkodą są bowiem ich obowiązki zawodowe. Mandaryna spędza obecnie wiele godzin na treningach do „Tańca z zwiazdami", a Michał cały czas koncertuje z Ich Troje. Jak przyznała tancerka w jednym z wywiadów, w tej sytuacji muszą wręcz „wyrywać sobie czas", by móc pobyć razem.

Ewa Chodakowska

Nie jest biedna

Na początku września celebrytka poinformowała fanów o definitywnym końcu jej 17-letniego związku z Lefterisem Kavoukisem. W internecie natychmiast pojawiły się więc pełne współczucia komentarze od fanów. Chodakowska odpowiedziała im teraz: „Do tych, którzy piszą »biedna Ewa« – dziękuję za troskę, naprawdę. Ale nie jestem biedna. Mam cudny czas z rodziną w Kanadzie – przez 16 dni przemierzamy ten kraj, chłonąc wspólny czas. Jestem dokładnie tu, gdzie chcę teraz być". Potem dodała: „Nie będzie wojny, publicznego prania brudów. Nie ma żadnych trupów w szafie. Wspieram Lefterisa i to się nie zmieni. A kiedy zdecyduje się stworzyć z kimś nowy związek, będę mu z całego serca kibicować".

Magdalena Narożna

Pokazała opalone nogi

Gwiazda disco-polo w minioną sobotę oficjalnie zmieniła stan cywilny. Jej wybrankiem został Krzysztof Romaniuk, który jest biznesmenem z Podlasia. Zakochani powiedzieli sobie „tak" w plenerze, otoczeni najbliższą rodziną i przyjaciółmi. Narożna postawiła na krótką sukienkę ślubną, która wyeksponowała jej opalone nogi. Ramiona panny młodej okrywało jasne futerko. Wesele odbyło się w sali przypominającej stodołę. Narożna praktycznie nie schodziła z parkietu, raz za razem wyciągając męża do tańca. Piosenkarka nie mogła oczywiście powstrzymać się od wskoczenia na scenę – w trakcie zabawy chwyciła za mikrofon i dała spontaniczny występ dla gości.

FOT. SYLWIA DĄBROWA

Maja Hyży właśnie wyznała, że żałuje ataków na swojego byłego męża tuż po tym, jak się rozwiedli

Helena Englert

Leczy się po hejcie

Młoda aktorka jest jedną z celebrytek, które walczą o Kryształową Kulę w obecnej edycji „Tańca z gwiazdami". W niedzielnym odcinku przed jej występem wyemitowano nagranie, w którym wypowiedziała się na temat komentarzy, które pojawiają się na jej temat w sieci. Kiedy w zeszłym roku wystąpiła w „Hamlecie", reżyserowanym przez jej słynnego ojca, a w tym roku zaśpiewała na Open'erze, wylała się na nią fala hejtu. Bardzo to w nią uderzyło. – Przez tydzień nie wychodziłam z łóżka. Pierwszy telefon był do lekarza, że potrzebuję pomocy. Jestem na lekach od 1,5 roku. Nie radzę sobie z tym. Odbija się to na mojej rodzinie, moim związku i moim wszystkim – przyznała.

Maja Hyży

Narobiła trochę smrodu

Kiedy były mąż wokalistki rzucił ją dla Agnieszki Hyży, przez lata nie szczędziła mu w mediach uszczypliwości. Show-biznes momentami aż huczał od wzajemnych oświadczeń i sporów o alimenty oraz opiekę nad dziećmi. Teraz w rozmowie z serwisem Plejada piosenkarka niespodziewanie uderzyła się w piersi. – Na pewno żałuję tego, co powiedziałam kilkanaście lat po programie „X Factor". Kiedy rozstałam się z moim byłym mężem, nasze emocje były różne. Były mocno nieprzepracowane. Nawet bym powiedziała, że było dużo nienawiści. Powiedziałam dużo rzeczy, których nie powinnam była mówić. Żałuję tego strasznie, bo to zrobiło mi niepotrzebny zamęt. Mam wrażenie, że nawet do dnia dzisiejszego ciągnie się za tym trochę smrodu. Ale się wylało, już tego nie cofniemy – stwierdziła.

Filip Chajzer

Miał ciary

W kilka dni po ślubie celebryty internauci wyśledzili, że jego ukochana wystąpiła w zeszłym roku w jednym z odcinków serialu „Ukryta prawda". Podczas wizyty w programie „Mówię wam" Bianka wytłumaczyła, iż była to sporadyczna przygoda i nie ma aktorskich ambicji. Na razie zajęła się produkcją podcastów, a w przyszłości chciałaby być influencerką. Swoje dorzucił oczywiście jej mąż. – Ja sobie tak myślę, że cechą młodości jest szukanie. Ja sam szedłem na egzamin do szkoły teatralnej. Ja miałem być aktorem, ja się przygotowywałem do szkoły teatralnej, w związku z czym absolutnie to rozumiem. Zresztą, naprawdę Bianeczka gra tam tak, że ja miałem ciary – podsumował.

Skolim

Zaprasza na festyn

Samozwańczy król latino będzie obchodził 9 października trzydzieste urodziny. Z tej okazji dzień wcześniej organizuje festyn w amfiteatrze w Siemiatyczach. Wejściówki trafiły już do sprzedaży: standardowy bilet wyceniono na 50 zł, z kolei pamiątkowa wersja kolekcjonerska to wydatek rzędu 70 zł. Najmłodsi fani muzyka mają specjalny przywilej: dzieci do 120 cm wzrostu wejdą na teren amfiteatru za darmo. Festyn wystartuje o godz. 15, kiedy to swe podwoje otworzy specjalne miasteczko urodzinowe. Na przybyłych gości czekać będzie strefa z grillem, gdzie odbędzie się degustacja autorskich produktów firmowanych pseudonimem piosenkarza. Na scenie w Siemiatyczach pojawią się: Zenek Martyniuk, Cleo, Crack House, Prymaki, Zorka, Raider, Dance 2 Disco oraz oczywiście sam solenizant.

eprasa.pl 2b902aabc5

PLEBISCYT

Sołtys to więcej niż funkcja. To człowiek od wielu spraw

(ka)

Mistrzowie Agro to nie tylko plebiscyt i rywalizacja o głosy. To przede wszystkim ludzie, którzy swoją pracą, pasją i zaangażowaniem zmieniają polską wieś. Poznaj pierwszych uczestników wielkiej akcji rolniczej.

To akcja, która doskonale pokazuje coś, co daleko wychodzi poza formalne ramy plebiscytu, czekające na zwycięzców wspaniałe nagrody czy niezapomniane emocje. - Bo Mistrzowie Agro są także po to, by pokazywać ludzi, którzy tworzą współczesną polską wieś, doceniać ich pracę i sprawić, by ich historie poznali także inni - wyjaśnia Katarzyna Adamczyk, która opiekuje się tą akcją od strony redakcyjnej.

Jak dodaje: - Dziś przedstawiamy historie dwóch sołtysów, którzy opowiadają o swojej pracy, życiu i o tym, co daje im największą satysfakcję. Chcemy, żebyście poznali ich bliżej, bo sołtys to ktoś znacznie więcej niż osoba, do której mieszkańcy przychodzą z lokalnymi sprawami. To najczęściej człowiek, który zna swoją wieś od podszewki, potrafi łączyć ludzi, słuchać ich i działać wtedy, gdy trzeba coś zmienić. W plebiscycie Mistrzowie Agro poznajemy i nagradzamy właśnie takie osoby.

Pokazała, jak wielką wartość ma wspólna praca, kiedy wszyscy potrafią zakasać rękawy i działać

Dlaczego została sołtysem? Ta inicjatywa wyszła całkowicie ze strony samych mieszkańców. To oni, widząc dotychczasowe działanie zaangażowanie i pracę, sami zgłosili ją jako kandydatkę na to stanowisko.

Daria Giergiczna (Sołectwo Rogów Sobócki, gmina Sobótka) od początku starała się być po prostu blisko ludzi, otwarta na ich potrzeby i gotowa do pomocy. - Moim największym powodem do dumy jest to, że potrafię być blisko ludzi i zawsze wychodzić naprzeciw ich potrzebom. Ogromną radość sprawia mi fakt, że mieszkańcy widzą i doceniają pozytywne zmiany, jakie zachodzą na naszej wsi. Dumą napawa mnie energia, z jaką udało mi się wprowadzić nowe, otwarte dla wszystkich imprezy i wydarzenia, które integrują naszą lokalną społeczność. Sukces ten nie byłby możliwy bez skutecznej, partnerskiej współpracy na wielu szczeblach – z powodzeniem współdziałam z gminą i powiatem, a na miejscu prężnie rozwijam relacje ze szkołą oraz Ochotniczą Strażą Pożarną - podkreslа pani Daria. Każdego dnia dba o to, aby miejscowość wyglądała pięknie i stawała się coraz lepszym miejscem do życia. Motywujące jest to, że udało jej się zrzeszyć wokół siebie grupę wspaniałych ludzi: - Pokazałam, jak wielką wartość ma wspólna praca, kiedy wszyscy potrafimy zakasać rękawy i działać.

Pani Dominika poczuła, że naprawdę może coś zrobić dla miejsca, które od tylu lat jest jej domem

Dominika Malinowska (Sołectwo Miłków, gmina Podgórzyn) dzisiaj wie, że gdyby wtedy nie spróbowała, pewnie zastanawiałaby się, co mogła zrobić. A tak, jest tu i działa z zaangażowaniem.

Decyzja o zostaniu sołtysem była w dużej mierze spontaniczna. Początkowo myślała o starcie do rady gminy, ale w tamtym czasie zdrowie po prostu jej na to nie pozwalało, dlatego zdecydowała się spróbować swoich sił jako sołtys. Z czasem bycie sołtysem przestało być po prostu funkcją. Stało się czymś, w co naprawdę się zaangażowała. Poznała potrzeby mieszkańców, zaczęła dostrzegać rzeczy, których wcześniej być może nie zauważała i przede wszystkim poczuła, że naprawdę może coś zrobić dla miejsca, które od tylu lat jest jej domem. - Najbardziej dumna jestem chyba z tego, że udało mi się pokazać, że w Miłkowie naprawdę można coś zrobić, jeśli tylko znajdą się ludzie, którzy chcą działać. Cieszę się z każdej rzeczy, którą udało nam się wspólnie zrobić - wyznaje.

Mistrzowie AGRO

LIDERZY POSZCZEGÓLNYCH KATEGORII PLEBISCYTU

Więcej na: gazetawroclawska.pl/agro

SOŁTYS ROKU

1. **Anna Ilska,** Sołectwo Gorzesław, gmina Bierutów
2. **Bożena Długosz-Kluza,** Sołectwo Goszów, gmina Stronie Śląskie
3. **Daria Giergiczna,** Sołectwo Rogów Sobócki, gmina Sobótka
4. **Grzegorz Pieńkowski,** Sołectwo Bartoszów, gmina Legnickie Pole
5. **Oliwia Koralik,** Sołectwo Sokolniki, gmina Udanin

ROLNIK ROKU

1. **Filip Mazurek,** Glinica
2. **Tomasz Foremny,** Rusko
3. **Paweł Bryłkowski,** Siekierczyn
4. **Karol Latus,** Przesieczna
5. **Krystian Dynerowicz,** Witków

LIDERKA/LIDER ROKU

1. **Andrzej Kozdrowicki,** Siechnice, działacz społeczny
2. **Marcel Potrzeba,** Malczyce, dyrektor GOKiS
3. **Mateusz Huczek,** Wojbórz
4. **Wioletta Ziobrowska,** Bojanice, przodownik TP
5. **Jan Łukasz,** Prochowice, Prochowicki Ośrodek Kultury i Sportu

LEŚNICZY ROKU

1. **Szczepan Hotała,** Nadleśnictwo Zdroje
2. **Marcin Broda,** Nadleśnictwo Żmigród
3. **Andrzej Drgas,** Nadleśnictwo Ruszów

WYPOCZYNEK BLISKO NATURY ROKU

1. **Lawendowa Sowa,** Lutomia Górna
2. **Stajnia Szeryfa,** Kopacz
3. **Domki Górska Zatoka,** Stary Gierałtów
4. **Gospodarstwo Agroturystyczne i Ośrodek Jazdy Konnej RAMIDES,** Chwalimierz
5. **Lucjan Roskowiński Wydrza Przystań,** Mlądz

KOŁO GOSPODYŃ WIEJSKICH ROKU

1. **Koło Gospodyń Wyjątkowych,** gmina Jelcz-Laskowice
2. **KGW Zakręceni,** gmina Kamienna Góra
3. **KGiGW Lawendowa Wieś Stary Łom,** gmina Chojnów
4. **KGW Piękne Izerskie Stara Kamienica,** gmina Stara Kamienica
5. **KGW Słowianki,** gmina Świdnica

SOŁECTWO ROKU

1. **Sołectwo Smolec Przylesie,** gmina Kąty Wrocławskie
2. **Sołectwo Nowy Dwór,** gmina Radwanice
3. **Sołectwo Paprotki,** gmina Lubawka
4. **Sołectwo Boleścin,** gmina Trzebnica
5. **Sołectwo Przedborowa,** gmina Stoszowice

Patroni honorowi:
Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi Stefan Krajewski
ARiMR Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa
Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa

Partnerzy plebiscytu:
Targi Kielce exhibition & congress centre
agrotech

Patronat regionalny:
ARiMR Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa Dolnośląski Oddział Regionalny
DIR

eprasa.pl 2b902aabc5

DROBNE

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIĘ garaż, mieszkanie, tel. 504-358-452.

KUPIĘ każde, got. w 24 h, 500-002-486

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

MIESZKANIA DO WYNAJĘCIA

POKÓJ do wynajęcia, osobne wejście, wspólna kuchnia i łazienka. Opłata miesięczna 1000 zł. Tel. 737-137-418.

MIESZKANIA - WYNAJMĘ

POSZUKUJĘ do wynajęcia mieszkania, pokoju tel. 504-358-452.

DOMY - KUPIĘ

DOM blisko Wrocławia 500-185-254.

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu i drewna. Tel.: 782-592-790.

Praca

ZATRUDNIĘ

PRACA przy sprzątaniu! Osoby z orzeczeniem o niepełnosprawności mile widziane! Sprzątanie biur, szpitali, magazynów, lotniska. Praca od zaraz, pełne przeszkolenie, umowa o pracę. Kontakt: 510-013-460.

W gospodarstwie mlecznym, z doświad.- zamieszkanie, 517-433-784

Zatrudnię mgr farmacji na stanowisko KIEROWNIKA APTEKI w Kaliszu. Tel. 607 837 989, 602 302 351.

Usługi

AGD RTV FOTO

Domowa naprawa telewizorów LED, LCD; 71/351-60-02, 502-175-735.

BUDOWLANO-REMONTOWE

A-Z remonty. Tanio! 502-974-900.

ELEKTRYCZNE inst. Pomiary. 71/351-15-15, 603-867-128.

ELEKTRYCZNE Pogotowie 71/351-15-15, 603-867-128.

MALARZ, gładzie bezpył. 730-325-737

ROLETKI, żaluzje, moskitiery, okna, rolety, drzwi. Montaż, produkcja, naprawa, tel. 71/341-83-03.

INSTALACYJNE

ANTENA absolutnie profesjonalnie, tel. 603-867-128, 71/351-15-15.

Awarie - Hydraulik - 505-087-474.

HYDRAULIK 24h, awarie 505-982-689.

Hydraulik natychmiast 500323373

PORZĄDKOWE

ZWALCZANIE pluskwy, 660-811-020.

PRZEPROWADZKI

TANIO 508-287-106, 71/784-55-63.

STOLARSKIE

Tapicerstwo tanio 601-892-927.

TRANSPORTOWE

WYWÓZ starych mebli, 660-811-020.

ZABEZPIECZAJĄCE

AWARIE zamków, montaż, serwis drzwi antywłam. 501-104-158.

INNE

KUCHNIE junkersy piece 609-528-079.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus 7dniowy od 1250zł. Ful opcja, cisza, spokój, natura, miodowyraj.pl 501642492.

Różne

DOBRAWRÓŻKA we Wrocławiu - tel. 724-558-986, www.wrozby.pop.pl

KASA za stare książki 609-643-399

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.200 zł/tona, 500-669-621

Towarzyskie

WANDY, 505-353-547.

REKLAMA 0011591443

BURMISTRZ JAWORZYNY ŚLĄSKIEJ

Ogłasza II przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż nieruchomości rolnych

– Nowice
Działka nr **92/6** o pow. **0,7356 ha**
Cena wywoławcza: **50 579,00 zł**
Godz. przetargu – **11⁰⁰**
Księga wieczysta nr **SW1S/00020930/0**
Nieruchomość objęta przetargiem, zgodnie z miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego, znajduje się na terenie rolniczym.

– Piotrowice Świdnickie
Działka nr **1058** o pow. **4,6127 ha**
Cena wywoławcza: **308 206,00 zł**
Godz. przetargu – **12⁰⁰**
Księga wieczysta nr **SW1S/00020834/7**
Nieruchomość objęta przetargiem, zgodnie z miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego, znajduje się na terenie rolniczym, terenie wód powierzchniowych oraz terenie lasów i zadrzewień.
Nieruchomość jest objęta dwiema odrębnymi umowami dzierżawy na czas nieoznaczony, opatrzonymi datą pewną przypadającą przed dniem 30 kwietnia 2016 r. Nabywca wstępuje w prawa i obowiązki wydzierżawiającego wynikające z tych umów.

Do sprzedaży przedmiotowych nieruchomości mają zastosowanie przepisy ustawy z dnia 11 kwietnia 2003 r. o kształtowaniu ustroju rolnego (Dz. U. z 2026 r. poz. 941).
W odniesieniu do przedmiotowych nieruchomości prawo pierwokupu przysługuje podmiotom wskazanym w art. 3 ustawy o kształtowaniu ustroju rolnego, z uwzględnieniem wyjątków określonych w tej ustawie.
Nieruchomości wolne są od wszelkich innych obciążeń i roszczeń osób trzecich.
Sprzedaż zwolniona jest z podatku VAT.

Przetargi odbędą się w dniu 3.11.2026 r. w Urzędzie Miejskim w Jaworzynie Śląskiej, ul. Powstańców 3, pokój nr 3.

Warunkiem przystąpienia do przetargów jest wpłacenie wadium w pieniądzu w wysokości 10% ceny wywoławczej, w terminie do **28.10.2026 r.** na konto Urzędu Miejskiego w Jaworzynie Śląskiej PKO Bank Polski S.A., nr 81 1020 5226 0000 6102 0727 7645.

Pełną informację dotyczącą nieruchomości oraz przetargów zawiera ogłoszenie wywieszone na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miejskiego w Jaworzynie Śląskiej, ul. Powstańców 3.
Ogłoszenia o przetargach dostępne są również na stronie internetowej pod adresem: **www.bip.jaworzyna.net (w zakładce Sprzedaż nieruchomości).**
Dodatkowe informacje można uzyskać w Urzędzie Miejskim w Jaworzynie Śląskiej, ul. Powstańców 3, pok. nr 109 - I piętro, pod nr telefonu: 74 84-89-236 w godzinach pracy Urzędu.
Jaworzyna Śląska, dnia 30.09.2026 r.

REKLAMA 0011590443

INFORMACJA

BURMISTRZ MIASTA I GMINY CHOCIANÓW

informuje,

o zamieszczeniu na tablicy ogłoszeń oraz w Biuletynie Informacji Publicznej http://chocianow.bip.pbox.pl

informacji o WYKAZACH: nieruchomości gruntowych niezabudowanych przeznaczonych do sprzedaży w drodze przetargu, nieruchomości gruntowej przeznaczonej do oddania w użyczenie.

REKLAMA 0111562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.

Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399

REKLAMA 0011591441

BURMISTRZ JAWORZYNY ŚLĄSKIEJ

ogłasza II rokowania nieograniczone po przeprowadzeniu dwóch negatywnych przetargów na sprzedaż nieruchomości niezabudowanej

- Pastuchów
Działka nr **221/2** o pow. **0,1500 ha**
Cena wywoławcza: **99 000,00 zł**
Godz. rokowań: **10.00**
Księga wieczysta nr **SW1S/00020949/6**

Nieruchomość objęta rokowaniami, zgodnie z miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego znajduje się na terenie zabudowy mieszkaniowej jednorodzinnej i wielorodzinnej.

Nieruchomość wolna jest od wszelkich obciążeń i roszczeń osób trzecich.

Do ceny nieruchomości ustalonej w wyniku rokowań zostanie doliczony należny podatek VAT w wysokości 23%, zgodnie z obowiązującymi przepisami.

Rokowania odbędą się w dniu 3.11.2026 r. w Urzędzie Miejskim w Jaworzynie Śląskiej, ul. Powstańców 3, pokój nr 3.

Warunkiem przystąpienia do rokowań jest wpłacenie zaliczki w pieniądzu w wysokości 10% ceny wywoławczej w terminie do **28.10.2026 r.** na konto Urzędu Miejskiego w Jaworzynie Śląskiej PKO BANK POLSKA 81 1020 5226 0000 6102 0727 7645 oraz złożenie **w zamkniętych, zanonimizowanych kopertach** do dnia **28.10.2026 r.** w Urzędzie Miejskim w Jaworzynie Śląskiej, ul. Powstańców 3, do godz. 15.30 pisemnego zgłoszenia uczestnictwa w rokowaniach.

Pełną informację dotyczącą nieruchomości oraz rokowań zawiera ogłoszenie wywieszone na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miejskiego Jaworzyna Śląska, ul. Powstańców 3.

Ogłoszenia o rokowaniach dostępne są również na stronie internetowej pod adresem: **www.bip.jaworzyna.net (w zakładce Sprzedaż nieruchomości).**

Dodatkowe informacje można uzyskać w Urzędzie Miejskim w Jaworzynie Śląskiej, ul. Powstańców 3, pok. nr 109 - I piętro, pod nr telefonu: 74 84-89-236 w godzinach pracy Urzędu.

Jaworzyna Śląska, dnia 30.09.2026 r.

REKLAMA 0011592197

SPROSTOWANIE OBWIESZCZENIA NR 367.2026.IX PREZYDENTA MIASTA JELENIEJ GÓRY z dnia 31 sierpnia 2026 r.

o rozpoczęciu konsultacji społecznych dotyczących projektu miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego dla terenu położonego przy ulicy Goduszyńskiej w Jeleniej Górze

Konsultacje społeczne dotyczące **projektu miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego dla terenu położonego przy ulicy Goduszyńskiej w Jeleniej Górze będą prowadzone od 2 października 2026 r. do 2 listopada 2026 r. i obejmują:**

1) **zbieranie uwag** w czasie trwania konsultacji,
2) **spotkanie otwarte dotyczące miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego dla terenu położonego przy ulicy Goduszyńskiej w Jeleniej Górze**, które odbędzie się w dniu 12 października 2026 r. o godzinie 15.30 w sali nr 13 Urzędu Miasta Jelenia Góra, ul. Sudecka 29,
3) **dyżury projektanta dotyczące miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego dla terenu położonego przy ulicy Goduszyńskiej w Jeleniej Górze**, które odbędą się w sali nr 13 Urzędu Miasta Jelenia Góra, ul. Sudecka 29, w dniach:
   - 19 października 2026 r. w godzinach od 15:30 do 16:30,
   - 26 października 2026 r. w godzinach od 15:30 do 16:30.

W ogłoszeniu błędnie podano:

1) **termin prowadzonych konsultacji od 28 września 2026 r. do 28 października 2026 r.,**
2) **termin spotkania otwartego w dniu 5 października 2026 r.,**
3) **termin dyżuru projektanta w dniu 12 października 2026 r. i zabrakło również informacji o kolejnym terminie dyżuru projektanta, wyznaczonym na dzień 26 października 2026 r. w godzinach od 15:30 do 16:30.**

Z up. PREZYDENTA MIASTA
(-)
Sylwia Bajor
Kierownik Referatu Urbanistyki
Wydział Architektury Urbanistyki i Budownictwa

Urząd Miasta Jelenia Góra www.jeleniagora.pl

REKLAMA 0011459132

ZŁOMOWANIE POJAZDÓW
tel. 600 609 606
Wszystkie formalności załatwiamy na miejscu
Płatność gotówką od ręki
Wydajemy zaświadczenie o demontażu
Odbieramy własnym transportem
Cenimy Twój czas!
Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

AUTOREKLAMA

aktualne z całej Polski **przetargi**
nasze komunikaty.pl

REKLAMA 0011592209

BURMISTRZ MIASTA ŻARÓW

INFORMUJE

Na tablicy ogłoszeń Biura Obsługi Klienta Urzędu Miejskiego w Żarowie, ul. Zamkowa 2, został wywieszony na okres 21 dni wykaz nieruchomości przeznaczonych **do dzierżawy** w oparciu o Zarządzenie nr **118/2026** oraz **do sprzedaży** w oparciu o Zarządzenie nr **123/2026**.

eprasa.pl 2b902aabc5

REKLAMA
0011589093

POLECA

PAKIET
GÓRSKIE ZDROWIE *plus*

5 ZABIEGÓW rehabilitacyjnych *GRATIS!*

CENA OD
2 979 zł

eprasa.pl 2b902aabc5

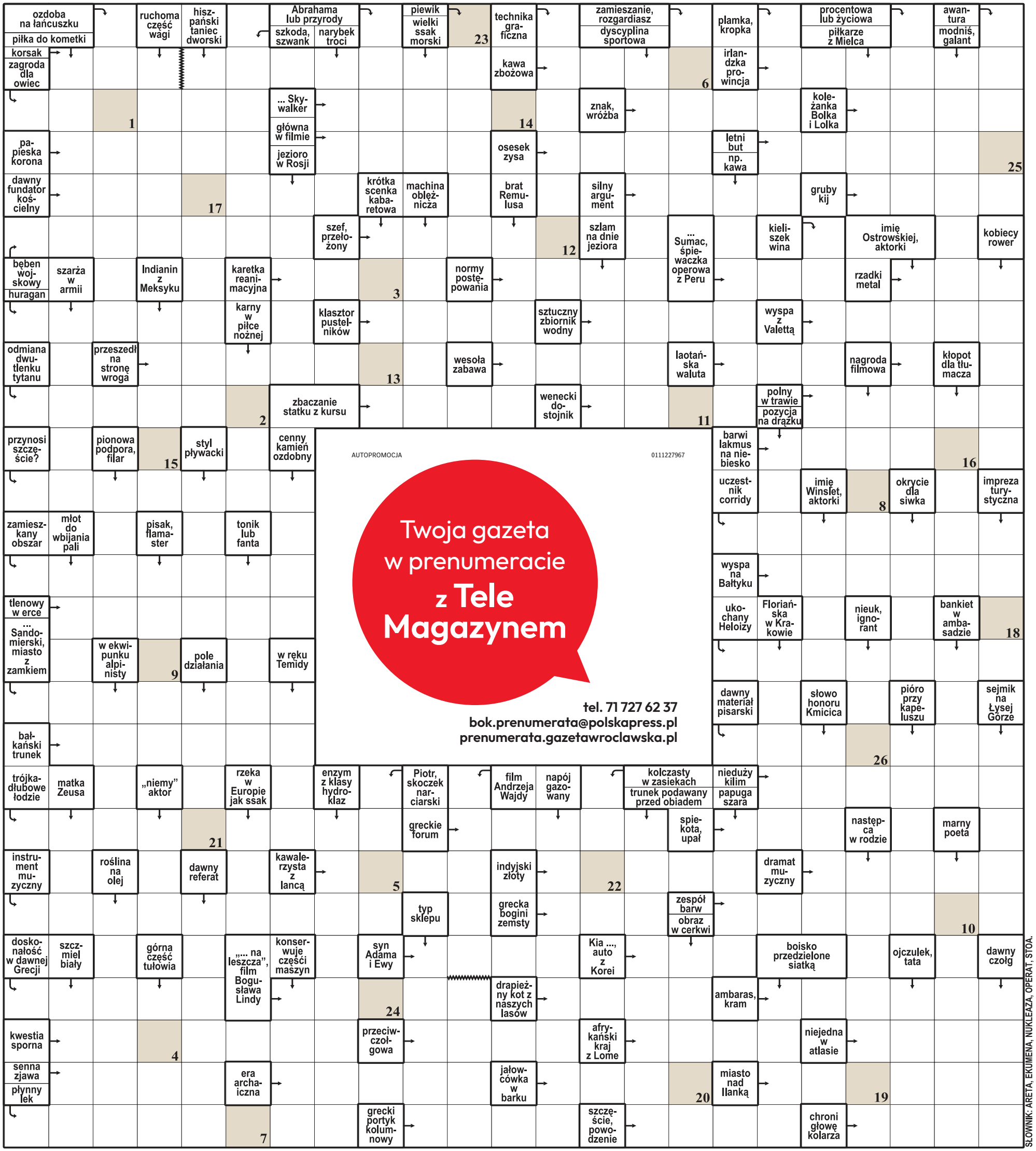

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą rozwiązanie: aforyzm Andrzeja Majewskiego.

ROZWIĄZANIE: SZKOŁA UCZY, ŻYCIE DAJE NAUCZKI.

eprasa.pl 2b902aabc5

PIŁKA NOŻNA

Golański: Hagi nie tak wyobrażał sobie powrót

Dziś mecz Polska – Rumunia w Lidze Narodów. Paweł Golański, były piłkarz Steauy Bukareszt i AS Targu Mures, którego obecny selekcjoner Gheorghe Hagi ściągał do tamtejszej ligi, z wielkim zainteresowaniem czeka na tę konfrontację

Jaromir Kruk

Legendarny Gheorghe Hagi nie tak wyobrażał sobie powrót na stanowisko selekcjonera reprezentacji Rumunii. Po dwóch porażkach – i przed trudną konfrontacją w Warszawie – ich sytuacja w Dywizji B Ligi Narodów jest kiepska. Szczegółowo analizuje ją dla nas Paweł Golański, obecnie dyrektor sportowy Korony Kielce.

FOT. SYLWIA DĄBROWA/POLSKA PRESS

Golański: Aktualnie Rumunom brakuje przede wszystkim liderów, takich jak Lewandowski czy Zieliński

Co Hagi może zmienić w reprezentacji Rumunii?

Mecze ze Szwecją i Bośnią nie ułożyły się po jego myśli. O ile Szwecja ma teraz mocny zespół i porażkę na wyjeździe brano pod uwagę, o tyle 2:4 z Bośniakami bardzo zabolało rumuński światek piłkarski. Hagi zdaje sobie sprawę z trudnego położenia, a mecz z Polską określa się jako ten z gatunku być albo nie być. Nie można wykluczać, że to spotkanie będzie zamknięte, a na pewno Rumunia odda piłkę Polsce i cofnie się, licząc na kontry.

Rumunom brakuje gwiazd?

Trudno jest porównywać obecną generację do wspaniałego pokolenia z lat 90., bo wtedy grali Hagi i plejada wybitnych piłkarzy. Moim zdaniem tej drużynie brakuje przede wszystkim liderów, takich jak my mamy: Roberta Lewandowskiego i Piotra Zielińskiego. W ostatnich latach mieli poukładany zespół, pokazali się z niezłej strony na Euro 2024 i bardzo liczyli na dobre wyniki w Lidze Narodów. Chcieli się odegrać na Bośniakach za eliminacje mundialu, tymczasem u siebie przegrali 2:4. Najgorsze dla nich, że goście byli lepsi pod każdym względem. Obiektywnie Bośnia ma teraz piłkarzy w mocniejszych klubach niż Rumunia. Na papierze Polacy też zdecydowanie górują nad ekipą Hagiego, pamiętajmy jednak o podrażnionej dumie Rumunów, a to są cholernie ambitni ludzie.

Hagi może szybko odejść?

Znam go dobrze, to on ściągał mnie do Steauy. To honorowy człowiek i jeśli poczuje, że nie jest w stanie pomóc kadrze, po prostu odejdzie. Hagi nie zostanie na siłę, ale Liga Narodów trwa i cała Rumunia liczy, że sytuacja obróci się na korzyść. Dziś dojdzie do kluczowego meczu, oba zespoły znajdują się pod wielką presją. U nas jest ogromna krytyka kadry, u nich chyba jeszcze większa.

Rumunów bolą te porażki?

Hagi nie tak sobie wyobrażał powrót. To legenda, bohater mundiali, Euro, wybitny piłkarz, nietuzinkowa osoba. Wrócił i odżyły nadzieje na sukcesy, ale falstart w Lidze Narodów popsuł atmosferę wokół futbolu. Rumunom nie jest łatwo przełknąć 2:4 z Bośnią i Hercegowiną. Przegrali dwa mecze, ale może zapomnieli, że to ich rywale występowali w tegorocznym mundialu, nie oni. Rumunia chce regularnie być na największych imprezach, ale w piłce jest niesamowita konkurencja. My byliśmy nie tak dawno w Dywizji A Ligi Narodów, a teraz musimy oglądać się za plecy w B. Mecz z Rumunią jest szalenie ważny, trzeba poprawić atmosferę wokół naszej reprezentacji. Tego potrzebujemy, ale trzeba uważać na zespół Hagiego, który jest nieobliczalny.

Udźwigniemy rola faworyta?

Papier to papier, dywagacje znikają, gdy się wychodzi na boisko. Nie wygraliśmy meczu od marca, od potyczki z Albanią, i najwyższa pora się przełamać. Presja? W kadrze zawsze będzie większa, bo reprezentujesz kraj i nasi kibice też mają oczekiwania.

Kibicujesz Rumunii?

Sentyment pozostał. Spędziłem tam piękny czas, zagrałem w Lidze Mistrzów, Lidze Europy, poznałem wspaniałych ludzi, cały czas mam kontakt z wieloma znajomymi. Zatem kibicuję reprezentacji Rumunii. Oczywiście z wyjątkiem meczów z Polską. ©℗

PIŁKA NOŻNA

Stawka meczu z Rumunią jest wysoka. Jan Urban walczy o posadę

Adam Godlewski

O 20.45 na Stadion Narodowy w Warszawie wybiegną drużyny, które zanotowały falstart w UEFA Nations League. Zarówno Jan Urban, jak i Gheorghe Hagi w przypadku niepowodzenia mogą pożegnać się z zajmowanym w swojej federacji stanowiskiem.

Biało-Czerwoni w dwóch początkowych kolejkach Ligi Narodów zdobyli zaledwie punkt, goście nie wywalczyli dotąd żadnego. Zważywszy, że celem dla obu drużyn był awans do Dywizji A, kiepskie nastroje polskich i rumuńskich kibiców nie mogą nikogo dziwić. O ile na początku rozgrywek w obu krajach oczekiwano na nowe otwarcie w reprezentacjach, o tyle teraz wszyscy po obu stronach barykady mówią już tylko o punkcie zwrotnym.

Obecna kadencja Hagiego w kadrze (pierwszą miał ćwierć wieku temu) jest 3-krotnie krótsza niż Urbana. I pewnie także z tego powodu były legendarny piłkarz nie jest jeszcze tak bardzo na cenzurowanym , jak szkoleniowiec Biało-Czerwonych. Przede wszystkim, „Maradona Karpat" nie musi oglądać się na to, co w kwalifikacjach młodzieżowego Euro osiągnie trener kadry U-21. Rumuni nie mają już bowiem szans, aby wyjść z grupy w tych rozgrywkach.

Tymczasem polska młodzieżówka, która pod wodzą Jerzego Brzęczka w środę odniosła 9. kolejne kwalifikacyjne (!) zwycięstwo (tym razem Orlęta pokonały w Katowicach Szwedów 3:0, po 2 golach pominiętego przez Urbana w powołaniach Bartosza Mazurka z RB Salzburg i trafieniu Daniela Bąka z Korony Kielce) i jest bardzo bliska bezpośredniego awansu do finałów mistrzostw Europy w swej kategorii wiekowej. Gra przy tym widowisko, w każdym meczu potwierdzając, że Brzęczek wyciągnął właściwe wnioski z kadencji selekcjonera pierwszej reprezentacji.

FOT. ADAM JANKOWSKI/POLSKA PRESS

– Nie czuję, że gram o posadę, choć wiem, że porażka przybliżyłaby PZPN do decyzji, aby mnie zmienić – stwierdził selekcjoner Jan Urban

Zatem to całkiem zrozumiałe, że od kilku tygodni media spekulują, iż Brzęczek – w krytycznej sytuacji już w listopadzie – wróci do drużyny narodowej i zastąpi Urbana. – Nie czuję, że gram o posadę, choć wiem, że porażka przybliżyłaby PZPN do decyzji, aby mnie zmienić – stwierdził Urban na czwartkowej konferencji prasowej. – Nie myślę jednak o tym, koncentrowałem się, aby jak najlepiej przygotować drużynę do piątkowego meczu. Bo wiem, że zwycięstwo pozwoli nam wrócić do gry o najwyższe miejsca w grupie Ligi Narodów – dodał.

Transmisja dzisiejszego spotkania w TVP 1, TVP Sport oraz na sport.tvp.pl. Początek przedmeczowego studia o godz. 19.45.

eprasa.pl 2b902aabc5

SPORT

Porażka piłkarzy ręcznych. Śląsk Wrocław w meczu 7. kolejki Lotto Superligi przegrał na wyjeździe z Industrią Kielce 26:43

ŻUŻEL

Żużlowcy Betard Sparty chcą odwrócić losy finału

Dawid Foltyniewicz

20 punktów straty nie odebrało żużlowcom Betard Sparty Wrocław wiary w mistrzostwo Polski. Przed niedzielnym (g. 19:30) rewanżem z PRES Toruń zespół pracuje na własnym torze, a ważnym elementem przygotowań jest poprawa startów juniorów.

FOT. SŁAWOMIR KOWALSKI

Jeśli Sparta wciąż liczy na tytuł, jej zawodnicy w niedzielę nie mogą zbyt często oglądać pleców rywali

W niedzielę na Stadionie Olimpijskim rozstrzygnie się walka o mistrzostwo Polski. Po porażce 35:55 na Motoarenie sytuacja Betard Sparty jest bardzo trudna, ale rachunek pozostaje prosty: zwycięstwo 55:35 zapewni gospodarzom tytuł. Przy remisie w dwumeczu zdecyduje wyższe miejsce w rundzie zasadniczej, którą Wrocławianie zakończyli na pierwszej pozycji. Torunianom do obrony złota wystarczy 36 punktów.

– Nie poddajemy się i szykujemy się do rewanżu. Mamy zaplanowane treningi – zapowiadał trener Piotr Protasiewicz.

Najbardziej boli końcówka pierwszego finału. Po dwunastu biegach „Spartanie" przegrywali tylko 32:40. Trzy ostatnie wyścigi przegrali jednak po 1:5, a różnica urosła do rozmiarów, które znacząco ograniczają margines błędu w rewanżu. Na Olimpijskim potrzeba więc skuteczności przez całe spotkanie, również wtedy, gdy przyjdzie do decydujących pojedynków liderów.

Łaguta w programie „Kolegium Żużlowe" w Canal+ przekonywał, że odrobienie strat jest możliwe. Nakreślił też konkretny scenariusz: po 12 punktów każdego z czterech podstawowych seniorów. Taki dorobek Artioma, Daniela Bewleya, Brady'ego Kurtza i Macieja Janowskiego dałby 48 punktów. Do upragnionych 55 nadal brakowałoby siedmiu. Właśnie dlatego tak ważna jest pomoc młodzieżowców.

Jak relacjonował Łaguta, jednym z ważnych zadań podczas treningów Betard Sparty jest poprawa startów juniorów, szczególnie Mikkela Andersena. W ocenie lidera Wrocławian Duńczyk potrafi skutecznie bronić pozycji, gdy dobrze wyjedzie spod taśmy. Łaguta wskazywał na potrzebę korekty przełożeń i ułożenia ciała przy ruszaniu, tak aby motocykl przyspieszał, zamiast podnosić przednie koło.

– Postaramy się mu pomóc, żeby te jego starty w niedzielę były atomowe – mówił Łaguta.

Andersen jest tegorocznym indywidualnym mistrzem świata juniorów, ale ten sukces trzeba jeszcze przełożyć na ligowe punkty. Łaguta podkreślał również możliwości Marcela Kowolika: jego zdaniem obaj młodzi zawodnicy mogą na własnym torze pokonywać seniorów gości. Kowolik pokazał zresztą, że potrafi zaskoczyć faworyta także na wyjeździe. W pierwszym finale wygrał czwarty bieg przed Robertem Lambertem. Łącznie wrocławscy juniorzy zdobyli jednak w Toruniu zaledwie pięć punktów.

Wciąż pozostaje pytanie o Bartłomieja Kowalskiego. Uraz odniesiony w Żarnovicy wykluczył go z obu półfinałów i pierwszego finału, ale zawodnik nie przekreśla powrotu na najważniejszy mecz sezonu.

PGE EKSTRALIGA

REWANŻOWY FINAŁ
Niedziela: Betard Sparta Wrocław – PRES Grupa Deweloperska Toruń (godz. 19:30, Canal+ Sport, 35:55).

REWANŻOWY MECZ O 3. MIEJSCE
Sobota: Orlen Oil Motor Lublin – Fogo Unia Leszno (godz. 19:30, Canal+ Sport, 44:46)

REWANŻOWY BARAŻ
Niedziela: Gezet Stal Gorzów – Hunters PSŻ Poznań (godz. 17:00, Canal+ Sport, Canal+ Sport 5, 43:47)

KOSZYKÓWKA

Danny Franco po meczu z Budućnością: Nie szukamy wymówek

Dawid Foltyniewicz

Koszykarze Śląska Wrocław rozpoczęli EuroCup od porażki z Budućnością Podgorica 75:99. Danny Franco wskazywał na brak zgrania i kosztowny przestój w drugiej kwarcie, ale mimo wysokiej przegranej docenił swoich zawodników za walkę.

Nowy zespół Śląska już na inaugurację dostał wymagający sprawdzian. Goście z Czarnogóry bezlitośnie wykorzystywali słabości gospodarzy, a trener Wrocławian przyznawał, że jego drużyna wciąż płaci za późne dołączenie części zawodników.

– Wiedzieliśmy, że będziemy grać z jednym z najlepszych zespołów w grupie. Mają dobrą chemię w drużynie, są konsekwentni i wspierają się nawzajem. Są też w innym momencie przygotowań do sezonu niż my – oceniał Franco. – Wielu zawodników dołączyło do nas późno. Nie szukamy jednak wymówek, bo ani EuroCup, ani polska liga nie będą na nas czekać.

Najwięcej pretensji szkoleniowiec mógł mieć o drugą kwartę. Po pierwszej Śląsk przegrywał tylko 19:22, ale kolejną część spotkania oddał rywalom 14:29. Na przerwę schodził już ze stratą 18 punktów. To właśnie ten fragment najbardziej skomplikował gospodarzom zadanie.

– Nie możemy zagrać tak jak w ostatnich pięciu minutach drugiej kwarty i pozwolić zespołowi takiemu jak Budućnost odskoczyć na 18 punktów. Wtedy góra, na którą musieliśmy wejść w drugiej połowie, nie byłaby aż tak wielka – mówił trener.

FOT. PAP/MACIEJ KULCZYNSKI

Śląsk zaczął sezon od wysokiej porażki, ale należy podkreślić, że Budućnost Podgorica to bardzo wymagający przeciwnik

Po zmianie stron Wrocławianie próbowali wrócić do meczu. W czwartej kwarcie zmniejszyli różnicę do 11 punktów, ale goście odpowiedzieli i ostatecznie zwyciężyli aż 24. Samo zaangażowanie nie wystarczyło, by zatrzymać drużynę z Podgoricy.

– Włożyliśmy wiele wysiłku w ten mecz, ale trzeba docenić jakość rywala. Próbowaliśmy walczyć o każdą piłkę, rzucaliśmy się na parkiet, ale oni zawsze byli gotowi, by ukarać nas swoimi punktami – przyznawał Franco.

Dla trenera ważne było to, że przy niekorzystnym wyniku zawodnicy nadal szukali sposobu na odrobienie strat. O ich postawie mówił także w szatni.

– Powiedziałem zawodnikom, że jestem dumny z wysiłku, jaki włożyli w to spotkanie. Zaczęliśmy dobrze, ale zabrakło nam konsekwencji. Doceniam jednak pragnienie walki, bitwę o każdą piłkę i próbę odrobienia strat w drugiej połowie – podkreślał.

Śląsk w niedzielę (g. 17:30) zmierzy się na wyjeździe z AMW Arką Gdynia w ramach 1. kolejki PGE Basket Ligi. Dla WKS-u będzie to okazja do rewanżu za porażkę w tegorocznych ćwierćfinałach.

eprasa.pl 2b902aabc5

Piątek
2.10.2026

| 6,50 ZŁ w tym 8% VAT

WYD. 6

Głogów

Gazeta WROCŁAWSKA

tygodnik
GŁOGOWSKI

www.glogow.naszemiasto.pl

Nr 40 (229)

FOT. STYCZYŃSCY

FOTOREPORTAŻ

RYKOWISKO JELENI

NIEZWYKŁY SPEKTAKL PRZYRODY NA DOLNYM ŚLĄSKU

str. 6

INWESTYCJE

Nowa atrakcja na Górkowie za 1,4 mln zł

Rowerowy Park Umiejętności. To będzie tor z profesjonalnymi, ciekawymi przeszkodami str. 3

Nr ISSN 2353-6152
Nr indeksu 350206

HISTORIA

Skąd wziął się pomysł na głogowską dwudziestozłotówkę? str. 5

SPORT

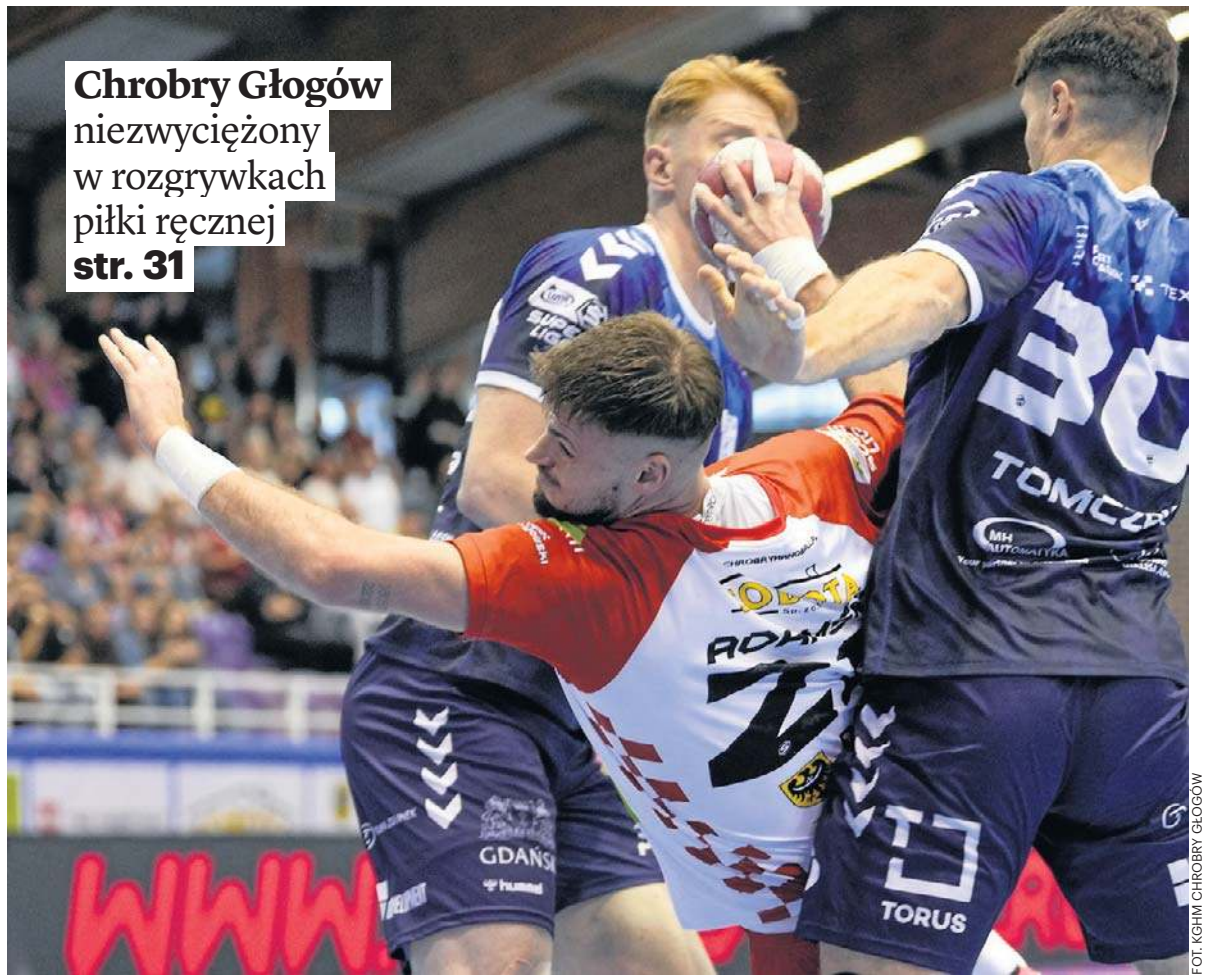

Chrobry Głogów niezwyciężony w rozgrywkach piłki ręcznej str. 31

FOT. KGHM CHROBRY GŁOGÓW

REKLAMA

0011464646

FONMED APARATY SŁUCHOWE

DIAGNOSTYKA SŁUCHU DZIECKA

Kompleksowa DIAGNOSTYKA SŁUCHU DZIECI:
- Videootoskopia
- Tympanometria
- otoemisja akustyczna
- ABR, ASSR
- Zaburzenia Przetwarzania Słuchowego

ZBADAJ SWÓJ SŁUCH I BEZPŁATNIE

przetestuj aparat słuchowy u siebie w domu

FONMED APARATY SŁUCHOWE od 1997

GŁOGÓW, ul. Kościuszki 15 F (budynek przy wjeździe do szpitala po byłej aptece) 76 835 05 01, 888 748 707 www.fonmed.pl

TO JEST PRODUKT MEDYCZNY, UŻYWAJ GO ZGODNIE Z INSTRUKCJĄ I ETYKIETĄ

eprasa.pl 2b902aabc5

Janusz Michalczyk

Komu wolno użyć przemocy i jaki z nią problem?

Niebezpieczna kobieta i wariatka - takie określenia padły pod adresem Rzeczniczki Praw Dziecka. Po opisaniu sprawy przez Kanał Zero nikt jej nie broni, a w Sejmie posłowie zapowiedzieli zgłoszenie wniosku o odwołanie ze stanowiska. Jednym słowem: katastrofa. W skrócie - dwoje maluchów w wieku 3 i 4 lat zostało zabranych rodzicom. Na skutek decyzji policji trafiły do domu dziecka, po tym jak Rzeczniczka miała na ulicy scysję z ich matką.

Twierdzi, że matka szarpała jedno z dzieci i krzyczała na nie, używając wulgarnych słów. To w ocenie Rzeczniczki było „przemocą fizyczną i psychiczną". Kiedy Rzeczniczka interweniowała, także usłyszała „wiązankę". Potem nastąpiła cała seria działań, które sędzia zajmujący się tą sprawą określił jako „przemoc instytucjonalną". Jego zdaniem Rzeczniczka doprowadziła do zabrania dzieci z błahego powodu.

Pomińmy tu szczegóły, bo łatwo sprowadzić tę historię do absurdu, a im dalej w las - tym więcej drzew. Mnie zastanowiło, że zarzutem przemocy można tak łatwo manipulować i podkładać pod te pojęcie różną treść: rodzice używają przemocy wobec dzieci, instytucja stosuje przemoc wobec rodziców.

Może jest tak, że w życiu każdy styka się z jakąś formą przemocy, więc nie ma się co roztkliwiać. Fizyczna przemoc bywa banalna jak klaps wymierzony dziecku za złe zachowanie, ale przecież niekiedy zamienia się w maltretowanie. Z psychiczną przemocą jest jeszcze trudniej, bo wiele zależy od wrażliwości ofiary.

Nawet jeśli wszyscy uznamy, że w tym konkretnym przypadku Rzeczniczka przesadziła i zostanie odwołana ze stanowiska za nadgorliwość, to z różnymi formami przemocy zawsze będziemy mieć kłopot, bo jest ona częścią ludzkiego losu.

GŁOGÓW

Zapraszamy na niezwykły koncert

Parafia Kolegiacka w Głogowie zaprasza na koncert „Piękna jak Lilija", który zaprezentuje słuchaczom piękno muzyki sakralnej. Koncert zaplanowano na niedzielę, 4 października, o godz. 17. Wstęp wolny.

Sakralne kompozycje w kameralnym wykonaniu zaprezentuje Głogowianom dwójka artystów: Basia Pospieszalska (wokalistka) oraz Joachim Mencel (pianista, kompozytor, aranżer).

W murach Kolegiaty usłyszymy dźwięki niezwykłego instrumentu, jakim jest lira korbowa. To strunowy instrument muzyczny z korpusem podobnym do gitarowego, wiolonczelowego lub lutniowego, wyposażony w kilka strun, zazwyczaj zamkniętych w drewnianej skrzynce. Struny pobudzane są do drgań przez pocierającą je krawędź koła, które muzyk wprawia w ruch za pomocą korbki.

Ratusz zaprasza do konsultacji

RED
Głogów

Do 3 listopada potrwają konsultacje społeczne w sprawie „Strategii Rozwoju Głogowa do roku 2035". Może wziąć w nich udział każdy mieszkaniec miasta.

Prezydent Miasta Głogowa zaprasza do udziału w konsultacjach społecznych projektu „Strategii Rozwoju Głogowa do roku 2035". Celem konsultacji jest zebranie opinii, uwag, wniosków i propozycji dotyczących kierunków rozwoju miasta.Termin konsultacji: 25 września – 3 listopada.

Formy konsultacji

1. Formularz zgłaszania uwag.

Uwagi i opinie można składać na Formularzu Zgłaszania Uwag:

- osobiście w Biurze Obsługi Mieszkańca Urzędu Miejskiego w Głogowie, Rynek 10;
- pocztą na adres: Urząd Miejski w Głogowie, Rynek 10, 67-200 Głogów;
- elektronicznie na adres: strategia@glogow.um.gov.pl

2. Otwarte spotkania konsultacyjne.

Spotkania

W ramach konsultacji odbędą się dwa otwarte spotkania konsultacyjne:

- 6 października, godz. 14:30–16:30
- 20 października, godz. 14:30–16:30

Miejsce: Sala nr 122 Głogowskiego Ratusza, Rynek 10, Głogów.

Spotkania będą poświęcone przedstawieniu głównych założeń projektu Strategii oraz dyskusji nad jego zapisami. Uczestnicy będą mieli możliwość zadawania pytań oraz przedstawienia swoich uwag, opinii i propozycji.

FOT. ŻUKOWICE

ŻUKOWICE

80 LAT OSP BRZEG GŁOGOWSKI

W jubileuszowych uroczystościach uczestniczyli przedstawiciele samorządu, zaprzyjaźnionych jednostek OSP, Państwowej Straży Pożarnej oraz zaproszeni goście. Nie zabrakło gratulacji, upominków i środków przeznaczonych na dalszy rozwój jednostki i zakup potrzebnego sprzętu. Wyróżniono również zasłużonych i najbardziej doświadczonych strażaków. O znaczeniu jednostki dla mieszkańców mówił również wójt gminy Żukowice Krzysztof Wołoszyn, podkreślając wieloletnią, nieprzerwaną służbę strażaków oraz ich ogromny wkład w bezpieczeństwo i życie lokalnej społeczności. Uroczystości uświetniła Orkiestra Huty Miedzi Głogów. Po oficjalnej części, wręczeniu odznaczeń, gratulacjach i przemówieniach przyszedł czas na wspólne świętowanie. RED

GŁOGOWSKIE DNI TURYSTYKI DLA DZIECI I DOROSŁYCH

FOT. DGL NEWS

W czwartek, 1 października, rozpoczęła się 22. edycja Głogowskich Dni Turystyki. Pierwszego dnia Centrum Informacji Turystycznej zaprosiło do fosy przedszkolaki oraz uczniów klas 1-3 szkół podstawowych. Zwiedzali podziemne fortyfikacje z miejskimi przewodnikami. Spotkanie dla dorosłych rozpocznie się w sobotę o godz. 10 na Bulwarze Nadodrzańskim (przy trampolinach) . Ruszy wtedy spacer „Odkrywaj Głogów" szlakiem głogowskich zakonów. RED

tygodnik GŁOGOWSKI

REDAKCJA LOKALNA: Grażyna Szyszka, grazyna.szyszka@gazeta.wroc.pl, Mateusz Różański mateusz.rozanski@polskapress.pl, WYDAWCA Janusz Michalczyk
BIURO OGŁOSZEŃ: Aneta Siwiak, tel. 798751830, aneta.siwiak@polskapress.pl; PRENUMERATA: tel. 717276237; DRUK: Polska Press Oddział Poligrafia, 41-203 Sosnowiec Milowice, ul. Baczyńskiego 25a. WYDAWCA Polska Press Sp. z o.o. ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa, tel. 22 20144 00, fax: 22 20144 10. P.O. PREZES ZARZĄDU POLSKA PRESS GRUPY Elżbieta Żuraw. PREZES MAKROREGIONU Robert Glinkowski. PROJEKT GRAFICZNY Tomasz Bocheński.

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

POLSKA PRESS GRUPA

eprasa.pl 2b902aabc5

INWESTYCJE SZACOWANY KOSZT TO BLISKO 1,4 MLN ZŁOTYCH

Na Górkowie: Rowerowy Park Umiejętności

RED
Głogów

Głogowski Górków, słynący z toru motocrossowego, wzbogaci się o tor dla miłośników jazdy rowerem MTB. Miasto pozyskało środki na jego budowę.

FOT. DGL NEWS

Od lewej: Rafael Rokaszewicz, Piotr Borys i Łukasz Horbatowski

Prezydent Rafael Rokaszewicz odebrał z rąk Piotra Borysa decyzję Ministerstwa Sportu i Turystyki o dofinansowaniu budowy Rowerowego Parku Umiejętności w Głogowie. Mowa o liczącym blisko 2,6 km torze rowerowym z profesjonalnymi przeszkodami, który powstanie równolegle do toru motocrossowego.

– Trasa z profesjonalnymi przeszkodami będzie liczyć blisko 2,6 kilometra. Szacowany koszt to blisko 1,4 mln złotych, z czego 500 tys. pochodzić będzie z Ministerstwa Sportu i Turystyki, natomiast 300 tys. z Urzędu Marszałkowskiego Województwa Dolnośląskiego – mówi prezydent Rafael Rokaszewicz.

Tym samym tor uzupełni już istniejącą na Górkowie infrastrukturę sportową. Obecnie odbywają się tam zawody motocrossowe oraz biegowe. Wkrótce dołączy do tego możliwość organizacji zawodów rowerowych – nawet o randze europejskiej.

Na tym terenie jest miejsce, aby poprowadzić trasę rowerową z profesjonalnymi przeszkodami

W przygotowaniu projektu uczestniczyli głogowscy rowerzyści.

– Założeniem tej inwestycji jest nauka umiejętności rowerowych dla dzieci i młodzieży, ale tak naprawdę będzie to miejsce dla wszystkich mieszkańców – mówił Piotr Borys.

Trasa rowerowa ma bazować na torze motocrossowym, ale z nim nie kolidować.

Przygotowania do inwestycji ruszą jeszcze w tym roku, a samą jej realizację zaplanowano na rok 2027.

– Cieszy mnie, że dzięki dobrej współpracy parlamentu, rządu i samorządu, kolejne środki trafiają do Głogowa – mówił obecny na przekazaniu decyzji poseł Łukasz Horbatowski.

Cykl „Dbam o siebie": profilaktyka raka piersi

RED
Głogów

W październiku w Głogowie odbędzie się kolejne spotkanie z cyklu „Dbam o siebie". Tym razem jego tematem będzie profilaktyka raka piersi.

Spotkanie zaplanowane jest na 10 października w Miejskim Centrum Integracji „Jubilat". Swoim patronatem objął je prezydent Głogowa – Rafael Rokaszewicz.

Program

Organizatorzy przygotowali bogaty program. A w nim:

- godz. 11:00 – Profilaktyka raka piersi – działanie, które ma znaczenie – Karolina Kamińska i Wanda Myszczyszyn z Działu Profilaktyki i Strategii Onkologicznej w Dolnośląskim Centrum Onkologii, Pulmonologii i Hematologii we Wrocławiu
- godz. 12:00 – Dieta w profilaktyce raka piersi – od badań naukowych do codziennego lekarza – dr nauk medycznych i nauk o zdrowiu Dorota Mickiewicz – Góra
- godz. 13:00 – Wpływ diagnozy na życie pacjenta. Jego lęki i stres związane z leczeniem – psychoonkolog Małgorzata Szychowska z Głogowskiego Stowarzyszenia „Otwarte drzwi"
- godz 14:15 – Koncert Irys (solo) – występ Martyny Juszczyk.

Dodajmy, że na uczestniczki spotkania czekać będą także: woda, kawa, herbata i ciasto oraz zdrowy poczęstunek od działkowców. Wstęp na spotkanie jest bezpłatny.

Ważne informacje

Szpital Głogowski – rejestracja na bezpłatne badania mammograficzne.

Polskie Stowarzyszenie Diabetyków Oddział Głogów – bezpłatny pomiar poziomu cukru.

Punkt Edukacyjny Dolnośląskiego Centrum Onkologii, Pulmonologii i Hematologii – informacje o badaniach, nauka samobadania, porady profilaktyczne.

Stanowisko informacyjne dolnośląskiego oddziału NFZ – informacje o profilaktyce, analiza składu ciała, informacje o programach profilaktycznych, pomoc w założeniu i korzystaniu z aplikacji Moje IKP i MojeFizjo+, materiały i porady dotyczące zdrowego stylu życia.

Weekend seniora z kulturą

RED
Głogów

Głogowskie muzeum zaprasza do zamku, gdzie przygotowano szereg zajęć dla starszych mieszkańców miasta.

1 października swoje święto obchodzili seniorzy. Z okazji Międzynarodowego Dnia Osób Starszych, z inicjatywy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, organizowany jest „Weekend seniora z kulturą". W tę inicjatywę włączyło się także Muzeum Archeologiczno-Historyczne w Głogowie.

FOT. DGL

Osoby w wieku 60+ mogą za darmo obejrzeć wszystkie wystawy w głogowskim muzeum

W sobotę, 3 października, oraz w niedzielę, 4 października, zapraszamy seniorów do bezpłatnego zwiedzania zarówno muzealnych wystaw, jak i zamkowej wieży. W tych dniach dla osób 60+ wstęp wolny na wszystkie wystawy.

Liczba miejsc na warsztatach jest ograniczona. Zgłoszenia przyjmowane są telefonicznie pod numerem 76 834 10 81 (Dział Edukacji).

FOT. GRĘBOCICE

GRĘBOCICE

Marianna Bujak ma 93 lata

Władze gminy uhonorowały jubilatkę - Mariannę Bujak, która skończyła właśnie 93 lata. „Proszę przyjąć najserdeczniejsze życzenia zdrowia, pogody ducha i wszelkiej pomyślności" - napisał wójt Roman Jabłoński (na zdjęciu z prawej, obok jubilatki. „Niech kolejne dni upływają w atmosferze szacunku, wdzięczności i serdeczności, a wszystkie piękne wspomnienia pozostają źródłem dumy i wzruszeń" - dodał.

eprasa.pl 2b902aabc5

AUTOREKLAMA

strefa BIZNESU.pl

Know-how w dobrym biznesie

strefabiznesu.pl

REKLAMA 0011588238

OGŁOSZENIE

Wójt Gminy Grębocice

informuje

o zamieszczeniu w Biuletynie Informacji Publicznej Urzędu Gminy Grębocice oraz na stronie internetowej:

www.grebocice.com.pl

wykazu nieruchomości:

- Zarządzenie nr 183.2026 z dnia 25.09.2026 r., przeznaczonej do użyczenia w trybie bezprzetargowym.

REKLAMA 0011589671

OGŁOSZENIE O PRZETARGU

Zgodnie z Zarządzeniem nr 134.2026 z dnia 8 lipca 2026 r. w sprawie ogłoszenia wykazu nieruchomości przeznaczonych do zbycia w trybie przetargu ustnego nieograniczonego oraz Rozporządzenia RM z dnia 14 września 2004 r. w sprawie sposobu i trybu przeprowadzania przetargów oraz rokowań na zbycie nieruchomości (Dz. U. z 2021 poz. 2213)

Wójt Gminy Grębocice

ogłasza I przetarg ustny nieograniczony

na sprzedaż lokalu mieszkalnego nr 7 w budynku Czerńczyce nr 14A:

Położenie nieruchomości	Nr działki	Pow. [ha]	Przeznaczenie nieruchomości w miejscowym planie i sposób jej zagospodarowania	Cena wywoławcza [zł]	Wadium [zł]
Czerńczyce nr 14A/7 obręb Czerńczyce	Udział 41/1000 do działki 14/19	0,4765 (B) Lokal mieszkalny o pow. 28,50 m², piwnica 2,50 m², pomieszczenie w budynku gospodarczym 16,50 m²	**zabudowa mieszkaniowa wielorodzinna z usługami, zagospodarowana jako mieszkaniowa lokal zlokalizowany na II piętrze składający się z 1 pokoju, kuchni, łazienki i przedpokoju wraz z przynależną piwnicą i pomieszczeniem w budynku gospodarczym**	**111 000,00** *(sto jedenaście tysięcy)*	**11 100,00**

Termin i miejsce przetargu

Przetarg odbędzie się w siedzibie Urzędu Gminy w Grębocicach - sala narad pok. nr 14 - **w dniu 4 listopada 2026 r. o godzinie 10.00.**

Wadium

Wadium w pieniądzu należy wpłacić na konto Urzędu Gminy Grębocice nr konta **22 8669 0001 2017 0170 0002 0106** w nieprzekraczalnym terminie **do dnia 30 października 2026 r.**, w tytule podać: **„wadium Czerńczyce 14A/7"**. Za datę wniesienia wadium uważa się datę wpływu środków pieniężnych na rachunek bankowy Urzędu Gminy Grębocice.

Szczegółowe informacje udzielane są w Urzędzie Gminy Grębocice pok. nr 6, tel. 76 83 25 308. Pełna treść ogłoszenia dostępna jest na stronie internetowej www.grebocice.com.pl oraz w BIP-ie, a także na tablicy ogłoszeń Urzędu Gminy i tablicach sołeckich w miejscowości Bucze oraz Czerńczyce.

Koniec usuwania azbestu: 12 obiektów

FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Z kolejnych obiektów w gminie Głogów zniknął azbest

Sandra Stempniewska
Głogów

Za wykonane uznano zadanie „Usuwanie wyrobów zawierających azbest z terenu Gminy Głogów". Koszt przekroczył 40 tys. zł.

Jak podano, gmina uzyskała dofinansowanie w wysokości stu procent kosztów kwalifikowanych. Środki na realizację pochodziły z Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej we Wrocławiu oraz Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Warszawie. Prace wykonano w okresie od czerwca do września. W tym czasie wyroby zawierające azbest usunięto z 12 obiektów zlokalizowanych na terenie Gminy Głogów.

Zakres przedsięwzięcia obejmował właściwe zabezpieczenie i zapakowanie materiałów zawierających azbest, a następnie ich załadunek i transport. Odpady przekazano do unieszkodliwienia w miejscu do tego przeznaczonym. Wykonawcą zadania była firma ŁGW Rembud Agnieszka Dziąg z Łodzi.

Gmina podkreśla, że usuwanie azbestu ma duże znaczenie dla ochrony zdrowia mieszkańców i środowiska. Tego typu działania umożliwiają stopniowe eliminowanie wyrobów azbestowych z terenu gminy oraz ich bezpieczne zagospodarowanie.

Już pół tysiąca nowych drzew. Teraz setkę ufundował KGHM

RED
Grębocice

Wójt gminy Grębocice zaprasza w sobotę na wielkie sadzenie drzew w Obiszowie.

FOT. GRĘBOCICE

Warto przyjść ze szpadlem i wiaderkiem do podlewania drzewek. Wodę oraz sadzonki zapewnia organizator

Sto nowych drzew i wyjątkowe pięćsetne drzewo na polanie, nagrody dla uczestników i wspólny grill. Już 3 października o godz. 10 gmina zapraszamy mieszkańców na kolejną edycję corocznej akcji „Sadzimy wspólnie drzewa" na terenie rekreacyjno-sportowym w Obiszowie.

Każdy uczestnik będzie mógł własnoręcznie posadzić swoje drzewko i oznaczyć je swoim imieniem i nazwiskiem. Dzięki temu efekty wspólnej pracy pozostaną z nami na długie lata, a rosnące drzewa będą wyjątkową pamiątką dla całych rodzin.

W tym roku przygotowaliśmy również dodatkową niespodziankę – wśród uczestników akcji zostanie rozlosowanych 5 nagród. Po zakończeniu sadzenia przewidziano wspólny grill.

eprasa.pl 2b902aabc5

Skąd pomysł na głogowską dwudziestozłotówkę?

RED
Głogów

W cyklu „Historia Głogowa” Dariusz Andrzej Czaja pisze o wprowadzonej przez NBP kolekcjonerskiej dwudziestozłotówce.

FOT. ARCHIWUM DARIUSZ CZAJA

Głogowska dwudziestozłotówka z obu stron

W połowie października 2024 r. Narodowy Bank Polski wprowadził do obiegu srebrną monetę o nominale 20 zł z serii: „Polskie Termopile – Głogów”. Na rewersie numizmatu przedstawiono oblężenie Głogowa w 1109 r. Na pierwszym planie widoczny jest średniowieczny łucznik, stojący na wałach obronnych grodu, w tle – wieża oblężnicza. Na awersie wszystkich monet z serii „Polskie Termopile” widnieje ten sam wizerunek: Atena, bogini sprawiedliwej wojny i mądrości. Projektantem rewersu jest Kajetan Karkuciński, natomiast projektantką awersu jest Urszula Walerzak.

Warto krótko przypomnieć kampanię z 1109 r. Na Polskę wyruszyło feudalne rycerstwo z państw niemieckich: Saksonii, Bawarii, Frankonii, Lotaryngii a także Czech. Łącznie około 10 tysięcy rycerzy. Na ich czele stanął król Henryk V, który działania zbrojne poprzedził listem do Bolesława Krzywoustego, żądając połowy Polski dla brata księcia polskiego, Zbigniewa, oraz rocznej opłaty 300 grzywien trybutu lub tylu wojów na każde zawołanie Henryka. Po odrzuceniu warunków przez Bolesława, w sierpniu Niemcy przekroczyli granicę piastowskiego państwa. Oblężenie Głogowa trwało około 3 tygodni i zakończyło się klęską wojsk najeźdźczych.

Po sukcesie związanym ze staraniami w Poczcie Polskiej o znaczek pocztowy dla Głogowa, który wszedł do obiegu w 25 września 2020 r., podjąłem starania o wybicie oficjalnej monety poświęconej naszemu miastu. Efektem kilkuletnich starań dotyczących oficjalnego numizmatu, była decyzja NBP o wprowadzeniu do obiegu srebrnej „dwudziestozłotówki”, związanej z historią Głogowa. Monetę wykonano ze srebra o próbie Ag 925. Ma średnicę 38,61 milimetra i masę 28,28 grama. Jej nakład wynosi do 10 000 sztuk. W ramach serii kolekcjonerskiej „Polskie Termopile” zainaugurowanej w 2017 roku; po Hodowie (1694), Węgrowie (1863), Zadworzu (1920), Dytiatynie (1920), Wiźnie (1939) oraz Warszawie (1939); głogowski numizmat jest siódmym z kolei i cieszy się do dziś sporym zainteresowaniem.

Policja: powiedz „stop” i nie daj się nabrać

RED
Głogów

Komenda Powiatowa Policji w Głogowie przypomina mieszkańcom o zagrożeniu ze strony oszustów.

FOT. ARCHIWUM PP

Przestępcy wciąż udoskonalają swoje metody. Potrafią również tworzyć fałszywe strony internetowe i aplikacje

Policjant nigdy nie zadzwoni z informacją o prowadzonej akcji. Policja nigdy nie poprosi Cię o przekazanie komuś pieniędzy, przelaniu ich na konto lub pozostawienie w jakimś miejscu - podkreśla mł. asp. Pamela Żołnowska, Zastępca Oficera Prasowego Komendanta Powiatowego Policji w Głogowie.

Dodaje, że oszuści działają sprytnie ciągle ulepszając i modyfikując metody swojego działania. Wykorzystują naiwność, niewiedzę i dobre intencje. Są przekonujący, doskonale obierają sobie cel. Działają bez skrupułów, najczęściej ich ofiarami padają osoby starsze.

Zaznacza, że takie metody jak oszustwo na pracownika banku, policjanta, wnuczka to tylko jedne z nielicznych prób wyłudzenia pieniędzy. Oszuści potrafią kamuflować się w najróżniejszy sposób, podając za pracownika banku, policjanta, członka rodziny przy tym opowiadając o zdarzeniach, które mają na celu wywołać u rozmówcy emocje, pod wpływem których rozmówca traci czujność i działa pochopnie. W ten sposób wyłudzają oszczędności.

Ważne, by zorientować się wśród rodziny, dzwoniąc i informując o otrzymaniu niepokojącej wieści dotyczącej osoby najbliżej. Nie działajmy pod presją, gdy usłyszymy o wypadku lub jakiejś innej niebezpiecznej sytuacji.

Pamiętajmy, że przestępcy znakomicie potrafią podrabiać strony internetowe i aplikacje. Wszystko łudząco przypomina te oryginalne. Jednak nim wykonamy jakikolwiek krok, upewnijmy się, czy faktycznie doszło do potencjalnego zagrożenia.

Jeśli w rodzinie są starsze osoby mieszkające samotnie, należy stale im przypominać, że mogą paść ofiarą perfidnego oszustwa.

REKLAMA 0011459123

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

REKLAMA 0011590443

INFORMACJA

BURMISTRZ MIASTA I GMINY CHOCIANÓW
informuje,

o zamieszczeniu na tablicy ogłoszeń oraz w Biuletynie Informacji Publicznej http://chocianow.bip.pbox.pl

informacji o WYKAZACH: nieruchomości gruntowych niezabudowanych przeznaczonych do sprzedaży w drodze przetargu, nieruchomości gruntowej przeznaczonej do oddania w użyczenie.

REKLAMA 0011589450

Głogów, dnia 24 września 2026 r.

OBWIESZCZENIE STAROSTY GŁOGOWSKIEGO

Stosownie do art. 11d ust. 5 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o *szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych* (tekst jednolity: Dz. U. z 2024 r. poz. 311) oraz w zw. z art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. *Kodeks postępowania administracyjnego* (tekst jednolity: Dz. U. z 2025 r. poz. 1691)

zawiadamia się o wszczętym postępowaniu administracyjnym

na wniosek z dnia 7 września 2026 r. złożony przez Pana Dariusza Ancygier, działającego w imieniu właściwego zarządcy drogi, tj. **Wójta Gminy Jerzmanowa** z siedzibą przy ul. Lipowej 4, 67-222 Jerzmanowa, na podstawie pełnomocnictwa z dnia 23 kwietnia 2025 r.

w sprawie wydania decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej pn.: ***„Budowa dróg gminnych w zakresie budowy jezdni, poboczy, zjazdów zwykłych, dojść do posesji wraz z budową sieci kanalizacji deszczowej, linią kablową oświetlenia ulicznego nn 0,4 kV oraz rozbiórką i budową sieci elektroenergetycznej nn w m. Modła” w ramach zadania inwestycyjnego pn: „Budowa ul. Jesiennej w miejscowości Modła wraz z odcinkami dróg przyległych”***,

działki nr ewid. **81**, **62/1** (62), **56**, **123/3** (123/2), **473/1** (473), **51/1** (51), **50/4** (50/1), **48, 47/1, 131/1** (131), **45/5** (45/4), **137/1** (137), **134/1** (134), **135/10** (135/2), **135/11** (135/2), **42/1** (42), **44/4** (44/1), **81, 56, 48, 47/1** – obręb 0005 Kurowice-Modła, jednostka ewid. 020303_2 Gmina Jerzmanowa.

Wyjaśnia się, że w odniesieniu do nieruchomości, które podlegają podziałowi – w nawiasie podano numer działki przed podziałem, wytłuszczone zostały numery działek po podziale.

Zgodnie z art. 49 ustawy – *Kodeks postępowania administracyjnego* niniejsze zawiadomienie uważa się za dokonane po upływie czternastu dni od dnia publicznego ogłoszenia.

W związku z powyższym informuję, iż z aktami sprawy można się zapoznać oraz złożyć ewentualne uwagi i wnioski w przedmiotowej sprawie w Wydziale Administracji Budowlanej Starostwa Powiatowego w Głogowie, przy ul. gen. Władysława Sikorskiego 21, pokój nr 20, w godzinach 7.30-15.30.

Zgodnie z art. 11d ust. 9 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o *szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych*: „z dniem zawiadomienia, o którym mowa w ust. 5, nieruchomości stanowiące własność Skarbu Państwa bądź jednostek samorządu terytorialnego, objęte wnioskiem o wydanie decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej, nie mogą być przedmiotem obrotu w rozumieniu przepisów o gospodarce nieruchomościami”.

eprasa.pl 2b902aabc5

Rykowisko nad Stawami Milickimi trwa cały wrzesień. Największą aktywność jeleni można obserwować od wieczora do świtu. To właśnie wtedy samce, potężne byki, rywalizują o łanie

Rykowisko jeleni szlachetnych. Niezwykły spektakl przyrody na Dolnym Śląsku

Dla fotografów przyrody to jeden z najbardziej wyczekiwanych momentów w roku

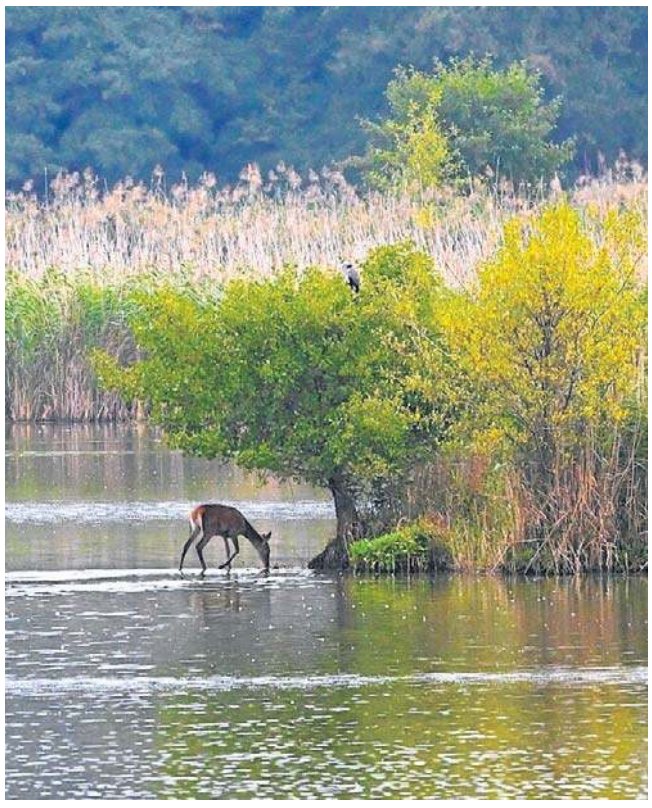

FOT. URSZULA I PAWEŁ STYCZYŃSCY

Nad Stawy Milickie przyjeżdżają fotografowie z Polski i Europy. Prezentujemy kilka z ich fotografii

eprasa.pl 2b902aabc5

Leśnica: Jarmark Jadwiżański

Tegoroczna edycja Jarmarku Jadwiżańskiego we wrocławskiej Leśnicy odbędzie się 3 i 4 października

Na sobotę zapowiedziano m.in. turniej szermierki historycznej, na niedzielę - taniec z pochodniami

FOT. ORGANIZATOR

Szczegóły dotyczące imprezy znajdziecie na: gazetawroclawska.pl

AUTOPROMOCJA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie przez
Internetowe Biuro Ogłoszeń.
Bez wychodzenia z domu.

ibo.polskapress.pl

PLOTKI

Filip Chajzer

Uratował własny ślub

Celebryta wziął ślub ze swą ukochaną Bianką w kościele Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w Krakowie. Zygmunt i Dorota Chajzerowie stawili się na uroczystości, podobnie jak ojciec panny młodej. Zabrakło natomiast jej matki, która od początku nie akceptuje związku córki. Kilka dni po uroczystości Filip i Bianka zdradzili w swym autorskim podcaście, że ślub o mały włos nie doszedł do skutku ze względu na zamieszanie z dokumentami w Urzędzie Stanu Cywilnego. Znajomości pana młodego uratowały jednak sytuację.

Maciej Stuhr

Nie udaje twardziela

Popularny aktor był ostatnio gościem RFM FM. Aktor czytał nieraz przykre rzeczy na swój temat w internecie, ale z czasem uodpornił się na to. – Oczywiście jestem też kruchym człowiekiem. Nie będę zgrywał jakiegoś twardziela, bo czasem proste rzeczy mnie wytrącają z jakiegoś dobrostanu, jest mi czasami w życiu po prostu smutno i źle, jak każdemu człowiekowi. No, ale myślę, że jestem takim dowodem na to, że hejt można przetrwać i można go mieć w sobie głęboko w d***e – podsumował.

Maffashion

Udawała pannę młodą

Celebrytka zorganizowała spektakularną imprezę z okazji swoich 39. urodzin. Ponieważ urodziła się w ostatni dzień kalendarzowej Panny, na ten wyjątkowy wieczór włożyła białą suknię ślubną z głębokim dekoltem i bogato zdobionym gorsetem. Dopełnieniem tej stylizacji był okazały bukiet kwiatów, który w pewnym momencie rzuciła w stronę zgromadzonych gości, niczym prawdziwa panna młoda na oczepinach. Kulminacyjnym punktem wieczoru był występ striptizera, który wkroczył na parkiet, by wykonać prywatny taniec dla Maffashion. Na nagraniach widać, jak rozbawiona celebrytka siedzi na krześle na środku sali, podczas gdy zaproszony tancerz rozgrzewa atmosferę do czerwoności.

FOT. ŻUKOWICE

Narodowe Czytanie w gminie Żukowice

W tym roku uczestnicy sięgnęli po „Dziady" Adama Mickiewicza, jedno z najważniejszych dzieł polskiej literatury. W wydarzeniu wzięli udział mieszkańcy, przedstawiciele samorządu, pracownicy biblioteki, nauczyciele oraz uczniowie szkół z terenu Gminy Żukowice. RED

INFORMATOR: TELEFONY, MAILE

KOMENDA POWIATOWA POLICJI - OFICER DYŻURNY
tel. 47 8742200
lub 47 8742201

KOMENDA POWIATOWA STRAŻY POŻARNEJ
tel. (76) 8357714, email kpglogow@kwpsp.wroc.pl

GŁOGOWSKI SZPITAL POWIATOWY
tel. (76) 8373211, email sekretariat@szpital.glogow.pl

POWIATOWA STACJA SANITARNO-EPIDEMIOLOGICZNA
tel. (76) 7272594, email psse.glogow@pis.gov.pl

POWIATOWY LEKARZ WETERYNARII
tel. (76) 7276590, email glogow@wroc.wiw.gov.pl

URZĄD MIEJSKI W GŁOGOWIE
tel. (76) 7265400, email sekretariat@glogow.um.gov.pl

STAROSTWO POWIATOWE W GŁOGOWIE
tel. (76) 7282800, email starostwo@powiat.glogow.pl

URZĄD GMINY KOTLA
tel. (76) 8318361, email gmina@kotla.pl

URZĄD GMINY GŁOGÓW
tel. (76) 8365555, email gmina@gminaglogow.pl

URZĄD GMINY GRĘBOCICE
tel. (76) 8325300, email sekretariat@grebocice.com.pl

URZĄD GMINY PĘCŁAW
tel. (76) 8317126, email gmina@peclaw.eu

URZĄD GMINY GAWORZYCE
tel. (76) 8316285, email ug@gaworzyce.com.pl

URZĄD GMINY ŻUKOWICE
tel. (76) 8314241 , email gmina@zukowice.pl

URZĄD GMINY RADWANICE
tel. (76) 8311478 , email sekretariat@radwanice.pl

URZĄD GMINY JERZMANOWA
tel. (76) 8312121, email sekreteriat@jerzmanowa.com.pl

POGOTOWIE GAZOWE
tel. 992

POGOTOWIE CIEPŁOWNICZE
tel. 993, (76) 8568200

POGOTOWIE WODOCIĄGOWE
tel. (76) 8342131

POGOTOWIE AWARYJNE
tel. 994

URZĄD SKARBOWY
tel. (76) 7272400

SPÓŁDZIELNIA MIESZKANIOWA „NADODRZE"
tel. (76) 8520700, email sekretariat@smnadodrze.pl

ZAKŁAD GOSPODARKI MIESZKANIOWEJ
tel. (76) 8531102, email sekretariat@zgm.glogow.pl

HUMOR

- Lecę do Londynu. Chciałbym, żeby ta walizka poleciała do Paryża, ta do Moskwy, a ta najlepiej do Pekinu.
- Ale proszę pana. My nie robimy takich rzeczy!
- Jak to nie? W zeszłym miesiącu tak zrobiliście.

●

Dostałem wiadomość od żony: „Czas zakończyć ten związek, to nie ma przyszłości. Zrywam z tobą". Nawet mi ulżyło. Po chwili przyszła wiadomość: „Przepraszam, zły numer".

●

- W mojej pracy nie ma miejsca na strach! Raz się przestraszysz - koniec, jesteś martwy!
- A czym się pani zajmuje?
- Jestem przedszkolanką.

●

Wezwał mnie kierownik:
- Gdzie ty się szlajasz?! Już południe!!! Od rana cię szukam!
- Dobrego pracownika teraz trudno znaleźć szefie...

eprasa.pl 2b902aabc5

SPOŁECZEŃSTWO

Pokolenie Alfa. Samotne „dzieci ekranów i AI”?

Pokolenie Alfa, czyli 13-16-latki, kolejny tydzień są na ustach wszystkich. To za sprawą dość przygnębiającego raportu Fundacji Półtorej Minuty. Czy faktycznie to samotne, rozmawiające z chatbotami „dzieci smartfonów” i sztucznej inteligencji? Chyba nie jest tak źle

Małgorzata Oberlan

Raport „Alpha Insights” to owoc pierwszego polskiego badania poświęconego najmłodszemu pokoleniu nastolatków. Chodzi o osoby urodzone po 2010 roku, czyli obecne młodsze nastolatki (13-16 lat).

Autorzy – Fundacja Półtorej Minuty, zajmująca się specjalnie tym pokoleniem właśnie – połączyli pogłębione badanie jakościowe z analizą blisko 70 krajowych i zagranicznych badań. Jak sami podkreślają, ich część jakościowa (wywiady z nastolatkami) nie jest badaniem reprezentatywnym, ale pozwala usłyszeć głos młodych.

– Jak przy każdym takim raporcie, byłabym ostrożna przy jego interpretacji. Bezsprzecznie jednak „Alpha Insights” ma sporo trafnych tropów. Alfy to nastolatki, które patrzącym z boku dorosłym wydają się samotne i zanurzone tylko w smartfonach. Tymczasem one same uważają, że mają „mnóstwo znajomych”. Tyle że komunikują się z nimi, korzystając z wszelkich możliwych „protez”, a rzadziej w realu. Mogą wcale nie wychodzić z domu – mówi Monika Kaźmierczak, doświadczona psycholożka z Torunia, twórczyni Centrum Rozwoju i Terapii, a prywatnie – mama trzynastoletniej Alfy.

FOT. PEXELS

FOT. CENTRUM ROZWOJU I TERAPII

Monika Kaźmierczak, psycholożka (na zdjęciu z prawej): – Alfy to nastolatki, które patrzącym z boku dorosłym wydają się samotne i zanurzone tylko w smartfonach. Tymczasem one same uważają, że mają „mnóstwo znajomych”. Tyle że komunikują się z nimi, korzystając z wszelkich możliwych „protez”, a rzadziej w realu. Mogą wcale nie wychodzić z domu

Alfy tłumaczą dorosłym: nie róbcie diabła z ekranu i internetu

Raport sporo miejsca poświęca temu, co dorosłych tak niepokoi, intryguje. „Pokolenie ekranów” i „iPad kids” – tak nie tylko w Polsce, ale i Europie mówi się o tym pokoleniu. Często nie tylko z troską, ale i przerażeniem. Widok dzieciaków zanurzonych w telefonach albo samotnie wysiadujących godzinami przed innym ekranem to dla wielu dorosłych symbol pokolenia Alfa.

Tymczasem z raportu wynika, że całkowicie naturalne dla 13-16-latków narzędzia i środowisko cyfrowe to żaden problem. Po prostu to świat, w którym się rodzą i dorastają (sami sobie go nie zafundowali). Identycznie jak komunikatory, którymi się posługują. Dorosłym znacznie trudniej dostrzec presję, którą nastolatek nosi ze sobą przez cały dzień. Autorzy raportu wskazują, że problemy Alf nie sprowadzają się do technologii. Zresztą dane przywołane przez nich podważają kilka popularnych stereotypów. Reprezentatywne polskie badanie EU Kids Online 2026 wykazało, że 92,8 proc. uczniów w wieku 10-16 lat nie zgłasza ani jednego nasilonego objawu problematycznego korzystania z internetu!

To co jest ich problemem? „To pokolenie cudzych oczekiwań” – piszą autorzy raportu. Cytują też Alfy, z którymi rozmawiali. Dzieci frustrują oczekiwania rodziców i szkoły, dotyczące ocen. Cierpią z powodu zaburzonych relacji w rodzinie. Boją się podejmowania decyzji i narzekają, że o swojej przyszłości (co robić dalej, gdzie się uczyć i potem pracować) muszą decydować, zanim odkryją, kim są i czego chcą naprawdę.

Telefon? Internet? Nastolatkowie proszą dorosłych właśnie o to, by nie sprowadzać wszystkiego do „tych strasznych ekranów”. Ich codzienność to także ogromna presja edukacyjna czy problemy z relacjami.

Psycholog z Torunia: „Boją się, że AI zabierze im pracę i posady”

„Dzieci sztucznej inteligencji” – to kolejne określenie na Alfy, powtarzane w Polsce i na świecie. Już choćby z badań przeprowadzonych w Wielkiej Brytanii wynika, że co ósmy młodszy nastolatek deklarował, że rozmawia z AI, bo nie ma z kim pogadać. Z polskich badań zaś wynika, że dzieci 9-14 lat, kierujące pytania do AI, dotyczące potrzeb psychicznych, mają niższy dobrostan niż te, które są w domu pytane o codzienne sprawy.

Co ważne, młodzi uczestniczący bezpośrednio w „Alpha Insights” byli wobec powierzania AI emocji raczej sceptyczni. Część dobrze rozumie, że za chatbotem nie stoi prawdziwa relacja z drugim człowiekiem.

– Mimo wszystko wielu z nich rozwiązania problemów emocjonalnych oczekuje od AI właśnie. Tak wynika też z naszych doświadczeń – mówi Monika Kaźmierczak, doświadczona psycholożka z Torunia, twórczyni Centrum Rozwoju i Terapii w tym mieście, które trzeci rok bezpłatnie służy wsparciem nastolatkom właśnie (13-18 lat), ich rodzicom i nauczycielom. Bezpłatnie, profesjonalnie i nie tylko w Toruniu, ale też w Kujawsko-Pomorskiem.

Sztuczna inteligencja zaprząta głowy Alf z różnych powodów. – Przekonujemy się o tym na wiele sposobów. Ostatnio choćby podczas Toruńskich Dni Dialogu, na których AI stała się głównym tematem dyskusji podczas spotkania z nastolatkami. Wybrzmiał z ich głosów strach przed tym, że AI zabierze im w przyszłości pracę i posadę – relacjonuje Monika Kaźmierczak.

Jak Alfy mają sobie z tą AI radzić? Centrum Rozwoju i Terapii w Toruniu także w tym obszarze służy pomocą. Prowadzi nie tylko porady psychologiczne i terapeutyczne dla nastolatków, ale też dla ich rodziców, oraz warsztaty i szkolenia dla nauczycieli nastolatków. Zaprasza regularnie na spotkania ze specami od AI, środowiska cyfrowego, relacji i emocji.

– Zapotrzebowanie na takie fachowe, ale bezpłatne wsparcie jest ogromne. Krócej na spotkania czekają uczestnicy naszego programu „DobreStany”, dedykowanego uczniom szkół podstawowych (klasy 6-8) i ponadpodstawowych oraz ich nauczycielom i rodzicom z Torunia, bo 2-3 tygodnie. Listy oczekujących z całego regionu natomiast, uczestniczących w naszym drugim programie („Rodzina w Centrum”), liczą sobie setki nazwisk – mówi Monika Kaźmierczak.

Nie buntują się, bo są przygnębieni. Zła ocena psuje im cały dzień

Wracając do samego pokolenia Alfa i raportu, trzeba zaznaczyć, że jego przygnębiający wydźwięk to zasługa konstatacji, że „Alfy nie myślą o buncie”. Z cytowanych badań wynika, że to pokolenie bardziej żyje pod presją, w rozmaitych obawach i przygnębieniu, niż w naturalnej dla młodych potrzebie rewolucjonizowania świata.

Gdy badacze pytali nastolatków o samopoczucie, dwa źródła napięcia pojawiały się szczególnie często: relacje z najbliższymi oraz szkoła. Prawie połowa uczestników wskazywała, że to konflikty z bliskimi są dla nich silnym źródłem napięcia i mogą wpływać na samopoczucie przez cały dzień. Podobna część mówiła o frustracji spowodowanej złymi ocenami. Szczególnie gdy nie odpowiadały one wysiłkowi włożonemu w naukę.

– I to w moim odczuciu są kolejne wątki ponadczasowe, uniwersalne dla każdego chyba pokolenia dorastających nastolatków. Podobnie jak pytania o to, czy sobie poradzę jako dorosły w tym świecie, czy sprostam oczekiwaniom etc. Oczywiście, pokolenie Alfa dorasta w innym otoczeniu (choćby technologicznym) niż jego poprzednicy, ale wbrew pozorom pewne sprawy pozostają niezmienne – podkreśla psycholożka.

Co mówią młodzi?

Wielu czytelników raportu „Alpha Insight” najbardziej zainteresowały nie tyle analizy badań już przeprowadzonych w Polsce i na świecie, co głos polskich Alf. Ten, który jest efektem badań jakościowych Fundacji Półtorej Minuty. Jakie najważniejsze wnioski z nich wynikają?

Nie chcą być sprowadzani do telefonu. Poza światem cyfrowym mają przyjaźnie, zainteresowania, plany i własny sposób patrzenia na rzeczywistość. Chcą, aby dorośli próbowali zrozumieć warunki, w których dziś dorastają, zamiast oceniać ich wyłącznie przez doświadczenia poprzednich pokoleń.

Szkoła zajmuje ogromną część ich życia. Nauka i obowiązki szkolne pochłaniają czas i energię, których później brakuje na hobby, sport czy spotkania z bliskimi.

Źródłem napięcia nie jest wyłącznie internet. Nastolatki wskazują przede wszystkim konflikty z bliskimi, oceny, presję szkolną i obawy związane z przyszłością. Z trudnymi emocjami częściej radzą sobie przez sport, hobby, film czy odwracanie uwagi niż przez rozmowę o tym, co czują.

Przyszłość oznacza dla nich niepewność. Za szczególnie ważne kompetencje uznają elastyczność, krytyczne myślenie i komunikację.

Absolutnie najcenniejszy wniosek z raportu może być bardzo prosty: zanim dorośli zaczną diagnozować pokolenie Alfa, warto je pytać i wysłuchać. Smartfon jest częścią ich świata, ale nie wyjaśnia wszystkiego. Poza szklanym ekranem są relacje, szkoła, presja, marzenia i pytanie o przyszłość.

©℗

eprasa.pl 2b902aabc5

ŻYWNOŚĆ

Prezes Fundacji Pro-Test: Chciałbym, żeby polska żywność była najlepsza. Ale milczeć nie mogę!

Piotr Koluch: Wyleczyłem się z bazarów, przestałem tam robić zakupy. (...) Zbadaliśmy czereśnie (z Hiszpanii i Grecji) z dużych sklepów i te z bazaru – polskie. Najwięcej pestycydów było w tych krajowych! Aż siedem rodzajów

Lucyna Talaśka-Klich

Idzie pan na zakupy, po żywność. Czy wiedza o wynikach testów, przeprowadzonych przez Fundację Pro-Test, pomaga panu w wyborze produktów, czy przeszkadza?

Mam bardzo duży problem, bo dużo wiem. Poza tym kupowanie żywności w Polsce to jest taka rosyjska ruletka, nigdy nie wiesz, na co trafisz. Błądzę po omacku.

Sądzi pan, że z polską żywnością jest aż tak źle? Mnie takie informacje bolą, bo jestem przekonana, że jest ona w większości dobra, a nawet bardzo dobra. To jak jest?

To pytanie filozoficzne. Jeżeli w dobrym produkcie jest coś złego, to ten produkt jest dobry czy zły? Na przykład jabłko – bardzo dobry produkt, który zawiera dużo pestycydów. To jaki on jest? Czy podałaby go pani dziecku, wiedząc o tym?

Przecież są normy określające dopuszczalne ilości pestycydów w owocach albo w warzywach.

Zacznijmy od tego, że nie ma zdrowych pestycydów. Nawet jeżeli normy są spełnione dla danego pestycydu, ale załóżmy, że jest ich 27 albo nawet 100, to to jest dobrze czy źle? Do tej pory nauka nie wie do końca, jak na nasze zdrowie wpływa mieszanka pestycydów. A przecież często mamy do czynienia z takim koktajlem tych środków! Jabłko, nasz symbol narodowy, to , moim zdaniem, jakaś pomyłka. Aronia powinna nim być, bo to jest najzdrowszy owoc, jaki posiadamy. Jest niemalże wolna od środków ochrony roślin.

No to podpadł pan polskim sadownikom!

Ostatnim testem musów owocowych też im podpadłem. A wynik był przerażający – 4, 6, a nawet 7 różnych pozostałości pestycydów w jednym musie owocowym! Te musy najczęściej jedzą dzieci, które jak gąbka chłoną pestycydy.

Z każdym testem narażacie się producentom. Tym bardziej że nie ukrywacie, o jaki produkt chodzi. Jak reagują ci, których napiętnowaliście?

FOT. Z ARCHIWUM PIOTRA KOLUCHA

Piotr Koluch: – Jabłko, które jest naszym symbolem narodowym, to, moim zdaniem, jakaś pomyłka

My nikogo nie piętnujemy. Po prostu przedstawiamy fakty, czyli wyniki badań laboratoryjnych. Na początku, gdy zaczęliśmy tak ostro testować żywność, to wszyscy byli zbulwersowani. Dziś producenci, których towary źle wypadły, odzywają się do nas po testach. Niektórzy straszą sądem, inni przepraszają. A tak na marginesie, to nie boimy się spraw sądowych. Zwykle zadaję im pytania, jak kontrolują żywność w procesie produkcji. No i okazuje się, że dotąd było z tym kiepsko. Bardzo mało produktów oddawali do laboratorium, ponieważ bazowali na badaniach firm, które do nich dostarczają półprodukty. Po naszych testach wprowadzają zmiany, częściej sami kontrolują, generalnie poprawiają jakość.

A może to jest trochę mydlenie oczu? Rozmawiałam z każdą z tych stron i np. rolnicy są oburzeni wynikami waszych testów. Nie podważają ich, ale są przekonani, że do nieprawidłowości doszło po stronie przetwórców, którzy chcą wyprodukować jak najtaniej.

Mamy rozdrobnione rolnictwo. Gospodarze, którzy mają duże areały, mogą badać surowiec, ale ci mali rzadziej. Wyleczyłem się z bazarów, przestałem tam robić zakupy. Wcześniej sądziłem, że tam sprzedawana jest wyłącznie zdrowa żywność, wprost od rolników, że jest lepsza niż ta z hipermarketów albo innych dużych sklepów. No i okazało się, że na bazary trafiają przypadkowe produkty. Na przykład zbadaliśmy czereśnie (z Hiszpanii i Grecji) z dużych sklepów i te z bazaru – polskie. Najwięcej pestycydów było w tych krajowych! Aż siedem rodzajów, w tym te już dawno niedozwolone w Unii Europejskiej! A sprzedawczyni, której powiedziałem, że kupuję owoce dla dziecka, zapewniała mnie, że „są czyste, z własnych upraw".

To sprawa sumienia każdego sprzedającego. Jednak jeśli np. do przebadanych warzyw lub owoców, z certyfikatem, dosypie się byle jakiego, tańszego towaru, np. z importu, to jakość całości może być kiepska. Prawda?

Może tak być, ale nie musi. Konsument płacąc za towar ma nadzieję, że dostanie produkt dobrej jakości. Dajemy producentom zarabiać. Dzięki nam, konsumentom, oni rosną w siłę, bogacą się. Jeżeli są wobec nas nieuczciwi, to trzeba zrobić z tym porządek. Nasza fundacja, jak i inne organizacje konsumenckie testujące produkty na całym świecie, pełnią rolę strażniczą.

Od tego są różne inspekcje. Kilka osób z długoletnim stażem w tych inspekcjach popytałam o opinie na temat waszych testów. Wszyscy mówili, że w Polsce wykonuje się za mało badań żywności (na różnych etapach), inspektorów jest za mało, są oni przeciążeni papierologią, poza tym inspekcje nie informują się wzajemnie o swoich kontrolach, niektóre się nakładają.

Dokładnie tak jest. Przede wszystkim kontroli jest za mało. Próbowaliśmy z inspekcjami nawiązać współpracę, tak jak to działa w innych krajach. Kierowaliśmy do nich pisma, ale bez odpowiedzi. Wysyłamy im wyniki naszych testów. Wiemy, że je przeglądają, sprawdzają i w razie potrzeby przeprowadzają kontrolę u producenta, ale takiej ścisłej współpracy między nami nie ma. Takie szklane niebo – widzisz, a dotknąć nie możesz.

Moi rozmówcy zwracali też uwagę, że liczba testowanych przez was produktów jest niewielka, więc nie można w ten sposób oceniać polskiej żywności.

My przeprowadzamy testy konsumenckie, od kontroli są inspekcje. Testy wykonujemy z pieniędzy fundacji, nie otrzymujemy rządowych dotacji na testy żywności, a badania są bardzo kosztowne. Idziemy do sklepu i kupujemy produkt do testu w ten sam sposób, w jaki kupuje go konsument. I oczekujemy tego samego, co konsument – że niezależnie od tego, którą partię towaru wybierze, będzie ona trzymała jakość.

Z kolei przetwórcy sugerowali, że jesteście „narzędziem w rękach niezdrowej konkurencji". W jaki sposób wybieracie produkty do testowania?

Najpierw w fundacji ustalamy, co będziemy testować. Niekiedy także nasi czytelnicy podsuwają nam tematy do testów, które czasami uwzględniamy po analizie. Potem idziemy do sklepu i kupujemy ileś tam produktów (na wszystko mamy faktury) i zawozimy je do laboratorium. Gdy w naszym teście źle wypadła jedna z firm produkujących przyprawy, rozpętała się burza, że chcemy wykosić świetną polską firmę, zrobić jej krzywdę. Na Boga, toż to bzdura! Lepiej ukryć wyniki testu? Ciszej nad tą trumną? Przed laty afera z solą wypadową – gdy podaliśmy, które firmy wykorzystały ją do produkcji żywności – pokazała że nawet „hacapy" się nie sprawdziły.

Znam porządnego przedsiębiorcę, który ucierpiał z tego powodu. Został oszukany przez dostawcę, nie wiedział, że kupił sól wypadową. Gdy nazwa jego firmy ukazała się na waszej liście, bardzo to odchorował. Zdajecie sobie sprawę, że niektórych producentów te testy mogą skrzywdzić?

Skrzywdzeni to jesteśmy my – konsumenci. Jeśli firmy będą produkować żywność dobrej jakości, będą pilnować jakości, to nie będzie problemu. Polscy przedsiębiorcy muszą się nauczyć, że warto testować, oddawać próbki do laboratorium. Muszą mieć pełną świadomość, co sprzedają. Po naszych testach nawet sieci handlowe zaostrzyły kryteria, stawiają na przebadane towary. Nie jestem oszołomem – wiem, że żywności na skalę przemysłową nie da się wyprodukować bez użycia pestycydów, ale są np. normy i okresy karencji, których trzeba przestrzegać. Wystarczy chcieć. Dowodem na to, że się da, są produkty, w których pozostałości pestycydów nie wykrywamy, albo w których jest tylko jeden pestycyd.

Jednak porządni rolnicy i przetwórcy – a jestem przekonana, że stanowią zdecydowaną większość – cierpią na złych opiniach.

Proszę mi wierzyć, że zawsze mam nadzieję, że wyniki testów będą jak najlepsze. I też cierpię, gdy np. znajdujemy w owocach substancje, których być tam nie powinno. Chciałbym, żeby polska żywność była najlepsza. Jednak milczeć nie mogę!

Zdradzi pan, co zamierzacie przetestować?

Owoce i warzywa w szkołach. Chcemy je przetestować we współpracy z Ministerstwem Edukacji Narodowej oraz z Ministerstwem Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Mam nadzieję, że się uda, bo przecież chodzi o dzieci, ich zdrowie. Bardzo chciałbym oznajmić po testach, że wszystko jest w porządku. No i naprawdę trzymam kciuki za wszystkich producentów polskiej żywności! Chciałbym, żeby hasło „dobre, bo polskie" było nie tylko sloganem marketingowym, ale rzeczywistością. ©℗

Fundacja Pro-Test

Jest to niezależna organizacja konsumencka.

Należy do International Consumer Research & Testing z siedzibą w Londynie – międzynarodowej organizacji testującej produkty, zrzeszającej instytucje konsumenckie z wielu państw. Od 2001 roku w niezależnych laboratoriach testuje produkty (od żywności po RTV i AGD, kosmetyki, a nawet foteliki samochodowe, kaski i opony) dla konsumentów w Polsce.

Utrzymuje się ze wsparcia swoich czytelników, którzy mogą wykupić dostęp do wyników wszystkich testów, mogą też kupić książki o odżywianiu. Jednak dostęp do wyników testów żywności jest bezpłatny (po zalogowaniu) dla wszystkich. Fundacja nie zamieszcza reklam.

eprasa.pl 2b902aabc5

ODCHUDZANIE

Ozempic i Mounjaro. Cała prawda o lekach, które zmieniają ciało i apetyt

Dopiero od niedawna otyłość jest traktowana jako zupełnie oddzielna choroba. Wcześniej się mówiło, że jest następstwem innych chorób – mówi dr n. med. Adam Parfieńczyk, ordynator Klinicznego Oddziału Chorób Wewnętrznych i Endokrynologii Szpitala Wolskiego w Warszawie

Anita Czupryn

To jest bohaterka naszej dzisiejszej rozmowy.

Jaszczurka?!

Od niej wszystko się zaczęło. W ślinie tej jadowitej jaszczurki, nazywanej Helodermą arizońską, znajduje się substancja, która doprowadziła do stworzenia pierwszego leku działającego podobnie do ludzkiego GLP-1. Heloderma arizońska, jak nazwa wskazuje, żyje na pustyni w Arizonie i potrafi bardzo długo nie jeść. Amerykański endokrynolog Dr John Eng, zaczął ją badać około 1990 roku. Po sześciu latach potencjał tego odkrycia dostrzegły koncerny farmaceutyczne i rozpoczęły się badania nad lekiem. Pierwszy preparat pojawił się w Stanach Zjednoczonych już w 2005 roku. W Europie mniej więcej pięć lat później. Ja zetknąłem się z nim wcześniej, ponieważ przez pewien czas pracowałem w Anglii.

W Polsce w 2010 roku krążyły zaledwie pogłoski. Jeśli ktoś chciał schudnąć, przechodził zwykle na restrykcyjną dietę. Dziś niemal każdy, z kim rozmawiam, albo sam przyjmuje Ozempic czy Mounjaro, albo zna kogoś, kto je stosuje. Podobno są już również tabletki.

Od pewnego czasu mamy już tabletki – Rybelsus. Od dawna zastrzyki: Victozę, Saxendę (do iniekcji codziennych). Pojawiło się również Wegovy, które zawiera tę samą substancję co Ozempic, czyli semaglutyd, ale stosowaną w leczeniu otyłości w większych dawkach (do iniekcji co 7 dni). Ozempic podaje się w dawkach do 1 mg, a Wegovy w dawce 1,7 lub 2,4 mg. Od przyszłego roku będzie dostępna także dawka 7,2 mg. Najnowsze badania wskazują, że większa dawka semaglutydu działa jeszcze skuteczniej.

Panie doktorze, proszę o szczerość: czy to jest nowa moda, czy rzeczywiście przełom w leczeniu otyłości?

Proszę pani, to jest rewolucja. Mechanizm działania tych preparatów wyrasta z badań nad receptorami sprzężonymi z białkiem G, za które przyznano Nagrodę Nobla. Nie możemy powiedzieć, że są to leki służące wyłącznie odchudzaniu. Działają ogólnoustrojowo i pozwalają wyrównać zaburzony metabolizm. Moja nauczycielka, pani profesor, zawsze powtarzała, że przy tych lekach chudnięcie jest skutkiem ubocznym. Podstawą jest naprawa metabolizmu i przywrócenie organizmowi równowagi. Dopiero od niedawna otyłość traktujemy jako samodzielną chorobę, którą należy oddzielnie leczyć, a nie jedynie następstwo innych chorób. Kardiolodzy również mówią o rewolucji. Badania pokazują spadek liczby ostrych zdarzeń sercowo-naczyniowych i zgonów z ich powodu. Nie są to więc leki wpływające tylko na gospodarkę węglowodanową. Absolutnie nie.

Wyprzedził Pan moje pytanie, bo właśnie chciałam zapytać, co te leki robią z człowiekiem. Dlaczego ktoś, kto wcześniej przez cały dzień myślał o jedzeniu, po rozpoczęciu terapii może niemal o nim zapomnieć?

To kwestia tak zwanego „szumu jedzeniowego". W skrócie, w mózgu działają ośrodki nagrody, a my tej nagrody potrzebujemy. Na podobnej zasadzie funkcjonują pewne uzależnienia. Jeśli chodzi o jedzenie, człowiek przestaje mieć natrętne myśli, ponieważ odczuwa sytość. Lek trochę oszukuje mózg: nie trzeba już koniecznie dostarczać mu rozrywki w postaci jedzenia. Mechanizm działa na dwóch poziomach. Po pierwsze, bezpośrednio na mózg, nasze zachowania żywieniowe i ośrodek sytości. Po drugie, pokarm dłużej pozostaje w żołądku, więc płynie z niego do mózgu sygnał: „Jesteś najedzony, po co masz dojadać?". Człowiek je częściej, ale mniej. Jest jeszcze coś... co nazywam karą. Wiele osób prowadzących nieregularny tryb życia zjada jeden ogromny posiłek wieczorem. Po takim posiłku może pojawić się silny ból brzucha, rozpieranie i człowiek nie zaśnie. Niektóre osoby prowokują wtedy wymioty; to straszne i szkodliwe. Ponieważ lek powinien być stosowany przez dłuższy czas – minimum 12 miesięcy, może on pomóc organizmowi przestawić się na nowy tryb życia.

Istnieje obiegowa opinia, że kiedy człowiek zacznie przyjmować tego rodzaju leki, będzie już musiał brać je do końca życia, bo po odstawieniu pojawi się efekt jo-jo. Jak jest naprawdę?

Jeżeli człowiek nie zmieni sposobu życia i swoich złych nawyków: nie nauczy się prawidłowo jeść, nadal będzie prowadził siedzący tryb życia, przyjmował dużo kalorii albo nadużywał alkoholu, siłą rzeczy może nawet w ciągu 6 miesięcy, wrócić do wcześniejszej wagi. Niektóre osoby przez strach, właśnie z tego powodu przyjmują lek latami, przewlekle, nawet do końca życia. Oczywiście można tak robić, jeżeli nadal istnieją wskazania, preparat działa i jest dobrze tolerowany.

Wspomniał Pan o ośrodku nagrody w mózgu. Kiedy jemy ciastko, pojawia się wyrzut dopaminy, a lek ogranicza potrzebę sięgania po tę nagrodę. Co w zamian? Jak nauczyć się nagradzać inaczej i poradzić sobie z dawnym nawykiem?

Świetne pytanie, bardzo za nie dziękuję, bo pojawia się ono w szerokiej, interdyscyplinarnej dyskusji. Są tu dwa aspekty. Po pierwsze, lek nie odbiera całkowicie możliwości zaspokajania potrzeb kulinarnych. Człowiek po prostu je mniej. Szczególnie na początku terapii apetyt wyraźnie spada, nie można zjeść dużo naraz, a czasem w ogóle nie chce się jeść. Dla smakosza może to być początkowo problem. Podglądam czasem fora pacjentów, choć z wieloma publikowanymi tam rewelacjami absolutnie się nie zgadzam. Trzeba odwrócić uwagę mózgu od „szumu jedzeniowego". Kiedyś palaczom radzono, żeby zajęli czymś dłonie i nie sięgali po papierosa. Tu chodzi o coś podobnego – trzeba zająć mózg czymś innym. Z czasem zmieniają się również smaki. Wielu pacjentów mówi, że dawniej lubili określone potrawy, a dziś już za nimi nie przepadają. Mają mniejszy apetyt na słodycze, jedzą je rzadziej i w mniejszych ilościach, czasem bardziej ciągnie ich do potraw słonych. Zmienia się również odczuwanie zapachów. Znam wiele pań, które podczas terapii zmieniły nawet perfumy, bo dotychczasowy zapach przestał im odpowiadać.

Jednym słowem, nowa ja! Wrócę do tego, co powiedział Pan na początku: że chudnięcie jest właściwie skutkiem ubocznym poprawy metabolizmu. Czy te leki pomagają również przy stanie przedcukrzycowym, insulinooporności oraz problemach metabolicznych towarzyszących menopauzie albo Hashimoto?

Zdecydowanie mogą pomóc. Część lekarzy dyskutuje nawet o tym, jak definiować insulinooporność, ale sam mechanizm jest logiczny: w odpowiedzi na pokarm i podwyższenie poziomu glukozy organizm wydziela zbyt dużo insuliny. Te leki pomagają wyrównać gospodarkę cukrową i insulinową. Metformina nadal pozostaje świetnym lekiem i złotym standardem. Nowe preparaty działają inaczej chociaż również poprawiają wrażliwość organizmu na insulinę. Jeżeli zmniejsza się stężenie insuliny, słabnie też patologiczny mechanizm sprzyjający odkładaniu tkanki tłuszczowej. Leki te mogą również zmniejszać stłuszczenie wątroby. To bardzo ważne, bo Polacy, a szerzej Słowianie, mają skłonność do stłuszczenia wątroby, nie tylko z powodu nadużywania alkoholu.

Gdzie przebiega granica między leczeniem choroby a odchudzaniem osoby, która chce po prostu wyglądać jeszcze szczuplej? Może to tylko moje wrażenie, ale na premierach filmowych spotykam znane polskie aktorki i wydaje mi się, że nigdy nie były tak chude jak teraz.

Pierwszym kryterium jest BMI, czyli wskaźnik uwzględniający masę ciała i wzrost, ale samo BMI nie wystarczy. Np. u kobiet bierzemy pod uwagę stosunek obwodu talii do bioder, zawartość i rozmieszczenie tkanki tłuszczowej w organizmie, które różni się od tego u mężczyzn. U panów częściej występuje otyłość brzuszna. Jeżeli ktoś ma prawidłową masę ciała, a przyjmuje lek wyłącznie po to, by stać się jeszcze szczuplejszym, to jest to nadużycie. Mam tylko nadzieję, że takie osoby nie zdobywają preparatów z czarnego rynku, bo tego również jest w internecie bardzo dużo. Przy BMI powyżej 30 mówimy o chorobie otyłościowej. Przy nadwadze (BMI powyżej 25) lek można rozważyć, jeśli współistnieją problemy zdrowotne związane z nadmierną masą ciała. Liczy się ogólny stan metaboliczny organizmu (na przykład stłuszczenie wątroby, autoimmunologiczne zapalenia jak choroba Hashimoto czy obecność niedokrwistości). Nadmierna tkanka tłuszczowa jest bardzo aktywna metabolicznie. Podtrzymuje permanentny stan zapalny w organizmie. Szczególnie aktywna metabolicznie jest tkanka gromadząca się wokół narządów, w tym serca, dlatego wiąże się ona z większym ryzykiem zawału i innych zdarzeń sercowo-naczyniowych. Zmniejszenie jej ilości wyraźnie obniża to zagrożenie. Jestem zwolennikiem indywidualnego doboru terapii i bardzo dokładnego określenia celu. Nie chodzi wyłącznie o chudnięcie. Chodzi o nauczenie organizmu, jak ma później funkcjonować, potencjalnie także bez leku.

Co lekarz powinien wiedzieć o pacjencie, zanim wypisze pierwszą receptę? Czy wystarczy krótka konsultacja przez internet?

Absolutnie nie. Nigdy nie byłem zwolennikiem leczenia online. Pacjenta trzeba zbadać: przeprowadzić dokładny wywiad i badanie fizykalne. Musimy wiedzieć, jaki prowadzi tryb życia. Inaczej traktujemy osobę aktywną, która mimo ruchu nie może schudnąć, a inaczej kogoś pracującego zdalnie w domu, kto właściwie się nie rusza i zamawia jedzenie przez internet. Uruchomienie pacjenta i nauczenie go odpowiedniego sposobu odżywiania jest procesem. Lekarz musi znać zawód pacjenta, jego codzienność i współ-

eprasa.pl 2b902aabc5

istniejące choroby przewlekłe. Powinien przeprowadzić dokładny wywiad rodzinny. Wiedzieć o przebytym zapaleniu trzustki, kamicy, problemach z przewodem pokarmowym i występowaniu określonych nowotworów tarczycy w rodzinie. Nie wyobrażam sobie, że da się to odpowiedzialnie sprawdzić w formularzu wypełnianym przez internet w ciągu 15 minut. Musimy również znać stan wyjściowy pacjenta i wiedzieć, co potem kontrolować. Nie można podać leku ot tak, bez diagnostyki.

Moja znajoma powiedziała mi, że aby otrzymać receptę, musi zrobić następujące badania: z krwi glukoza, kreatynina, ALT, TSH, AST, lipidogram, morfologia. Co Pan na to?

To zdecydowanie za mało. W naszej klinice zawsze najpierw kwalifikujemy pacjenta. Nie podajemy leku tylko dlatego, że ktoś go chce przyjmować. Wykonujemy: morfologię, ALT, AST, GGTP – żeby ocenić wątrobę i drogi żółciowe, a także lipazę i amylazę, które mówią nam o trzustce. Sprawdzamy gospodarkę węglowodanową – cukrową; wykonujemy doustny test obciążenia glukozą (OGTT) z oznaczeniem nie tylko glukozy, lecz także insuliny. Sama krzywa cukrowa, bez badania insuliny, nie daje żadnej informacji o jej wydzielaniu. Badamy też lipidogram, stężenie witaminy D3, żelaza, ferrytyny, kwasu foliowego, CRP, sodu, potasu, magnezu, wapnia i fosforu. Sprawdzamy również hormony tarczycy i TSH, a w razie potrzeby przeciwciała przeciwtarczycowe w trzech klasach. Wiele osób nie wie, że ma chorą tarczycę. Człowiek jest całością, nie można wyjąć jednego narządu i leczyć go w oderwaniu od reszty. Kiedyś usłyszałem od pewnego lekarza specjalisty, że interesuje go pacjent tylko od pasa w górę, bo wyłącznie tę część leczy. Absolutnie się z takim podejściem nie zgadzam.

Kto w ogóle nie powinien przyjmować tych leków, a kto wymaga szczególnej ostrożności?

U 10 procent pacjentów te leki po prostu nie działają. Znaczenie mogą mieć między innymi uwarunkowania biologiczne i oporność genetyczna. Nie powinno się również męczyć leczeniem osób, które mają zaznaczone skutki uboczne np.: niepowstrzymane wymioty, silne nudności albo bóle brzucha. Szczególnej ostrożności wymagają pacjenci cierpiący na przewlekłe zaparcia. Leki te spowalniają pracę jelit i mogą problem nasilać. Ostrożnie podchodzi się także do osób uzależnionych

FOT. GETTY IMAGES

Dr Adam Parfieńczyk: Nigdy nie byłem zwolennikiem leczenia online. Pacjenta trzeba zbadać: przeprowadzić dokładny wywiad i badanie fizykalne. Musimy wiedzieć, jaki prowadzi tryb życia

i nadużywających alkoholu. Nie znaczy to, że lek u nich nie działa, ale sytuacja wymaga szczególnego nadzoru.

Jak chudnąć prawidłowo?

Średnio około kilograma tygodniowo, czyli mniej więcej cztery kilogramy miesięcznie. Szybsze tempo może być niebezpieczne. Największym zagrożeniem, o którym wszyscy dziś mówią, jest spadek masy mięśniowej. Mięśnie odbudować jest bardzo trudno. Kiedy ludzie sami zwiększają dawki, mogą tracić nie tylko tłuszcz, ale również mięśnie. Powstaje zjawisko „człowiek grubychudy". Osoba waży mniej, lecz nadal ma dużo tkanki tłuszczowej a o wiele za mało mięśni. Kolejnym typowym błędem jest zwiększanie dawki leku połączone z głodzeniem się. Nie wolno tego robić.

Jak często pacjent powinien kontaktować się z lekarzem? Czy comiesięczne wystawianie kolejnej recepty można już nazwać prowadzeniem leczenia?

Mogę opowiedzieć o schemacie, który wypracowaliśmy. Pierwsza wizyta nie może trwać 15 minut online. Musimy dokładnie porozmawiać z pacjentem, wyjaśnić mu wszystkie aspekty i powiedzieć, kiedy powinien zgłaszać: „Houston, mamy problem". Jeśli człowiek zostanie dobrze przygotowany, będzie wiedział, jak reagować. Po rozpoczęciu leczenia pierwszy miesiąc służy przestawieniu organizmu. Wykonujemy badanie lekarskie i badania dodatkowe, dobieramy lek, a po miesiącu prosimy o kontakt telefoniczny, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Pacjent mierzy obwody talii i bioder i mówi nam, jak się zmieniły. Drugi miesiąc służy obserwacji, jak organizm funkcjonuje na nowym poziomie metabolicznym. Około trzeciego miesiąca chcemy ponownie zobaczyć pacjenta. Kontrolujemy wówczas cholesterol, witaminę D, stężenie żelaza i inne wcześniej nieprawidłowe wyniki. Utajony niedobór żelaza jest u pacjentów z otyłością dość częsty. Trzeba także uzupełniać elektrolity i witaminy, jeśli rzeczywiście ich brakuje. Szczególnie kobiety zauważają osłabienie i nadmierne wypadanie włosów, gdy zaczynają jeść mniej. Po co mają się z tym męczyć i źle czuć we własnej skórze, skoro można temu przeciwdziałać?

Jeśli już Pan o tym wspomniał, to powiedzmy o tych działaniach niepożądanych. Na co trzeba by się przygotować?

Przede wszystkim trzeba się przygotować na dolegliwości ze strony przewodu pokarmowego: nudności, czasem wymioty, zgagę i niewielkie bóle brzucha. Wynika to z tego, że przejście pokarmu przez żołądek i jelita jest wolniejsze, więc jedzenie dłużej zalega.

Jeżeli zadbamy o odpowiednią ilość białka i ruch, możemy ochronić mięśnie?

Tak, potrzebne są zarówno odpowiednia ilość białka, jak i właściwie dobrany ruch. Naszym celem jest zmniejszenie masy tkanki tłuszczowej, a nie mięśni. Pacjenci prowadzeni prawidłowo wcale nie muszą zmagać się z sarkopenią.

Życie uczy, że za wszystko w jakiś sposób płacimy. Działania niepożądane są ceną, którą trzeba zapłacić za skuteczne leczenie?

Niekoniecznie i zdecydowanie nie u wszystkich. Pozwolę sobie na żart, że czasem jedyną ceną, jaką płacimy w ciągu roku za leczenie, są pieniądze – od dziesięciu do nawet trzydziestu tysięcy złotych za kurację. Jeżeli leczenie jest prowadzone prawidłowo to, nie spotkałem się z tym, żeby musiało ono w perspektywie źle wpływać na funkcjonowanie organizmu. Czytam czasem w internecie, że te leki powodują nowotwory... To bzdura. Jedyny wyjątek to rdzeniasty rak tarczycy. Tak samo mówi się o nasilaniu depresji. Nie potwierdzają tego dotychczasowe analizy; niektóre badania pokazują wręcz przeciwny kierunek.

Czytam jednak również o obniżeniu nastroju podczas terapii.

Spadek nastroju może mieć związek z utratą dotychczasowej nagrody. Jeżeli człowiekowi uzależnionemu od alkoholu odbierzemy butelkę, również może mieć obniżony nastrój. Tutaj zmniejsza się ilość jedzenia, czyli czegoś, co wcześniej sprawiało radość. To może być przejściowe. Trzeba jednak obserwować pacjenta, sprawdzić także jego ogólny stan zdrowia i ewentualne niedobory, między innymi witaminy D.

Nowoczesne leczenie otyłości stanie się przywilejem zamożnych? Elita będzie szczupła i zdrowa, a ludzie, których nie stać na leki, pozostaną ze swoją chorobą?

Takie głosy pojawiają się w internecie. Istnieje jednak zjawisko „klifu patentowego". Kiedy wygasa patent na substancję, mogą wejść odpowiedniki, zwykle znacznie tańsze od leku oryginalnego. Taki proces zaczyna obejmować starsze preparaty, na przykład liraglutyd. W przypadku semaglutydu również trwa już walka patentowa i pojawiają się konkurencyjne produkty, między innymi w Chinach. Jeśli na rynek wejdą odpowiedniki, ceny powinny spaść. Nie dotyczy to od razu najnowszych leków. Jeżeli nowy preparat świetnie działa, firma chce na nim jak najwięcej zarobić. Tak było z tirzepatydem i podobnie zapewne będzie z retatrutydem. Jestem jednak optymistą. Kiedy pojawią się kolejne, skuteczniejsze substancje, producenci starszych leków będą musieli obniżać ceny, żeby nadal je sprzedawać. Oczywiście zawsze będzie tak, że jeden pacjent „ pojedzie szybciej Ferrari, a drugi wolniej Syreną Bosto" byleby skutecznie. Zapewne pozostanie grupa osób, których nie będzie stać na terapię. Analogi GLP-1 nie muszą jednak wiecznie kosztować tyle co dziś.

FOT. ADAM JANKOWSKI

Dr n. med. Adam Parfieńczyk

Specjalista chorób wewnętrznych i medycyny nuklearnej, ordynator Klinicznego Oddziału Chorób Wewnętrznych i Endokrynologii Szpitala Wolskiego w Warszawie. Adiunkt Uczelni Łazarskiego. Doktor nauk medycznych z dziedziny hematologii. Autor ponad 76 publikacji naukowych.

eprasa.pl 2b902aabc5

SZTUKA LUDOWA

FOT. WOJCIECH WOJTKIELEWICZ

Cepelia działa do dziś. Sprzedaje wyroby ze skóry, tkane, a także pisanki i kolorowe laleczki

Kierpce, kogutki, lalki, kubki, a na ścianie talerze z Włocławka

9 października w Muzeum Narodowym w Krakowie, na wystawie „Obywatelka Cepelia", triumfalnie wróci niepowtarzalny klimat sztuki ludowej PRL

Mariusz Grabowski

Wyroby Cepelii, czyli Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego, przez dekady kształtowały codzienną estetykę Polaków. Wpływały na wygląd ich mieszkań, strojów, a zwłaszcza na zbiorowe wyobrażenia o ludowości i jej tradycji.

Minister podpisuje

Jak wszystko w Polsce socjalistycznej, także sztuka ludowa miała swoją stosowną nadbudowę ideologiczną. W tym wypadku Cepelię, zrzeszającą spółdzielnie rękodzieła ludowego i artystycznego. Idea koncesjonowanej ludowości pojawiła się pod koniec lat 40. W czerwcu 1949 r. w Katowicach odbywał się IV Zjazd Polskich Artystów Plastyków. I to wówczas realizm socjalistyczny ogłoszono obowiązującą metodą artystyczną dla mas. Oznaczało to w praktyce, że artyści nawiążą w swoich pracach do historyzmu, a jednocześnie będą czerpać z tradycji ludowej.

Umocowanie prawne stanowiło zarządzenie Przewodniczącego Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego z dnia 17 października 1949 r. W Monitorze Polskim z 29 listopada 1949 r. w dziale „Sprawy Gospodarki Narodowej" czytamy: „Tworzy się centralę spółdzielczo-państwową pod nazwą: »Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego, Centrala Spółdzielczo-Państwowa«, w dalszym ciągu niniejszego zarządzenia zwana »Centralą«. § 2. Siedzibą Centrali jest m. Warszawa. § 3. Przedmiotem działalności Centrali jest: 1) prowadzenie i organizowanie produkcji przemysłu ludowego i artystycznego w zakładach własnych oraz ośrodkach produkcyjnych spółdzielni, 2) prowadzenie i organizowanie zbytu wytworów przemysłu ludowego i artystycznego". Podpis złożył przewodniczący PKPG tow. Eugeniusz Szyr.

Cepeliada jako kanon

Na krakowskiej wystawie papierów urzędowych z zamierzchłej epoki nie znajdziemy. Ale też inny jest jej zamiar – „Obywatelka Cepelia" to przekrojowa prezentacja jednej z najbardziej wpływowych i – co ciekawe – jednocześnie najmniej rozumianych instytucji wytwarzającej i dystrybuującej przedmioty artystyczne i dzieła sztuki.

Zbiorowa pamięć Polaków kojarzy dziś Cepelię z kwintesencją „ludowości". Upiększonej, uładzonej, kolorowej, nierzadko nieco sentymentalnej. A przecież taki wzorzec w niczym nie odpowiadał ówczesnej rzeczywistości. Polakom, wywodzącym się w przytłaczającej większości ze wsi, sielankowa cepeliada została odgórnie narzucona. „Cepelia była pomysłem i przedsiębiorstwem totalnym. Roztaczała opiekę nad twórcami ludowymi i artystami, ale zarazem wpływała na to, co robili. Prowadziła badania naukowe, ale przede wszystkim produkowała i sprzedawała" – twierdzi prof. Piotr Kurdyba, jeden z kuratorów wystawy.

Konsekwentnie musimy przyznać, że owa „ludowość" została na tyle przeformułowana, że w niczym nie przypominała tej autentycznej. Nie bez powodu głównym hasłem krytyki wobec tak pojętego modelu ludowości jest „cepeliada".

„Cepeliowski kicz"

Warto o tym pamiętać, oglądając to, co zgromadzono na wystawie: odzież, tkaniny, biżuterię, przedmioty codziennego użytku, plakaty i łowickie wycinanki. Ponadto pamiątki, które odwiedzający Polskę Ludową turyści zabierali do domu i sporo pseudoludowej tandety, w postaci ciupag, kiczowatych lalek czy landszaftów.

Z drugiej strony istnienie Cepelii stanowiło dla wielu tzw. koncesjonowanych twórców ludowych sposób na życie. Oblicza się, że w połowie lat 50. w jej skład wchodziło już ponad 200 spółdzielni rękodzieła ludowego i artystycznego, m.in.: „Ład", „Koronka", „Wanda", „Pilsko", „Sztuka Łowicka", „Rękodzieło Artystyczne" czy „Podhalańska". Dodajmy do tego ponad 100 zakładów przemysłu artystycznego, 60 sklepów detalicznych i tyleż punktów skupu gotowych wyrobów. Ponadto kilkadziesiąt magazynów hurtowych.

Liczba zatrudnionych wynosiła blisko 30 tys. osób, w tym 10 tys. chałupników, wykonujących pracę u siebie w domu i na własnym warsztacie. Do Cepelii swoje produkty dostarczało także 20 tys. lokalnych producentów. „Przemysł artystyczny obejmował bardzo wiele dziedzin (...) Nie sposób w tym miejscu choćby krótko omówić wszystkich profili cepeliowskiego wzornictwa, ale jednym z najpoważniej rozwiniętych były tkaniny dekoracyjne, głównie kilim, gobelin i żakard" – pisze Kurdyba.

Pawilon przy Marszałkowskiej

Pierwszym prezesem Cepelii została Zofia Szydłowska. Ponoć dlatego, że jako dyrektorka fabryki sukna Rakszawa wystosowała memoriał do Ministerstwa Przemysłu z ideą ogólnopolskiej organizacji, która zajmie się skupem ludowego rękodzieła i jego sprzedażą. W 1950 r. zastąpił ją Tadeusz Więckowski.

To głównie jemu zawdzięczamy wykreowanie mody na ludowy styl wśród miastowych. „Los sztuki ludowej nie zależy dzisiaj od wsi, ale od zapotrzebowania na nią w mieście" – zauważał Więckowski i wyciągał wnioski: „Skoro nie można zmienić tej rzeczywistości, trzeba się do niej przystosować, by ocalić to, co ważne z dorobku przeszłości".

Aby wymóc innowacyjność i zmienność wzorów, Więckowski wprowadził m.in. nowy sposób premiowania. Połowę premii wypłacano za wykonanie planu produkcji, a drugą połowę za wykonanie planu artystycznego. Było to absolutne novum w warunkach socjalistycznej gospodarki.

Wizytówką Cepelii stał się w 1966 r. postmodernistyczny pawilon w centrum Warszawy, w sąsiedztwie ukończonego rok wcześniej hotelu Metropol. Na elewacji umieszczono neony przedstawiające logo Cepelii – kogutka.

Przeminęły złote lata

W latach 60. i 70. nie było chyba polskiego mieszkania, gdzie nie byłoby czegoś z Cepelii: lnianego obrusa albo drewnianego talerza na ścianie. Wyroby Cepelii trafiły także na eksport, by służyć promocji kultury polskiej na świecie. Pierwszy zagraniczny sklep powstał w 1958 r. – okazją było Expo w Brukseli. Dwa lata później został otwarty sklep w Nowym Jorku. Ostatecznie zagranicznych sklepów Cepelia miała siedem. W 1967 r. polska sztuka ludowa doczekała się nawet wystawy w londyńskim Muzeum Wiktorii i Alberta.

W 1971 r. na Placu Defilad w Warszawie odbyła się pierwsza Cepeliada, prekursorka dzisiejszych kiermaszy ludowych. Można było kupić wyroby od twórców strugających świątki w drewnie, asortyment od kierpców po wiklinowe żyrandole i skosztować regionalnego jedzenia: oscypków czy placków ziemniaczanych z Podlasia.

Cepeliady skończyły się w latach 80., wraz z kryzysem. Wszystko to, co kojarzone było z Cepelią, jawiło się wówczas jako niemodne i przestarzałe. Z kolei w latach 90., na fali emocji, sztuka ludowa budziła jedynie negatywne skojarzenia z poprzednim ustrojem. Początek III RP to triumf estetyki korporacyjnej – sztuka ludowa w takich wnętrzach już się nie odnalazła.

Skarby z magazynów

Wystawa „Obywatelka Cepelia" wpisuje się w najnowsze badania nad kulturą materialną PRL i pozwala zrozumieć, dlaczego instytucja o ogromnym wpływie społecznym i kulturotwórczym do dziś budzi sprzeczne emocje również wśród muzealników i specjalistów. Ma też niewątpliwe walory poznawcze – większość z udostępnionych zwiedzającym obiektów nigdy wcześniej nie była pokazywana, pochodzą z prywatnych zbiorów lub zostały wydobyte z czeluści magazynów różnych muzeów.

Likwidacja Cepelii nastąpiła w 1990 r. Zniknęły jej pawilony i sklepy. Prawo do znaku towarowego i nieruchomości dawnej Cepelii przejęła Fundacja Cepelia Polska Sztuka i Rękodzieło. Echem dawnych cepeliad są organizowane co rok Targi Sztuki Ludowej w Krakowie na Rynku Głównym.

Nawiązaniem do przeszłości był także polski pawilon przygotowany na EXPO 2010 r. w Szanghaju. Bryła przypominała wielokrotnie zgiętą kartkę papieru, pokrytą ornamentowym wzorem łowickiej wycinanki.

Muzeum Narodowe w Krakowie, Gmach Główny, ul. 3 Maja 1. Kuratorzy: prof. UAM dr hab. Piotr Korduba i dr Anna Wiszniewska. Wystawa potrwa od 9.10. Informacje: mnk.pl.

eprasa.pl 2b902aabc5

WROCŁAW

„Tylko dzbany bazgrzą nielegalnie ściany!" – mówi Mateusz z Wrocławia

Mateusz ma 27 lat. Jest człowiekiem z GUM-y. A GUMa to skrót od: Grupa Upiększania Miasta – wyjaśnia Mateusz, który od miesięcy cały swój czas poświęca m.in. na czyszczenie ścian budynków, które wandale pomazali farbą w esy-floresy.

Robert Migdał

Mateusz z wykształcenia jest architektem. Studia skończył we Wrocławiu, ale tuż po zakończeniu edukacji wyjechał do Holandii.

– Zachwyciły mnie rozwiązania architektoniczne i komunikacyjne w Rotterdamie. Z peryferii, w 20 minut, mogłem dojechać rowerem do centrum. Wszędzie ładnie. Wielkie okna w domach, bez zasłon – oznaka otwartości. Przed domami mieszkańcy wystawiają donice z kwiatami, jest dużo zieleni. A kamienice nie są pomazane farbą, graffiti, mazajami. Czysto – opowiada Mateusz i dodaje: – Niestety, we Wrocławiu jest zupełnie inaczej...

Rzucił pracę w Holandii. Wrócił na początku tego roku na Ołbin, gdzie się wychowywał. Uderzyło go to, że stare kamienice, zabytkowe budynki, kościoły są niszczone przez wandali, którzy wypisują na ścianach durnowate hasła lub po prostu bazgrolą – podpisując się byle jak, byle gdzie.

– Poczułem, że muszę zacząć robić coś, co zmieni przestrzeń wokół mnie, coś, co pozytywnie wpłynie na moich sąsiadów, na Wrocławian. Może to zabrzmi patetycznie, ale postanowiłem zrobić coś, żeby Wrocław wyglądał piękniej, jak europejska metropolia. Dla siebie, dla innych, z miłości do miasta.

Na początku postanowił zadbać o najbliższe sąsiedztwo. Zaczął czyścić z bazgrołów budynki na Ołbinie: zamalowywać koszmarne malunki, które ktoś wykonał sprayem – zaznaczając swoją obecność („Tu byłem"), myć ściany kamienic z haseł i graffiti... A to, co robił, zaczął wrzucać na Facebooka.

– Żeby pokazać innym, że można, że warto. Żeby zachęcić innych – niech też się zaangażują, pomogą, zadbają o okolicę. Chciałem zjednoczyć Wrocławian we wspólnym działaniu – mówi Mateusz i dodaje: – Bo byłem pewien, że nie tylko mi przeszkadzają poniszczone farbą ściany kamienic, walające się dokoła śmieci, puste buteleczki – „małpki"... A przecież Ołbin, Przemieście Oławskie, Nadodrze to mnóstwo kamienic-perełek, zabytkowych, cudnych. I to w skali Europy. A ktoś, ot tak sobie, je niszczy. Nawet te świeżo wyremontowane. Serce boli...

Najpierw zaczął czyścić okolice sam. Ulica po ulicy – gdzie zobaczył bazgroły na ścianie: działał. Efekty swojej pracy zaczął wrzucać na Facebooka „Guma – Grupa Upiększania Miasta". – Żeby innych też zachęcić do działania – tłumaczy.

Ale nie jest to żadna samowolka. Zawsze w przypadku większych realizacji (jak zamalowywanie czy usuwanie bazgrołów z elewacji) zgłasza się do właściciela, czy zarządcy budynku, którego ścianę chce wyczyścić. Prosi o zgodę i działa, gdy dostaje zielone światło. Tylko czasami – gdy to jest tylko mały bohomaz na skrzynce elektrycznej czy drzwiach – to przy okazji spaceru usuwa to w minutę czy dwie.

– Uzyskiwanie zgód na te większe akcje to bardzo czasochłonny proces, ale nie chcę tego robić zupełnie po cichu „z partyzanta". Chcę, by to same spółdzielnie czy mieszkańcy wyrazili chęć na zmianę i może dzięki temu też poczują się za swój budynek bardziej odpowiedzialni – mówi.

Niekiedy zderza się ze ścianą. – Biurokracja rządzi. Wiele razy, gdy dzwonię do zarządcy jakiejś kamienicy z prośbą o zgodę na wyczyszczenie elewacji, tłumaczę, że za darmo, że sam kupię materiały, sam to zrobię – słyszę: „nie". I mnie zbywają. Pewnie dlatego, że jako zarządcy sami mogą to zrobić, za pieniądze, a nie jak ja – za darmo. Tylko że tego nie robią i wiele kamienic jest pomazanych, brzydkich, poniszczonych przez wandali.

Ale na szczęście nie wszyscy są sceptycznie – delikatnie mówiąc – nastawieni do działań Mateusza. Większość wyraża zgodę.

Cała „papierologia" i samo czyszczenie kamienic zajmuje mu całe dnie. To teraz jego praca, za którą nie dostaje ani grosza.

– To pochłania mnóstwo czasu. Nie pracuję jako architekt, żyję z oszczędności, z tego, co zarobiłem w Holandii – opowiada i liczy, że projekt „GUMa" z czasem się tak rozwinie, że będzie przynosił pieniądze. – Planuję założyć zbiórkę na Patronite.pl: jeśli ktoś będzie chciał wesprzeć to, co robię, to będzie mógł wpłacić parę złotych, żeby pomóc mi w rozwoju tego projektu. Jeśli się nie uda, to wrócę do pracy architekta, a sprzątać po innych będę za darmo, w weekendy – uśmiecha się.

Na razie robi to całkowicie charytatywnie. Codziennie. Dla idei. Przyłączają się do niego kolejni Wrocławianie, którym podoba się to, co robi, żeby miasto było ładniejsze.

– A to ktoś, kto obserwuje mnie na Facebooku, zafunduje rękawice do sprzątania, a to ktoś kupi chemię, którą zmywamy bazgroły, ktoś inny farbę, do zamalowywania napisów... – opowiada Mateusz. – Coraz więcej osób chce razem ze mną sprzątać. To cieszy. Organizuję więc np. osiedlowe akcje sprzątania, ogłaszam je na FB i przychodzi sporo osób, które w wolnym czasie mi pomagają. Ale nie we wszystkim.

– Niestety, nie mogę wszystkiego robić z mieszkańcami, bo niektóre rzeczy wymagają używania chemii, specjalistycznych maszyn. Ale to, co mogę, to z nimi robię. Czyli na przykład zbieranie jakichś śmieci, czy to w mieście, czy to w jakichś parkach. Zrywanie nielegalnych ogłoszeń na słupach, małych naklejek np. na przystankach – opowiada Mateusz.

Skąd u niego to poczucie estetyki, ta chęć o dbanie o otoczenie?

- Na pewno bardzo duży wpływ na to miały studia architektoniczne, nawet mieliśmy przedmiot o nazwie estetyka – mówi.

Studiował we Wrocławiu i Turynie. Chodził w plenery, rysował zabytki.

– I czułem wewnętrzny ból, gdy widziałem poniszczone sprayem np. kościoły. Bo taki zabytek jest piękny sam, w sobie, nie potrzebuje „upiększania" przez wandali. Poza tym zawsze lubiłem rysować i wiem, że rysowanie wiąże się z pewnego rodzaju umiejętnością doboru kompozycji, kolorów i jeśli widzę bazgroły na budynku, to wiem, że to bazgroły, wandalizm w czystej postaci. No i z domu to wyniosłem – gdy szliśmy z rodzicami do lasu, na grzyby, to zawsze zbieraliśmy też rozrzucone śmieci – dodaje.

Nie jest przeciwnikiem graffiti. Wręcz przeciwnie. – Architektura może fajnie współgrać ze sztuką, z graffiti. Są czasami przestrzenie, które właśnie aż się proszą, żeby czymś je wypełnić. Np. całe gołe ściany – idealne pod murale, na przykład na blokach albo w bramach. Bardzo popieram to, żeby w każdej bramie pusta przestrzeń była wypełniona różnego rodzaju kolorowymi rysunkami, żeby była ładnie oświetlona. To daje dodatkowo poczucie bezpieczeństwa: jest ładnie, całość jest oświetlona...

Mateusz posprzątał kilkadziesiąt miejsc. To, co robi, zachwyca ludzi nie tylko we Wrocławiu. Ma już naśladowców w Polsce. Idąc za jego przykładem, tworzą się podobne do GUM-y grupy w Szczecinie, Warszawie, Jeleniej Górze...

– Wszyscy chcemy tego samego: żeby było ładnie, żeby budynki prezentowały się godnie.

FOT. ARCHIQUM PEYQWTNE GUM-Y

Na początku postanowił zadbać o najbliższe sąsiedztwo. Zaczął czyścić z bazgrołów budynki na Ołbinie: zamalowywać koszmarne malunki

eprasa.pl 2b902aabc5

PRAWO

Seksbiznes w Bydgoszczy. 13-letnia dziewczynka, matka – była nauczycielka, i lekarz. Nagrania i szantaż

– Nie mogę tego dłużej w sobie tłumić. Od ponad roku żyję w ciągłym stresie i jestem już załamana całą tą sytuacją. Nie widzę dobrego wyjścia. Wiem o sprawach przerażających, ale wiem też, że nie wolno mi o tym głośno mówić – wyznaje mój informator

Maciej Czerniak

Najpierw był telefon. Kilka połączeń. Numer nieznany. Krótko później mail. „Od 14 miesięcy, zupełnie przypadkiem, jestem człowiekiem uwikłanym w niezwykle delikatną sprawę kryminalną dotyczącą pedofilii. Zarzuty są podobne jak w przypadku Tomasza P., o którym pisał Pan kilka tygodni temu. Wiem, że te sprawy są jakoś ze sobą związane".

Nie przyjmuję tego twierdzenia na wiarę. Każde słowo wymaga zweryfikowania. A to zaledwie początek sprawy, najogólniejszy jej zarys. Odkrywanie tej historii to jak chodzenie po istnym polu minowym oskarżeń i niewiadomych.

Co na dyskach miał pan P.

Ujawniona w październiku 2025 roku sprawa Tomasza P. wywołuje szok. W domu w podbydgoskim Sicienku zostaje zatrzymany były dyrektor finansowy szpitala w Tucholi, lata temu dyrektor oddziału NFZ w Bydgoszczy, jeszcze wcześniej, do 2011 roku naczelnik w bydgoskim ZUS. To nie pierwszy raz, kiedy P. ma stawiane zarzuty – w 2016 roku został skazany na dwa lata więzienia w zawieszeniu za wyłudzenie kilkudziesięciu tysięcy złotych z kasy Szpitala Miejskiego im. Warmińskiego w Bydgoszczy. Wspólnie ze szpitalną księgową ukrył między fakturami TMS (Toshiba Medical Systems) rachunki wystawione przez swoją firmę MTS, które dotyczyły fikcyjnych szkoleń.

Jesienią 2025 nie chodzi jednak o fałszywe faktury. Śledczy znajdują u P. nośniki cyfrowe, a na nich materiały wideo z nielegalnym porno. Kryminalnych prowadzi do P. trop, który ma początek w... Kijowie. Kilka tygodni wcześniej Prokuratura Generalna Ukrainy za pośrednictwem Europolu poinformowała o sprawie Wydział do Walki z Handlem Ludźmi Biura Kryminalnego Komendy Głównej Policji, skąd dalej informacje trafiły do Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy.

– Do policjantów w Kijowie zgłosili się rodzice dwóch 11-letnich dziewczynek. Z informacji i zeznań złożonych w obecności psychologa wynikało, iż od pewnego czasu kontaktował się z nimi, za pośrednictwem portalu społecznościowego, dorosły mężczyzna, który prezentował materiały pornograficzne z udziałem dzieci, a także zwierząt – mówi podinsp. Monika Chlebicz, rzeczniczka prasowa bydgoskiej KWP.

Sprawę nadzoruje Prokuratura Okręgowa w Bydgoszczy. W maju 2026 roku informuje, że ustalane są kolejne poszkodowane dzieci. Postępowanie zostaje przedłużone do 4 sierpnia. Ma być zakończone aktem oskarżenia. Kilka dni przed tym terminem strona ukraińska informuje o ustaleniu tożsamości jeszcze jednej nieletniej. Obecnie postępowanie jest w zawieszeniu, polscy śledczy czekają na pomoc prawną z zagranicy.

Śledztwo ma też ustalić kanały dystrybucji dziecięcej pornografii.

– Rozpowszechnianiem takich materiałów zajmują się osoby, które pozostają ze sobą w kontakcie, wiedzą, gdzie szukać tych treści. To często sieci powiązań. Chcemy zbadać, skąd te materiały pochodziły – słyszę w prokuraturze.

Co łączy tę sprawę z nową historią, o której się dowiaduję? Czy w ogóle coś łączy? Może to tylko zbieg okoliczności.

Matka i córka

Nowa historia ma dwa akty. Formalnie ze sobą niezwiązane. Faktycznie wspólnym mianownikiem jest Laura M. (personalia zmienione z uwagi na trwające postępowanie prokuratury). Akty dzieli prawie dekada. Postaram się przedstawić to, co ustaliłem w dziennikarskim śledztwie.

W czerwcu 2025 roku do mieszkania Laury w Bydgoszczy wchodzi grupa policyjna, specjaliści od technik cyfrowych. Zabezpieczają znalezione w pamięci urządzeń elektronicznych materiały o charakterze pornograficznym.

FOT. 123RF

Z danych fundacji Dajemy Dzieciom Siłę wynika, że aż 26 proc. badanych nastolatków deklarowało doświadczenie przemocy seksualnej bez kontaktu fizycznego. 8 proc. przemocy seksualnej – z kontaktem fizycznym/ zdjęcie ilustracyjne

Na większości nagrań występuje dziewczynka i mężczyzna. Według ustaleń nagrania były rejestrowane od czerwca 2023 do sierpnia 2024 r.

Dziewczynka jest córką Laury. Na nagraniach miała zaledwie 13 lat.

Kobiecie są przedstawiane zarzuty z artykułów 200 kodeksu karnego. Różne paragrafy: prezentowanie wykonania czynności seksualnej osobie małoletniej poniżej 15. roku życia, utrwalanie treści pornograficznych w udziałem małoletniego, niepowiadomienie o przestępstwach seksualnych wobec dziecka. Jeden dotyczy usiłowania przez kobietę doprowadzenia psa do kontaktu z jej narządami płciowymi.

Laura miała prezentować córce, jak się uprawia seks, a także pomóc mężczyźnie obcować oralnie, a także umożliwiła „próbę" obcowania płciowego z własną córką.

Prokuratura wnosi do sądu trzymiesięczny areszt dla Laury. Sąd wydaje postanowienie, kobieta trafia za kraty.

– Z uwagi na charakter sprawy i na dobro poszkodowanej osoby nieletniej nie podajemy szczegółów prowadzonego śledztwa. Będą jeszcze wykonywane czynności dowodowe – mówi prok. Adam Lis, zastępca szefa Prokuratury Rejonowej Bydgoszcz-Północ.

Śledczy nie chcą udzielać żadnych bliższych informacji w tej sprawie.

Spotykam się z informatorem. Rzecz jasna prosi o możliwość pozostania anonimowym. Gwarantuję to, zgodnie z przepisami prawa prasowego: – Ta sprawa nie wyszłaby nigdy na jaw, gdyby nie pewien mężczyzna. Myślę, że jemu należy się jakaś nagroda. To on zainteresował organy ścigania tą panią, choć prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy, do czego doprowadzi śledztwo.

Zaczęło się od alimentów

W 2025 roku, kilka miesięcy przed aresztowaniem Laury, do policji w Bydgoszczy zgłasza się

eprasa.pl 2b902aabc5

młody mężczyzna. Podejrzewa, że jego była partnerka wyłudza od niego alimenty na córkę. Dziewczynka ma dziewięć lat, a mężczyzna twierdzi, że wykonał testy DNA, które wykluczyły jego ojcostwo. To jednak dopiero początek sprawy.

Mężczyzna (nazwę go imieniem Ksawery) mieszka na obrzeżach miasta i prowadzi małą firmę usługową. Kiedy na jaw wychodzą wyniki badań laboratoryjnych, policja zaczyna się interesować Laurą. Ona mieszka już wtedy u swojego ojca w mieszkaniu w bloku w bydgoskim Fordonie. Ma przy sobie dwie córki. Starsza liczy piętnaście lat.

Kilka tygodni obserwacji daje już mocne podstawy do podejrzeń, że kobieta mogła dopuszczać się innych przestępstw. To właśnie wtedy zabezpieczane są nośniki z materiałami zawierającymi dziecięcą pornografię.

Mijają miesiące, w ciągu których sąd – wobec poważnych zarzutów postawionych kobiecie – pozbawia Laurę władzy rodzicielskiej nad córkami i przyznaje ją byłemu mężowi, ojcu biologicznemu starszej dziewczynki. Przedłużany jest też tymczasowy areszt dla Laury. Kobieta opuszcza go w pierwszych miesiącach 2026 r.

– Wtedy zaczynają się problemy – słyszę od osoby będącej blisko sprawy.

O ile wcześniej sąd zezwolił matce, przebywającej za kratami aresztu, na sporadyczne kontakty z córkami przez telefon, to po opuszczeniu celi kobieta próbuje odzyskać w pełni możliwość widywania się z dziećmi.

Jak się dowiaduję, starsza z dziewczynek wprost wyczekuje tego kontaktu. – Ma z matką wspólny świat, choć jest przecież ofiarą, bo uczestniczyła w tym procederze – mówi informator. – Niestety, mentalnie już wsiąkła w to wszystko, w co angażowała ją matka. To jest tragedia.

– Nie mogę tego dłużej w sobie tłumić. Od ponad roku żyję w ciągłym stresie i jestem już załamana całą tą sytuacją. Nie widzę dobrego wyjścia. Mam wrażenie, że prokuratura opieszale działa w tym postępowaniu, że jest jakiś opór. Wiem o sprawach przerażających, ale wiem też, że nie wolno mi o tym głośno mówić – wyznaje mój kolejny informator.

Latem 2026 roku Laura i jej córka są widziane w centrum Bydgoszczy. Robią wspólne zakupy. Do policji trafia zgłoszenie. Zabezpieczane są nagrania z wideomonitoringu zewnętrznego, który rejestruje przechodniów na ruchliwej miejskiej arterii.

Z zewnątrz, od osoby spoza śledztwa, sygnał o sprawie dociera też do Rzecznika Praw Dziecka. Jak ustalamy, dopiero po interwencji tej instytucji prokuratura kieruje wniosek do sądu o ustanowienie zakazu zbliżania się matki do dzieci na odległość nie mniejszą niż 300 metrów.

Mam potwierdzenie.

– Rzeczniczka Praw Dziecka podjęła w przedmiotowej sprawie działania zgodne ze swoimi ustawowymi kompetencjami – brzmi odpowiedź z biura prasowego RPD. Dalej następuje wyjaśnienie, że urząd zgłosił „udział w sprawie, monitoruje postępowanie toczące się przed sądem rodzinnym, a także pozostaje w kontakcie ze służbami socjalnymi zajmującymi się rodziną".

Nauczycielka

Zbierając informacje do tej historii, natrafiam na zaskakujący ślad. Wiąże się on z przeszłością Laury. Dowiaduję się, że pracowała jako nauczycielka w Zespole Szkół Gastronomiczno-Hotelarskich w Bydgoszczy. Uczyła tam przedmiotów zawodowych. Z tych ustaleń wynika jeszcze jedno – w 2015 roku miała wdać się w bliską relację z jednym z uczniów. Miało jej grozić zwolnienie dyscyplinarne, ale kobieta rzekomo oświadczyła, że jest w ciąży.

– To temat tak grząski i śliski, że nawet nie rozmawiamy o tym. Wiemy jednak, o co chodzi – słyszę od jednego z pracowników placówki.

W pierwszej kolejności chcę zapytać o sprawę dyrektorkę szkoły. W dzień, kiedy udaję się do ZSGH, nie ma jej na miejscu, więc w końcu wysyłam pytania mailem. Następnie pytam Grażynę Dziedzic, kurator oświaty w Bydgoszczy: – Nie znam tej sprawy, ale jeżeli dotyczy to tak odległego czasu, to po prostu nie mogłam o tym wiedzieć. Poza tym, jeżeli sprawa odnosiła się osoby nieletniej, to należy mieć na uwadze przede wszystkim dobro młodego człowieka.

Tu warto podkreślić, że Grażyna Dziedzic pełni funkcję wojewódzkiego kuratora od 2023 roku. Dlatego nie jest w stanie od razu odnieść się do moich kolejnych pytań: – Chcę tylko ustalić, czy sprawa została skierowana przez szkołę do kuratorium, czy urząd podjął jakieś czynności w tej sprawie – uściślam.

Te pytania zadałem w kuluarach, podczas jednej z konferencji prasowych, które odbywały się we wrześniu. Ostatecznie wysyłam maila w tej samej sprawie. Odpowiedź: „W 2021 roku Rzecznik Dyscyplinarny dla Nauczycieli prowadziła postępowanie wyjaśniające przeciwko nauczycielce (...) w innej sprawie. Postępowanie w czerwcu umorzono. Nie posiadam informacji w temacie przez pana wskazanym".

Tego samego dnia odpisuje również Justyna Ormanowska, dyrektor ZSGH: „Pełnię funkcję dyrektora Zespołu Szkół Gastronomiczno-Hotelarskich w Bydgoszczy od 1 września 2019 roku. Nic mi nie wiadomo w zakresie pana pytań".

W czasie między wysłaniem pytań dyrektorce bydgoskiego „gastronomika" a uzyskaniem jej odpowiedzi dowiaduję się, że Laura odeszła ze szkoły o wiele później. Nie pracuje tam od 2023 roku. Chcę zatem zweryfikować również tę informację u dyrektor Ormanowskiej. Potwierdza: „Z nauczycielką rozwiązano umowę o pracę z dniem 31 grudnia 2022 roku, w związku z otrzymaniem negatywnej oceny pracy".

– Prokuratura ma wiedzę o przeszłości podejrzanej, ale te kwestie nie są przedmiotem postępowania – mówi prokurator Lis.

Informator przekonuje, że Laura zabierała córkę do różnych mężczyzn. Matka miała przy tym korzystać z serwisów i chatów internetowych. Staram się to zweryfikować. Chcę zapytać o to Laurę wprost. Drzwi mieszkania otwiera jej ojciec, informując, że kobiety nie ma na miejscu, pojechała coś załatwić. Ma wrócić tego samego dnia po południu. Próbuję ponownie po paru godzinach, ale już nikt nie otwiera drzwi.

Kontaktuję się z jej adwokatem. Odmawia jakiegokolwiek komentarza na temat sprawy. Uzyskuję jednak zapewnienie, że zapyta klientkę, czy zgodzi się porozmawiać. Dwa dni później odpowiedź: Kobieta nie chce rozmawiać.

Nocna wizyta u lekarza i okup?

Prokuratura na pytanie, czy w sprawie był ktoś jeszcze; czy są badane wątki dotyczące spotkań w innych „konfiguracjach", cedzi każde słowo. Prokurator Lis jednak stanowczo stwierdza: – Zarzuty w tej sprawie usłyszał jeden mężczyzna.

W toku rozmów z osobami, które były blisko sprawy, pada nazwisko znanego specjalisty z Bydgoszczy, wcześniej związanego ze Szpitalem Biziela. To on miał znaleźć się na nagraniach, których rejestrowanie i przechowywanie zarzuca się Laurze. Ustalam – faktycznie mężczyzna pracował w tej lecznicy, ale już jest na emeryturze. I był na niej, kiedy postawiono mu zarzut w związku z czynnościami o charakterze seksualnym wobec nieletniej. Bydgoska Izba Lekarska informuje, że pismo z pytaniem o to, czy urząd zajmował się sprawą, przekazano do Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej oraz Okręgowego Sądu Lekarskiego izby w celu rozpatrzenia sprawy.

Medyk początkowo nie chce rozmawiać. Ucina tylko: – Ja zostałem wrobiony w tę całą sytuację. Nie wiedziałem, że dziewczyna jest nieletnia. Nie szukałem z nią kontaktu ani jej nie nagabywałem. Po prostu przyszła matka z córką, matka wiedziała i nie powinna na to pozwolić.

– To była „transakcja płatna"? – pytam.

– No, potem się okazało, że ma być płatna – pada odpowiedź. – Byłem szantażowany.

Mężczyzna twierdzi, że poznał Laurę na czacie internetowym. Doszło do jednego spotkania, potem kobieta miała oświadczyć, że chce się spotykać za pieniądze. Mężczyzna utrzymuje, iż zaskoczyło go to, kiedy w umówionym terminie, późnym wieczorem przyszła do niego z dziewczyną. Kilka godzin później, już nad ranem – mówi – wręczył kobiecie tysiąc złotych. Parę tygodni później dostał przesłany komunikatorem internetowym zapis wideo nocnego spotkania. I żądanie zapłaty.

– Zaczęło się od 10 tysięcy, 20, a skończyło na prawie 100 tysiącach. Zapłaciłem. Żyję z tym piętnem przez te lata. To był błąd i głupota. Żałuję. Zapłaciłem, bo chciałem zadośćuczynić jej i zamknąć tę sprawę. A trzeba było zgłosić na policję od razu. Potem żądała ode mnie też kolejnych 50 tys. zł – mówi.

Przekonuje też, że miał w sieci skontaktować się z nim inny mężczyzna, który również rzekomo był szantażowany. To, jak mówi, jest jednak już inne postępowanie. – Nie widziałem tej kobiety od 2023 roku – dodaje emerytowany medyk.

Nieoficjalny głos z prokuratury: – Status tej kobiety w śledztwie nie jest tak jednoznaczny, jak to się może wydawać. Jej motywy były skomplikowane. Mogła być przekonana, że nie wyrządza krzywdy dziecku. Jej postępowanie mogło wynikać z pewnych deficytów poznawczych.

Co działo się z materiałami, które – jak wynika z zarzutów – miały być nagrywane przez Laurę? Czy dostały się w inne ręce? Z tym pytaniem zwracam się do Prokuratury Okręgowej w Bydgoszczy, która nadzoruje postępowanie w sprawie Tomasza P. Pytam również, czy wątek domniemanej działalności Laury jest również badany w kontekście tego śledztwa. Otrzymuję zapewnienie, że zostanie to sprawdzone.

©℗

Z uwagi na charakter sprawy i dobro poszkodowanej osoby nieletniej nie podajemy szczegółów prowadzonego śledztwa.

ADAM LIS
zastępca szefa Prokuratury Rejonowej Bydgoszcz-Północ

Przemoc wobec dzieci

Według najnowszych danych i analiz publikowanych przez Komisję Europejską oraz Wspólne Centrum Badawcze w Europie nawet jedno na pięcioro dzieci pada ofiarą jakiejś przemocy lub wykorzystania seksualnego.

– Za każdą taką liczbą stoi konkretne dziecko, jego bezpieczeństwo, relacja z dorosłym i często długofalowe konsekwencje, które ciągną się przez całe jego życie – mówi Monika Herman, kierownik organizacji służby Wydziału Prewencji Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy, ekspert w obszarze przeciwdziałania przemocy domowej.

Te słowa padły podczas konferencji „Zjawisko wykorzystania seksualnego dzieci", która odbyła się w urzędzie wojewódzkim w Bydgoszczy 21 września.

– Nasze statystyki, czyli organów ścigania, nie pokazują pełnej skali zjawiska. Są zupełnie odmienne od tego, co będą prezentowały badania naukowe czy badania fundacji. Dlaczego? Dlatego, że większość dzieci nie mówi, że większość sytuacji mimo wszystko nie jest zgłaszana – dodaje. Jak podkreśla, od wielu lat również widać, że rodzaj przemocy seksualnej, jej charakter zmienia się. Przestępstwa te przeszły w „cyberzachowanie" i wykorzystanie seksualne za pomocą cybernarzędzi. W 2010 roku zanotowano 1 milion zgłoszeń dotyczących internetowej przemocy seksualnej. W 2025 roku było ich już 23 mln.

Z danych fundacji Dajemy Dzieciom Siłę wynika, że aż 26 proc. badanych nastolatków deklarowało doświadczenie przemocy seksualnej bez kontaktu fizycznego. 8 proc. przemocy seksualnej – z kontaktem fizycznym.

Z danych policji: w 2025 roku wszczęto w całym wojewódzkie kujawsko-pomorskim 186 takich spraw. Stwierdzono 93 przestępstwa. Dla policji, zaznaczała Herman, ważne jest, jak szybko uda się zabezpieczyć materiał dowodowy, czy uda się wskazać sprawstwo i potem doprowadzić do aktu oskarżenia. Statystyki wskazują również, że najczęściej ofiarami padają dziewczynki.

eprasa.pl 2b902aabc5

AKCJA ŁATWOGANGA

Gdy walczysz o życie swojego dziecka, nie ma już czasu na lęk. Nie możesz pozwolić sobie na rozpacz

Rozmowa z Anną Tocką, mamą 9-letniego Maksa, dla którego Łatwogang zebrał ponad 12 mln zł na terapię genową dystrofii mięśniowej Duchenne'a

Marlena Bogdan-Marut

Zacznijmy od akcji Łatwoganga. To był fenomen na całą Polskę. To on Was znalazł czy Wy jego?

To był zbieg różnych okoliczności, których do końca tak naprawdę nie poznaliśmy. Mama Piotrka (Piotr Hancke – przyp. red.), która jest jego menedżerką, powiedziała nam, że Piotrek codziennie dostaje tysiące maili z prośbą o pomoc. Dlaczego spośród nich wszystkich zdecydował się pomóc akurat Maksowi? Tego nie wiem. Co ciekawe, to nawet nie my wysłaliśmy do niego maila, tylko ktoś z naszych znajomych.

Można powiedzieć: siła wyższa?

Tak. Tak miało być. W sumie można mówić, że to cud.

Uporządkujmy trochę informacje. Choroba Maksa to dystrofia mięśniowa Duchenne'a. Jego organizm nie produkuje dystrofiny, czyli takiego „rusztowania" dla mięśni. Przez to mięśnie słabną i z czasem przestają działać – to najprostsze wyjaśnienie tej skomplikowanej choroby. A przecież serce to mięsień, płuca do pracy również potrzebują mięśni… To postępująca choroba genetyczna, która dotyka przede wszystkim chłopców. Terapia genowa kosztuje około 16 milionów złotych.

Około, bo tak naprawdę cena jest różna w zależności od stanu dziecka. Każda terapia jest opracowywana dla konkretnego pacjenta. Kwota zależy też od liczby badań, które dziecko musi mieć wykonane przed podaniem terapii i później. Dlatego koszt może się różnić i w poszczególnych zbiórkach być inny.

To terapia celowana?

Tak, pod konkretny organizm. Ma sprowokować organizm do tego, żeby zaczął tworzyć coś, co przypomina krótszy łańcuch dystrofiny, tzw. mikrodystrofinę. Lekarze mówią, że w najlepszym przypadku organizm może wyprodukować nawet do 70 procent składnika, który przypomina dystrofinę. To już może wystarczyć, żeby organizm mógł normalnie funkcjonować.

FOT. BARBARA GALAS

Nie ma czasu na strach. Trzeba podjąć walkę. Zwłaszcza że obok jest dziecko, które widzi, że coś się dzieje

Cofnijmy się do początku. Dostajecie diagnozę, że Maks jest chory. Co się wtedy czuje?

Przede wszystkim niedowierzanie. Ja bardzo długo nie mogłam pogodzić się z tą diagnozą. Myślałam, że to jakaś pomyłka. Powtarzaliśmy badania, bo nie mogliśmy uwierzyć, że to naprawdę dotyczy naszego dziecka.

Nigdy wcześniej nie słyszałam o tej chorobie. Zaczęłam więc szperać w internecie, czytać, dowiadywać się wszystkiego na jej temat. I im więcej wiedziałam, tym było trudniej. Bo kiedy dowiedzieliśmy się, że Maks jest chory, nie było jeszcze tej terapii. Nie było żadnej nadziei.

Najgorsze było chyba to, że żaden lekarz, u którego byliśmy – ani w Polsce, ani za granicą – nie powiedział nam: „Słuchajcie, da się z tym jakoś żyć". Słyszeliśmy tylko, że możemy ćwiczyć, korzystać z rehabilitacji, robić wszystko, żeby Maks jak najdłużej pozostał sprawny.

To bardzo okrutna, powolna choroba, która krok po kroku zabiera dziecku sprawność. A jeśli dziecko dożyje dorosłości, jest zdane na pomoc drugiej osoby, najczęściej rodziców. I jako rodzic masz świadomość, że właśnie taka przyszłość może czekać twoje dziecko.

Myślę sobie, że Wy nawet nie mieliście czasu na to, żeby pozwolić sobie na chwilę strachu, bo trzeba było działać.

Nie mogliśmy sobie pozwolić na rozpacz. Wiedzieliśmy, że chorobę wykryliśmy późno – Maks miał już pięć lat – i że musimy jak najszybciej zacząć rehabilitację, jeździć do lekarzy, konsultować się ze specjalistami, kardiologami, pulmonologami. Robić wszystko, żeby jak najbardziej spowolnić chorobę.

Oczywiście był moment, kiedy wypłakaliśmy się i byliśmy obrażeni na cały świat, na Pana Boga i na wszystkich dookoła. Pytaliśmy: dlaczego my? Ale szybko zebraliśmy się do kupy. Powiedzieliśmy sobie, że nie ma na co czekać, trzeba działać.

Jeździliśmy wszędzie, gdzie się dało, i robiliśmy wszystko, co mogliśmy, żeby mu pomóc.

Czyli przełączyliście się w tryb działania?

Tak. Nie ma czasu na strach. Trzeba po prostu podjąć walkę. Tym bardziej że cały czas obok jest dziecko, które widzi, że coś się dzieje.

Maks wcześniej był okazem zdrowia. Nagle widział, że jeździmy po lekarzach, że wychodzimy z wizyt zapłakani. Widział

eprasa.pl 2b902aabc5

i rozumiał, że coś jest nie tak. Dlatego dla niego też musieliśmy być silni. Kiedy był z nami, staraliśmy się być uśmiechnięci, żeby nie pokazywać mu naszego strachu.

Przyznam, że Maks bardzo długo nie znał całej diagnozy. Nie powiedzieliśmy mu, co się dzieje, praktycznie do założenia zbiórki w październiku ubiegłego roku. Wiedział, że coś jest nie tak, ale wyszliśmy z założenia – nie wiem, słusznie czy nie – że nie chcemy zabierać Maksowi dzieciństwa. Cały czas wierzyliśmy, że znajdzie się coś, co uchroni go przed konsekwencjami tej choroby.

Dziś Maks ma 9 lat i dostęp do internetu. Podczas zbiórki dowiedział się bardzo dużo o tej chorobie, pewnie więcej, niż byśmy chcieli. Ale cały czas mu mówimy: „Maks, udało się zebrać pieniądze, dostaniesz tę terapię, będzie dobrze".

Jak właściwie doszło do tego, że zaczęliście robić Maksowi badania?

Trafiliśmy do lekarza zupełnie przypadkowo. Maks zaczął mieć koślawe stopy. Lekarz stwierdził, że ma przykurcze, czego my jako rodzice nie widzieliśmy. W międzyczasie Maks dostał zapalenia płuc i trafiliśmy do szpitala. Tam wykonano szczegółowe badania. Wyszły bardzo podniesione próby wątrobowe i kinaza sercowa. To dało lekarzom sygnał, że trzeba rozszerzyć diagnostykę. Z tymi wynikami trafiliśmy do neurologa i wtedy po raz pierwszy pojawiło się podejrzenie dystrofii mięśniowej. Na badanie genetyczne czekaliśmy trzy miesiące.

Wyniku nigdy nie zapomnę. Dostaliśmy go tuż przed świętami Bożego Narodzenia. To były chyba najgorsze święta, jakie można sobie wyobrazić.

W dodatku dowiadujecie się, że jest terapia, która może wyhamować rozwój choroby, ale kosztuje 16 mln zł. Ruszyła zbiórka, ludzie się nią interesowali, byli aktywni, ale z czasem zainteresowanie malało i w końcu licznik się zatrzymał. Co się wtedy czuje?

Zwątpienie. Myślę, że mieliśmy szczęście w nieszczęściu, można tak powiedzieć, że mieszkamy w powiecie leskim, w takich „małych Bieszczadach", bo całe Bieszczady zaangażowały się w naszą zbiórkę. W ciągu czterech miesięcy zebraliśmy 3,5 miliona złotych. To ogromna kwota. Ale możliwości naszej lokalnej społeczności też zaczęły się wyczerpywać. Organizowano przeróżne imprezy, robiono wszystko, co tylko można było zrobić. A jednak licznik stanął.

Nie mieliśmy pomysłu, jak wybić się dalej, poza Podkarpacie.

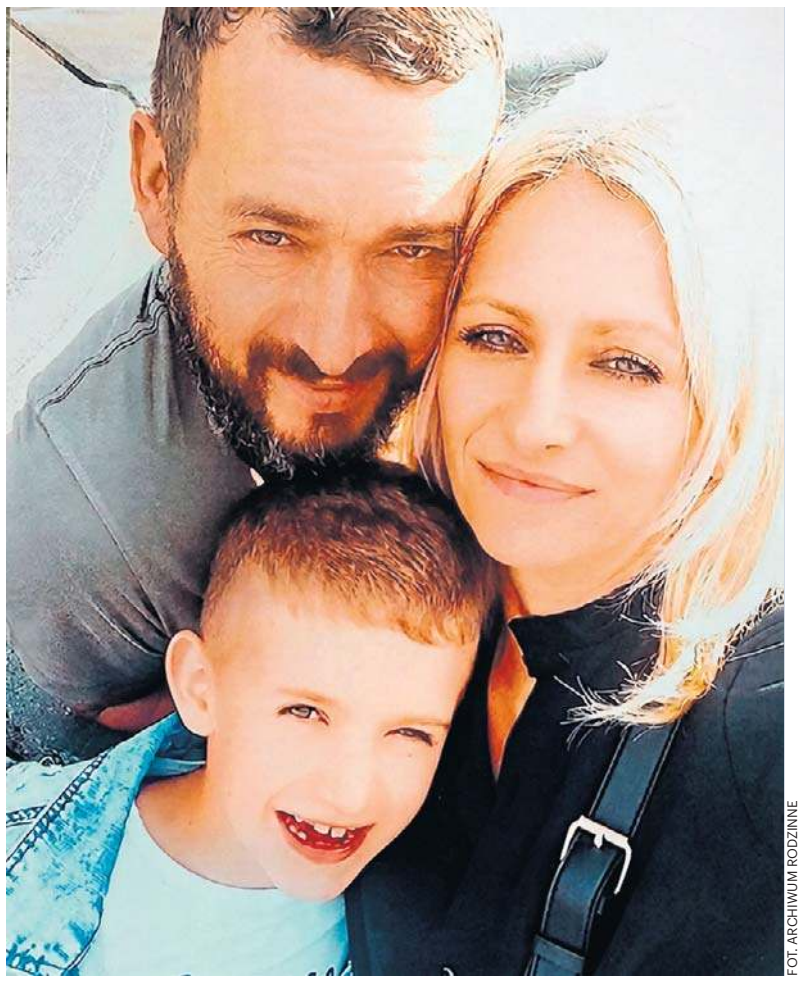

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Nagle odezwała się mama Piotrka: Piotrek wybrał Waszego Maksa

Rzeszów również bardzo dużo dla nas zrobił, ale potrzeba było czegoś więcej. Zastanawialiśmy się, gdzie możemy uderzyć. Pisaliśmy do różnych dużych fundacji, do telewizji, ale takich zbiórek jak nasza w całej Polsce jest naprawdę bardzo dużo. Przebić się gdzieś graniczyłoby z cudem.

I właśnie w czasie naszego największego zwątpienia pojawił się Piotrek. To był początek maja. Wtedy naprawdę trochę już się poddawaliśmy. Zastanawialiśmy się, co jeszcze możemy zrobić. A czas nas gonił, bo w dystrofii odgrywa on ogromną rolę. Terapię trzeba podać w określonym czasie, nie można czekać długo.

Maks ma 9 lat. Niektórzy chłopcy w jego wieku już siedzą na wózku, a Maks jeszcze chodzi. Zdawaliśmy sobie z tego sprawę. To nie jest choroba, przy której można powiedzieć: „Spokojnie, uda się za rok, za pięć czy za dziesięć lat. Mamy czas".

Dlatego, kiedy nagle odezwała się mama Piotrka i powiedziała: „Piotrek wybrał Waszego Maksa, chcemy Wam pomóc", było to dla nas ogromnym szokiem i niedowierzaniem.

Wasza historia może być też iskierką nadziei dla innych rodziców, którzy zbierają pieniądze na leczenie swoich dzieci. Co powiedziałabyś rodzicom, którzy mają właśnie taki moment zwątpienia, kiedy licznik się zatrzymuje?

Powiedziałabym, żeby się nigdy nie poddawali i nie przestawali wierzyć. Wiem, co mówię. My też mieliśmy takie chwile. Nagle może się wydarzyć coś, może pojawić się ktoś, kto wszystko zmieni. I to jest najważniejsze.

Trzeba pukać, gdzie się da, przecierać wszystkie możliwe ścieżki. Dla nas też było to trudne. Nie było nam łatwo prosić o pieniądze. To jest przecież normalne, że człowiek nie chce prosić innych o pomoc. Ale podczas tej zbiórki nie patrzyliśmy na to przez pryzmat tego, że prosimy o coś dla siebie. Prosiliśmy dla naszego dziecka. I właśnie to powiedziałabym rodzicom: nie wolno się poddawać, bo robi się to dla swojego dziecka, a nie dla siebie.

Taka zbiórka i wystawienie się na ocenę publiczną musi być bardzo trudne. Pokazujesz nie tylko swój ból, ale też cierpienie swojego dziecka. Jak ludzie reagowali?

Podczas zbiórki spotykaliśmy się właściwie z samymi dobrymi komentarzami i opiniami. Maks był z nami wszędzie i ludzie zawsze bardzo dobrze go przyjmowali. Byli dla niego mili.

Słowa krytyki pojawiły się właściwie dopiero po zakończeniu zbiórki, kiedy nagłośniona została choroba i terapia, która nie jest dopuszczona w Europie. Nagle zaczęły pojawiać się pytania: dlaczego tyle pieniędzy, dlaczego w Stanach, dlaczego terapia nie jest dopuszczona w Europie czy w Polsce.

Czytanie takich komentarzy jest dla mnie jako rodzica bardzo trudne. Przede wszystkim dlatego, że dotyczą mojego dziecka. Zawsze powtarzam: my nie mamy możliwości wyboru. Ja nie mogę wybierać pomiędzy tym czy tamtym lekiem. My mamy to i tyle. Na chwilę obecną nie mamy czasu, żeby czekać. Mogę zrobić tylko to, co jest dostępne teraz i w co święcie wierzę, jest dobre dla mojego dziecka. I to robię.

Pojawiały się też komentarze, że po zakończeniu zbiórki zniknęliśmy. To nieprawda. Rzeczywiście trochę się wyciszyliśmy, ale po takiej zbiórce potrzebowaliśmy też odpocząć. Podczas niej byłam bardzo aktywna w mediach społecznościowych, ciągle pisałam, dziękowałam za każdą pomoc. Teraz musiałam trochę odpocząć i dać odpocząć Maksowi.

To nie znaczy, że się ukrywamy. Cały czas informujemy i będziemy informować o tym, co się dzieje. Wiemy, że ogrom ludzi przyczyniło się do tego, żeby Maks mógł przyjąć tę terapię.

Zakończenie zbiórki nie oznacza też końca walki. Teraz przed Wami kolejny etap – terapia w Stanach Zjednoczonych.

Tak. Jeden etap się zakończył, bo na szczęście udało nam się zebrać pieniądze. Ale teraz mamy kolejny: podanie terapii, tysiące badań, tysiące telefonów wykonanych do kliniki.

W Chicago Maks będzie miał podaną terapię. Jest ogrom stresu i ogrom niepewności. To nie jest tak, że po zakończeniu zbiórki wszystko się skończyło. Maks będzie musiał przechodzić badania jeszcze długo po podaniu terapii. Będzie musiał przyjąć nowy lek, który na chwilę obecną nie jest refundowany w Polsce. Liczymy na to, że się to zmieni. Będzie musiał być pod stałą opieką lekarzy jeszcze przez bardzo długi czas. Na chwilę obecną po prostu robimy to, co możemy.

Wróćmy jeszcze do samych zbiórek. Na początku jest ogromne zainteresowanie, działa efekt kuli śnieżnej, media społecznościowe i algorytmy. Potem uwaga ludzi spada. Co powiedziałabyś osobom, które myślą: „Co zmieni moje 5 czy 10 złotych, skoro do celu jest jeszcze tak daleko"?

Powiem tak: jeżeli każda osoba, która widzi zbiórkę, wpłaci 5 czy 10 złotych, a takich osób będzie dziesięć tysięcy, sto tysięcy czy milion, to robi się z tego ogromna kwota. My cieszyliśmy się z każdej wpłaty, bo to właśnie te niewielkie kwoty robiły dużą różnicę. Nie liczyliśmy na to, że nagle pojawi się ktoś, kto wpłaci kilka tysięcy. To mało realne. To właśnie wiele pojedynczych wpłat złożyło się na całość. Warto o tym pamiętać, kiedy widzimy apel o pomoc.

A jeżeli nie możesz wpłacić, to chociaż podaj zbiórkę dalej. Ktoś, kto ją zobaczy, może wpłacić, a potem przekazać ją kolejnym osobom. To działa lawinowo.

Wyjaśnijmy jeszcze jedną rzecz. Ludziom może się wydawać, że zebrane na terapię miliony po prostu trafiły na Wasze konto. Jak to wygląda w praktyce?

Nie, absolutnie tak się nie dzieje. Wszystkie pieniądze trafiły na zrzutkę. Od początku zbieraliśmy na leczenie Maksa pieniądze przez Siepomaga.

Po zamknięciu zbiórki i zaksięgowaniu pieniędzy Siepomaga opłaca wszystkie faktury i wysyła pieniądze do Chicago. Przez nasze ręce nie przechodzi nic.

Wszystko musi być udokumentowane, na wszystko musimy mieć fakturę. Pieniądze trafiają bezpośrednio do danego szpitala czy instytucji za konkretne leczenie albo badanie. Tak to działa.

Co teraz? Jesteście już na ostatniej prostej przed wylotem.

Mamy bilet na 4 października do Chicago. 6 października pierwsza wizyta w szpitalu. Będą badania i jeśli wszystko dobrze pójdzie, miejmy nadzieję, że około dwóch–trzech tygodni po przylocie do Chicago Maks będzie miał podaną terapię.

Zostajemy w Chicago od 3,5 do 4 miesięcy, bo takie są wymogi szpitala. Wszystko jest monitorowane. I właściwie bardzo się cieszę, że to tak długo trwa, bo będziemy mogli wrócić do Polski z poczuciem, że wszystko jest dobrze. Później oczywiście będziemy musieli dalej konsultować stan zdrowia Maksa z lekarzami w Polsce i robić badania.

Ale najważniejszy krok, spełnienie naszego marzenia, jest już blisko. To jeszcze nie minął rok od momentu, kiedy założyliśmy zbiórkę. Wtedy wydawało nam się to niemożliwe. A dziś stało się realne. Ogromnie się z tego cieszymy, chociaż cały czas jest lęk i niepewność. To nasze dziecko, chodzi o jego zdrowie i życie. Każdy rodzic chyba rozumie, o czym mówię.

Aniu, dziękuję Ci za tę rozmowę. Trzymamy za Was kciuki i życzymy, żeby kolejny rozdział tej historii przyniósł już tylko dobre wiadomości.

Dziękuję bardzo. ©℗

eprasa.pl 2b902aabc5

BEZPIECZEŃSTWO POLSKI

Gen. Stanisław Koziej: Stała baza USA w Polsce zmieni rosyjskie kalkulacje, ale nie zatrzyma wojny hybrydowej

Stała baza nie będzie miała większego znaczenia operacyjnego w przeciwdziałaniu agresji hybrydowej. Ma znaczenie strategiczne: wzmacnia odstraszanie Rosji przed jawną agresją zbrojną na Polskę. Najważniejszą wartością Sojuszu jest niedopuszczenie do wybuchu wojny – mówi gen. Stanisław Koziej

Anita Czupryn

Stała amerykańska baza w Polsce jest już sprawą przesądzoną? Donald Trump mówiło „znaczących postępach", ale dodał, że „jeśli do tego dojdzie". Jak to rozumieć?

Oczywiście, nie jest przesądzona. To wciąż szansa, ale nie pewnik. Na sprawę bazy w Polsce musimy spojrzeć szerzej, w kontekście amerykańskich planów dotyczących obecności wojskowej w całej Europie. Polska baza jest tylko małym elementem większej układanki. Jej przyszłość zależy od strategicznego przeglądu, który Amerykanie mają zakończyć przed końcem roku, być może w listopadzie lub grudniu. Jego wyniki, wnioski i rekomendacje zostaną przedstawione prezydentowi Trumpowi, który będzie musiał je zatwierdzić. To także wymaga czasu. Dlatego nie sądzę, aby ostateczna decyzja w sprawie bazy zapadła jeszcze w tym roku.

Co więc zdecyduje o tym, czy baza powstanie i jaki będzie miała charakter?

Musimy pamiętać, że będzie ona pochodną szerszego amerykańskiego planu redukcji i redyslokacji sił w Europie. Na ten plan wpłyną przede wszystkim trzy czynniki. Pierwszym są Chiny, które stanowią główny punkt odniesienia w globalnej strategii Stanów Zjednoczonych. Możemy być niemal pewni, że liczebność amerykańskich wojsk w Europie zostanie zmniejszona, ponieważ USA potrzebują części tych sił do realizacji swojego priorytetowego zadania, jakim jest rywalizacja z Chinami. Drugi czynnik wynika z polityki Donalda Trumpa. Prezydent wielokrotnie wyrażał niezadowolenie z postawy niektórych państw europejskich, między innymi z powodu ich niewystarczającego wsparcia dla Stanów Zjednoczonych w wojnie z Iranem. Można się zatem liczyć z tym, że część sił stacjonujących obecnie w Niemczech lub Hiszpanii zostanie stamtąd wycofana. Niektóre z tych jednostek mogą zostać przeniesione na wschodnią flankę NATO. Jeśli powstanie baza w Polsce, być może trafi do niej właśnie część wojsk stacjonujących dotychczas w Europie Zachodniej. Trzecim czynnikiem jest Rosja. Kształt bazy w Polsce będzie w dużej mierze zależał od tego, jak Amerykanie zechcą układać swoje stosunki z Moskwą w globalnej grze. My patrzymy na Rosję przede wszystkim przez pryzmat regionalnego zagrożenia i jej agresji na Ukrainę. Waszyngton patrzy szerzej. Dlatego sądzę, że ewentualna baza będzie z jednej strony sygnalizowała Rosji amerykańskie zainteresowanie naszym regionem, z drugiej zaś nie będzie jej nadmiernie drażniła i zostawi Stanom Zjednoczonym możliwość prowadzenia elastycznej polityki wobec Moskwy. Te trzy czynniki zdecydują, czy baza powstanie, kiedy to nastąpi i jakie wojska zostaną w niej ulokowane.

Skupmy się na tym, czego potrzebuje Polska. Mamy już amerykański garnizon, wysunięte dowództwo V Korpusu i około dziesięciu tysięcy żołnierzy USA, przede wszystkim rotacyjnych. Czego nadal brakuje? I co właściwie zmienia to słowo „stała", jeśli chodzi o amerykańską bazę?

Odpowiedź na drugą część pytania jest łatwiejsza. Stała baza jest korzystniejsza i z punktu widzenia Polski, i całej strategii NATO, bezpieczeństwa Sojuszu i odstraszania Rosji. Taka obecność ma trwały charakter i trudno ją zmienić w krótkim czasie. Znacznie łatwiej wycofać wojska stacjonujące rotacyjnie: jeden oddział przyjeżdża na określony czas, później wraca, a zastępuje go następny. Na podobnej zasadzie Polska wysyłała swoje kontyngenty do Afganistanu. Taką rotację można przerwać, po prostu nie przysyłając kolejnego oddziału. Niedawno wstrzymano przyjazd kilku tysięcy amerykańskich żołnierzy i do tej pory do Polski nie dotarli. Bardziej złożona jest odpowiedź na pytanie, czego chciałaby Polska i czego rzeczywiście potrzebuje. Stała baza oznacza natomiast, że są tu nie tylko żołnierze, którzy mogą spakować plecaki i odlecieć, ale również są ich rodziny, które mieszkają, pracują, a ich dzieci chodzą do szkół. Wycofanie całego kontyngentu wojskowo-cywilnego jest znacznie trudniejsze. Nie można tego zrobić z dnia na dzień. Pamiętamy, że Donald Trump chciał szybko wycofać część żołnierzy z Niemiec, aby w ten sposób ukarać ten kraj. Ostatecznie do tego nie doszło, między innymi dlatego, że Amerykanie stacjonują tam na stałe. Istnienie stałej bazy musi być uwzględnione w kalkulacjach potencjalnego agresora. Rosja, rozważając atak na Polskę, wiedziałaby, że na naszym terytorium na pewno znajdują się amerykańscy żołnierze. Musiałaby brać pod uwagę, że uderzy także w nich. Właśnie dlatego zależy nam, aby jak najwięcej sił USA stacjonowało tutaj na stałe. Ewentualna agresja na terytorium Polski oznaczałaby, że rosyjskie wojska spotkają tutaj Amerykanów albo będą musiały zaatakować ich rakietami czy bombami. Dla Rosji byłby to trwały element sytuacji, którego nie mogłaby pominąć w swoich kalkulacjach. Dobrym przykładem jest baza w Redzikowie. Została trwale osadzona w terenie wraz z żołnierzami, instalacjami i urządzeniami. Nie da się jej w kilka dni załadować na okręt i wywieźć. Taki stopień zakorzenienia ma bardzo duże znaczenie dla odstraszania.

Skoro żołnierze przyjechaliby z rodzinami, potrzebne byłyby mieszkania, szkoły, przedszkola, przychodnie i sklepy. Czy wokół bazy powstałoby całe amerykańskie miasteczko? Gdzie uczyłyby się dzieci żołnierzy?

Na tym właśnie polega istota stałej obecności. Nie chodzi tylko o bazę, lecz o amerykański garnizon: o instalacje wojskowe, sprzęt, uzbrojenie i żołnierzy, a także całe zaplecze, które w normalnych warunkach towarzyszy zawodowej armii. Żołnierze i ich rodziny muszą żyć, normalnie funkcjonować. W naszym interesie leży jednak to, aby taki garnizon był silnie związany z lokalną społecznością. Dobrze byłoby, gdyby w mieście położonym w pobliżu bazy jedna lub dwie polskie szkoły prowadziły również nauczanie w języku angielskim. Wtedy amerykańskie dzieci mogłyby uczyć się w naszych placówkach, zamiast w szkołach przeznaczonych wyłącznie dla nich. Jeszcze mocniej wiązałoby to amerykański garnizon z Polską. Byłaby to inwestycja nie tylko w koszary, magazyny, w infrastrukturę wojskową, lecz także w organizację życia społecznego całego regionu. Wokół garnizonu pojawiłyby się przecież rozmaite instytucje i usługi potrzebne zarówno żołnierzom, jak i towarzyszącym im cywilom. Skala tego przedsięwzięcia wykraczałaby daleko poza samo ogrodzenie bazy.

W doniesieniach medialnych pojawiają się Wrocław i Oleśnica. Dlaczego baza, która ma wzmacniać wschodnią flankę NATO, miałaby powstać na zachodzie Polski?

Spróbujmy spojrzeć na to analitycznie. Amerykanie mówią, że chcą stopniowo przekazać Europejczykom odpowiedzialność za konwencjonalną obronę kontynentu, zachowując dla siebie przede wszystkim wsparcie strategiczne w tych dziedzinach, w których państwa europejskie nie mają jeszcze wystarczających zdolności. Ciężar tradycyjnej obrony lądowej mają w coraz większym stopniu przejmować europejscy członkowie NATO. W Sojuszu przyjęto wizję określaną jako NATO 3.0. Europejczycy mają odpowiadać w większym stopniu za konwencjonalną obronę Europy, a Amerykanie zapewniać między innymi odstraszanie nuklearne oraz wsparcie powietrzne, wywiadowcze i satelitarne. Jeśli tak spojrzymy na przyszłą bazę, trudno zakładać, że Stany Zjednoczone rozmieszczą w niej przede wszystkim duże siły lądowe, na przykład brygadę pancerną. Nie jest to wykluczone; jeżeli jakaś jednostka zmechanizowana lub pancerna zostanie wycofana z Niemiec, może trafić do Polski. Ale bardziej prawdopodobne wydaje się ulokowanie u nas zdolności o znaczeniu strategicznym. Z polskiego punktu widzenia najlepszym rozwiązaniem byłaby amerykańska brygada pancerna rozmieszczona w rejonie przesmyku suwalskiego. Korzystny byłby również batalion rakiet dalekiego zasięgu, na przykład z pociskami Tomahawk, ulokowany w głębi kraju. Jeszcze większe znaczenie odstraszające miałyby środki zdolne do przenoszenia broni jądrowej. Nie wiem jednak, czy polskie władze przedstawiają Amerykanom tego rodzaju oczekiwania. Gdybym doradzał negocjatorom, sugerowałbym rozpoczęcie rozmów od wysokiego poziomu ambicji. Nie twierdzę, że wszystkie te oczekiwania da się spełnić dosłownie. W negocjacjach warto jednak zaczynać od wysokiego C i przedstawiać rozwiązania, które z polskiego punktu widzenia maksymalnie wzmacniałyby odstraszanie. Musimy jednocześnie mieć świadomość, że rozmieszczenie brygady pancernej bezpośrednio przy przesmyku suwalskim nie musi leżeć w interesie Stanów Zjednoczonych. Dlatego nie wiemy jeszcze, jaki rodzaj wojsk mógłby znaleźć się w nowej bazie. Mogłyby to być siły pancerne lub zmechanizowane, ale równie dobrze jednostka logistyczna, lotnicza, rakietowa albo pułk śmigłowców. Z polskiego punktu widzenia szczególnie wartościowa byłaby obecność systemów dalekiego zasięgu lub samolotów przystosowanych do przenoszenia amerykańskiej broni jądrowej. Dopóki Stany Zjednoczone nie zakończą przeglądu i nie zdecydują, które jednostki wycofają z Europy, a które tutaj pozostawią, trudno odpowiedzialnie przesądzać, co może trafić na wschodnią flankę.

eprasa.pl 2b902aabc5

Pojawiają się różne liczby: pięć tysięcy żołnierzy w samej bazie, od 11 do 15 tysięcy Amerykanów w całej Polsce, a wraz z rodzinami nawet 25 tysięcy osób. Które z tych szacunków uważa pan za wiarygodne?

Nie mam podstaw, aby to rozstrzygnąć. Na obecnym etapie byłoby to wróżenie z fusów. Jeżeli takie liczby podaje wiceminister obrony narodowej, zapewne opiera się na jakiejś wiedzy, choć mogą one równie dobrze opisywać polskie oczekiwania, a nie ustalenia ze stroną amerykańską. Można przeprowadzić proste wyliczenie. Dotychczas w Polsce rotacyjnie stacjonowało około dziesięciu tysięcy Amerykanów. Jeżeli dołączyłaby do nich nowa jednostka wielkości brygady, a więc kolejne kilka tysięcy wojskowych, otrzymalibyśmy w najbardziej korzystnym dla nas wariancie około 15 tysięcy żołnierzy. Do tego trzeba doliczyć rodziny oraz personel cywilny związany z funkcjonowaniem garnizonu. Łącznie mogłoby to oznaczać kilkanaście tysięcy wojskowych i dodatkowo kilka tysięcy amerykańskich cywilów. Dziś jest to jednak jedynie możliwy scenariusz.

Kto dowodziłby bazą w czasie pokoju, a kto w chwili kryzysu lub wojny? Polskie władze miałyby wpływ na to, jakie jednostki i uzbrojenie u nas stacjonują oraz do jakich operacji są wykorzystywane?

Jednostką amerykańską mogą dowodzić wyłącznie Amerykanie. Tak zorganizowany jest również system dowodzenia siłami NATO: amerykański dowódca nie podlega dowódcy innego państwa, lecz pozostaje w amerykańskim łańcuchu dowodzenia aż do najwyższego szczebla. Podobnie byłoby z bazą w Polsce. Stacjonująca w niej jednostka działałaby w ramach systemu dowodzenia Stanów Zjednoczonych. Decyzje dotyczące jej użycia w czasie wojny, albo nieużycia, należałyby do strony amerykańskiej. Polska może natomiast uzyskać taki wpływ na zasady funkcjonowania bazy, jaki wynegocjuje przed jej utworzeniem. Już zadeklarowaliśmy, że jesteśmy gotowi ją zbudować. To mogło być dla Donalda Trumpa ważną zachętą: Amerykanie otrzymaliby infrastrukturę i ponosiliby później przede wszystkim koszty własnej obecności.

Polska ma przeznaczyć na budowę 15–17 miliardów złotych.

Uważam, że warto zainwestować takie pieniądze, jeśli rzeczywiście doprowadzi to do trwałej obecności amerykańskiej. Trzeba jednak bardzo twardo wynegocjować prawne zasady pobytu żołnierzy USA w Polsce. Mamy już doświadczenia z rozmów dotyczących bazy w Redzikowie. Trzeba ustalić między innymi reguły jurysdykcji: co się dzieje, kiedy amerykański żołnierz popełnia na terytorium Polski wykroczenie lub przestępstwo, choćby przekracza prędkość; kiedy może zatrzymać go polska policja i przed jakim sądem powinien odpowiadać. Amerykanie zwykle starają się o to, aby ich żołnierze podlegali przede wszystkim amerykańskiemu wymiarowi sprawiedliwości. Przy negocjacjach dotyczących Redzikowa właśnie takie kwestie były przedmiotem wielu trudnych rozmów i sporów. Nie jestem specjalistą od wszystkich prawnych i logistycznych aspektów funkcjonowania zagranicznych baz, ale jedno jest pewne: warunki obecności musimy negocjować stanowczo. Nie może być tak, że zapraszamy Amerykanów, finansujemy bazę, a później pozostawiamy im pełną swobodę działania na terytorium Polski.

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Gen. Koziej: Kształt bazy w Polsce będzie w dużej mierze zależał od tego, jak Amerykanie zechcą układać swoje stosunki z Moskwą w globalnej grze

Spotkałam się z określeniem, że w Polsce może powstać „drugi Ramstein". Czy takie porównanie ma sens? Ramstein jest wielkim węzłem lotniczym i centrum dowodzenia, a tutaj mówimy o bazie wojsk lądowych USA.

Ramstein jest miejscem wyjątkowym w skali Europy, potężną bazą oraz centrum lotniczym, logistycznym i dowódczym. Obiekt równie wielki na pewno w Polsce nie powstanie. Nie można jednak wykluczyć, że polska baza będzie miała charakter lotniczy. Jeżeli zostałaby ulokowana w rejonie Wrocławia, mogłaby być dużym zapleczem logistycznym albo właśnie bazą lotniczą. Na odpowiedź wciąż musimy poczekać do zakończenia amerykańskiego przeglądu strategicznego. Warto przy tym jasno powiedzieć, czego taka baza nie zmieni. Najbardziej palącym zagrożeniem dla Polski jest dziś rosyjska agresja hybrydowa. Stała baza amerykańska nie zwiększy w sposób bezpośredni naszej odporności na działania prowadzone poniżej progu otwartej wojny.

I to już nie są tylko rosyjskie prowokacje.

Coraz częściej mamy do czynienia z celowo organizowanymi atakami. Rosja nie uderza z rozwiniętymi sztandarami. Działa poniżej progu otwartej agresji, a potem przekonuje, że coś wydarzyło się przypadkowo albo że nie ma z tym nic wspólnego. Takie operacje stają się coraz bardziej dokuczliwe i prawdopodobnie pozostaną najpoważniejszym bieżącym wyzwaniem w najbliższych latach. Stała baza nie będzie miała większego znaczenia operacyjnego w przeciwdziałaniu większości takich działań. Ma natomiast ogromne znaczenie strategiczne: wzmacnia odstraszanie Rosji przed podjęciem decyzji o jawnej agresji zbrojnej na Polskę. A najważniejszą wartością Sojuszu jest właśnie odstraszanie, czyli niedopuszczenie do wybuchu wojny. Do tego trwała obecność amerykańska z pewnością może się przyczynić.

Rosyjska FSB zamknęła po zmroku pięciokilometrowy pas przy granicy z Estonią. Nad Narwą rosną obawy przed kolejną prowokacją. Eksperci spodziewają się incydentów z udziałem dronów, niektórzy nie wykluczają operacji „zielonych ludzików". Czy Moskwa może przygotowywać uderzenie na państwo NATO?

Rosja już teraz prowadzi agresję hybrydową i prawdopodobnie będzie ją intensyfikowała. Będzie unikała jawnego przekroczenia progu, który mógłby uruchomić artykuł 5 traktatu północnoatlantyckiego, ale jednocześnie działała coraz bliżej tej granicy. Możemy mieć do czynienia z atakami dronowymi lub rakietowymi, po których Moskwa będzie tłumaczyła, że był to przypadek, że urządzenie nie należało do Rosji albo zostało elektronicznie przejęte i skierowane nad terytorium NATO przez Ukraińców. Nie musimy już zresztą tylko przewidywać takich operacji; one się dzieją i musimy być gotowi przeciwstawiać się im na coraz większą skalę. Scenariusz dotyczący Estonii jest analizowany od dawna. W Narwie i jej okolicach mieszka liczna mniejszość rosyjskojęzyczna, co tworzy warunki, które Rosja może próbować wykorzystać do organizowania różnego rodzaju operacji, wysyłając agentów albo werbując miejscowych wykonawców. Warunki są tam pod pewnymi względami podobne do tych, które Rosja wykorzystywała we wschodnim Donbasie i na Krymie. Może wysyłać swoich agentów albo wynajmować miejscowych ludzi gotowych uczestniczyć w takich działaniach. Podobny mechanizm obserwujemy w Polsce. Nie mamy rosyjskich „zielonych ludzików", ale pojawiają się, jak ich nazywam, „szare ludziki". Czyli miejscowi przestępcy, awanturnicy albo ludzie skuszeni łatwym zarobkiem, których rosyjskie służby wynajmują do przeprowadzania sabotażu czy podpaleń. Na pograniczu estońsko-rosyjskim takie działania mogą być jeszcze łatwiejsze do zorganizowania. Możliwe są więc intensywne incydenty dronowe, naruszenia przestrzeni powietrznej, a nawet wkroczenie niewielkiej grupy żołnierzy, którzy później będą twierdzili, że przypadkowo przekroczyli granicę. Rosja może wywołać zamieszanie, sprawdzić reakcję Estonii i NATO, a następnie się wycofać. Za znacznie mniej prawdopodobną uważam dziś otwartą agresję, w której Rosja oficjalnie atakuje terytorium NATO, czy to Estonię, czy rejon przesmyku suwalskiego. Taki scenariusz stałby się bardziej realny, gdyby Rosja zwyciężyła w wojnie przeciwko Ukrainie, między innymi zastraszając państwa NATO i skłaniając je do ograniczenia pomocy dla Kijowa. Wtedy mogłaby zdecydować się na kolejny krok. Dopóki jest związana wojną w Ukrainie, bezpośredni atak na NATO pozostaje mniej prawdopodobny. Intensyfikacja agresji hybrydowej jest natomiast niemal pewna, a jej odpieranie pozostaje bardzo trudne. Nie mamy wypracowanej spójnej doktryny obrony przed działaniami hybrydowymi. Niełatwo uruchomić artykuł 5, jeśli nie można jednoznacznie wykazać, że za danym atakiem stoi państwo rosyjskie i że doszło do agresji zbrojnej w rozumieniu prawa międzynarodowego. W takich warunkach trudno byłoby również uzyskać jednomyślność sojuszników. NATO nie ma dostatecznie rozwiniętej doktryny reagowania poniżej progu artykułu 5. Dlatego w dużej mierze musimy radzić sobie z tą agresją samodzielnie, w wymiarze krajowym. Sojusz może nas wspierać, na przykład w obronie powietrznej, ale to nadal za mało. Od dawna opowiadam się za tym, aby NATO ustanowiło wysuniętą strefę obrony powietrznej. Rakiety i drony lecące w stronę naszej granicy powinny być zwalczane jeszcze nad ukraińskim teatrem wojny, zanim naruszą polską przestrzeń powietrzną. Musimy także dostosować polskie prawo do realiów zagrożenia hybrydowego, tak aby wojsko mogło skutecznie uczestniczyć w jego zwalczaniu bez konieczności wprowadzania stanu wojennego. Dziś może pomagać Straży Granicznej lub policji, ale reguły użycia sił zbrojnych w sytuacji, która nie jest jeszcze wojną, pozostają nie dość jasne. Tymczasem przeciwnik już wykorzystuje środki przemocy, niekiedy także przemocy zbrojnej.

eprasa.pl 2b902aabc5

POLITYKA

Prof. Lewicki: Relacje z Rosją to obecnie największy problem dla Trumpa

– Wielkie mocarstwa ciągle funkcjonują, ale nie narzucają już swojej woli światu. Trump chciałby przywrócić USA rolę globalnego hegemona, ale tego nie da się zrobić. Nie mówiąc o Moskwie, z którą mało kto dziś się liczy. Przed Pekinem mamy coś w rodzaju irracjonalnego strachu, choć nie wiemy, dlaczego – mówi prof. Zbigniew Lewicki, amerykanista

Agaton Koziński

Jakie znaczenie ma wizyta Xi u Trumpa? Rutynowe spotkanie dwóch przywódców, którzy co jakiś czas muszą ze sobą rozmawiać, czy raczej wydarzenie porównywalne ze szczytami USA-ZSRR w czasie zimnej wojny?

Zdecydowanie nie porównywałbym tego do szczytów z okresu zimnej wojny. Z prostej przyczyny – w tamtym okresie cały czas wisiało nad nami ryzyko, że zimna wojna zamieni się w gorącą. Byliśmy o krok od konfrontacji atomowej. I wszyscy byli świadomi możliwości konfliktu zbrojnego.

Teraz co chwila słyszymy o napięciach wokół Tajwanu.

Tak, ale nikt tak naprawdę nie traktuje tego jako zagrożenia dla światowego pokoju. Oczywiście, nie lekceważę tej sytuacji – ale też Tajwan jest odrębnym zagadnieniem, którego rozwiązanie właściwie nie istnieje, ten problem będzie się ciągnął przynajmniej przez pokolenie. Są takie obszary na świecie, chociażby Bliski Wschód, gdzie napięcie utrzymuje się od bardzo dawna, ale nie prowadzi do wojny globalnej. Z Tajwanem jest podobnie. To nie jest miejsce, gdzie wybuchnie kolejna wojna światowa.

Co więc w pierwszej kolejności determinuje relacji Xi i Trumpa?

Chiny i Stany Zjednoczone są obecnie na etapie budowania konstruktywnej stabilizacji. Ona jest dziś bardzo potrzebna. Różnie bywało z relacjami między tymi dwoma krajami w ostatnich latach, sytuacja potrafiła być między nimi bardzo napięta. Ale w tej chwili mamy do czynienia z chęcią obu przywódców osiągnięcia stabilizacji. Choć jednocześnie na pewno nie zrezygnują oni ze wzajemnej konkurencji na wielu polach.

„Realizacja wielkiego odrodzenia narodu chińskiego i uczynienie Ameryki znów wielką mogą w pełni przebiegać równolegle, bez sprzeczności, wzajemnie się dopełniać i przynosić korzyści światu" – oświadczył Xi w pisemnym oświadczeniu po przylocie do USA.

Jest różnica między konkurencją a rywalizacją. W tej chwili nie widzę prawie żadnych elementów groźnej konfrontacji, tak jak miało to miejsce w przeszłości. Przesadzamy z twierdzeniami, że Chiny dążą do konfliktu ze Stanami Zjednoczonymi. Na pewno też USA nie zaatakują Chin. To w ogóle nie mieści się w żadnym realnym scenariuszu wydarzeń.

Jednocześnie trwa wojna na Ukrainie. Z perspektywy Chin można ją postrzegać za idealną wojnę zastępczą.

Być może jest to wojna zastępcza. Ale jeśli tak, to pytanie brzmi: co Chiny za jej pomocą chcą uzyskać? Dziś trudno to określić. Jeśli takie cele zostały rzeczywiście zakreślone, to są one znane tylko Pekinowi.

Wiadomo, że Chiny wspierają Rosję.

Na pewno Pekin nie udziela pomocy Moskwie bezinteresownie, z czystej miłości. Ale też trzeba pamiętać, że Stany Zjednoczone pozostają poza konfliktem ukraińskim. Oczywiście wspierają Ukrainę na różne sposoby, ale nie militarnie. Poza tym proszę pamiętać, że po II wojnie światowej wojen zastępczych było wiele – ale żadna z nich nie doprowadziła do bezpośredniego konfliktu między mocarstwami. W tej chwili również nie ma żadnych przesłanek, by uważać, że może dojść do militarnego konfliktu między USA a Chinami. To, że one konkurują między sobą, nie powinno dziwić, taka jest natura supermocarstw. Między mocarstwami zawsze dochodzi do spięć. Ale między spięciem a konfliktem jest naprawdę ogromna różnica.

Patrząc szerzej. Jak rozumie Pan politykę Donalda Trumpa? On generuje konflikty właściwie z całym światem, choćby z Kanadą, Meksykiem, z Europą o Grenlandię – by teraz zablokować Chinom wstęp na tę wyspę. Czemu ten styl uprawiania polityki służy?

Zatrzymajmy się chwilę przy Grenlandii, którą pan wymienił w swoim pytaniu. W drugiej połowie XIX wieku Stany Zjednoczone kupiły Alaskę. Proszę sobie wyobrazić, jak wyglądałby dzisiaj świat, gdyby Alaska była rosyjska. Sytuacja byłaby tak groźna, że nawet nie trzeba tej myśli dalej rozwijać. I to samo w tej chwili dzieje się z Grenlandią. Stany Zjednoczone nie miały innego wyjścia, nie mogły dopuścić innych sił do tej wyspy. To jest bezpośrednie sąsiedztwo USA. Chwała Trumpowi za to, że tego dokonał, w dodatku nie wywołując konfliktu.

Było zdaje się bardzo blisko niego.

Trump – jak dobry prawnik podczas negocjacji – najpierw sformułował bardzo daleko idące cele. Tak naprawdę chodzi mu jednak o coś mniejszego, ale konkretnego. Mówił o zajęciu Grenlandii, ale udało mu się uzyskać rzecz najważniejszą dla niego, czyli militarną kontrolę nad Grenlandią i niedopuszczenie tam innych państw. Amerykanie nie mogli dopuścić do tego, żeby pojawiły się tam rosyjskie lub chińskie bazy. Sama Dania jest zbyt słaba, by móc się temu przeciwstawić, więc uznała, że lepiej oddać bezpieczeństwo wyspy w ręce amerykańskie. O to Trumpowi chodziło od początku. Zachował się jak klasyczny negocjator, który na początku maksymalizuje swe żądania, by później spuścić z tonu i osiągnąć swój cel. Tylko komentatorzy zachłystywali się kreowaną przez siebie wizją amerykańskiego imperializmu. On wiedział, o co mu chodzi.

Ja potraktowałem Grenlandię jako przykład bardzo konfrontacyjnej retoryki Donalda Trumpa wobec wszystkich. On ewidentnie zraża do siebie kolejnych ludzi i traci w sondażach.

Z tymi sondażami to jeszcze zobaczymy. Do wyborów w listopadzie zostały jeszcze niemal dwa miesiące.

Sondaże pokazują, że Republikanie przegrają wybory uzupełniające.

Pewnie tak się stanie. Demokraci powinni te wybory wygrać, ponieważ prawie zawsze w wyborach „połówkowych" wygrywa partia, która nie jest w Białym Domu. To jest zasada.

W 2018 r. Trump, gdy był w połowie swojej pierwszej kadencji, przegrał.

Tak, podobnie jak zdecydowana większość prezydentów USA po II wojnie światowej. Także tu nie chodzi o fakt zwycięstwa lub porażki. Ważniejsze są rozmiary. Nie zapowiada się, by w tych wyborach doszło do katastrofy Partii Republikańskiej. Gdyby ona poniosła prawdziwą klęskę w nich, to można by mówić o realnych kłopotach Trumpa. Ale tego się absolutnie nie spodziewam. Poczekajmy spokojnie na wyniki wyborów.

Spokojnie? Z Trumpem to chyba niemożliwe – on dąży do konfrontacji przy każdej możliwej okazji.

Taką ma naturę. Nie da się z człowieka, który ma taki temperament uczynić nagle baranka. Tym bardziej że jest w tym skuteczny. Przecież on osiąga w polityce więcej niż jakikolwiek prezydent od czasów Harry'ego Trumana.

Twierdzi Pan, że Trump jest lepszym prezydentem niż choćby Ronald Reagan?

Reagan był jednokierunkowy. Rzeczywiście przyczynił się do upadku Związku Sowieckiego. Ale gdzie jeszcze odnotował sukcesy? Ani na Bliskim Wschodzie, ani nigdzie indziej. Poniósł natomiast bardzo przykrą porażkę w aferze Iran-Contras. Nawet Richard Nixon, który stworzył wybitny duet z Henrym Kissingerem, miał bardzo ograniczone sukcesy. Udało mu się wyjść z Wietnamu, przełamać lody w relacjach z Chinami i to właściwie wszystko. Tymczasem Trump działa na wielu frontach: Bliski Wschód, Ukraina, Iran, Chiny itd. I osiąga tam sukcesy, których większość komentatorów nie chce dostrzegać.

Wojnę w Iranie też uważa Pan za jego sukces?

Nie powiedziałem, że w Iranie odnosi sukces. Powiedziałem, że działa. Amerykańscy stratedzy źle obliczyli siłę irańskiego oporu. Oczywiście, Teheran nie pokonał USA, ale też przed nimi się nie ugiął. To sprawia problemy w Stanach Zjednoczonych. Nie da się osiągać sukcesów ciągle i wszędzie. Ale to, co wyróżnia prezydenturę Trumpa, to fakt, że on działa na całym świecie. Niewielu prezydentów przed nim tak szeroko zapuszczało się w rozmaite regiony świata. Łatwiej jest skoncentrować się na jednym państwie czy jednym kierunku, niż działać jednocześnie na wielu.

Jak zdefiniowałby Pan pomysł Trumpa na świat?

Jego słowami: „Make America Great Again". On chce, żeby Ameryka odzyskała status prawdziwego supermocarstwa, z którym wszyscy się liczą. Dąży do tego, żeby Ameryka znowu decydowała o losach każdego zakątka świata To mu się pewnie nie uda, ale to inna sprawa.

Nie uda mu się, bo to strasznie drogi sposób uprawiania polityki – tymczasem USA mają problem z poziomem zadłużenia, a zyski z ceł tego nie rekompensują.

Nie powiedziałbym tego. Nie mówię, że odniósł w tej kwestii pełny sukces, ale jednak rozmaite państwa ulegają jego presji. Oczywiście można stanąć okoniem jak Kanada i udawać, że jest się wielkim mocarstwem, ale to nie ma przyszłości. Amerykę cały czas stać na bardzo wiele rzeczy – choćby dlatego, że może bez konsekwencji powiększać swój dług, w ogóle się tym nie przejmując. Mówimy o kraju dysponującym ogromnym bogactwem, zarówno państwowym, jak i indywidualnym, co ma duże znaczenie w porównaniu z wieloma innymi państwami. Rosja nie jest państwem bogatym ani indywidualnie, ani państwowo. Chiny być może są bogate państwowo, ale na pewno nie indywidualnie. To właśnie czyni USA wyjątkowymi. Trump zdaje sobie z tego sprawę. I tym gra.

eprasa.pl 2b902aabc5

FOT. JPAP/EPA/AL DRAGO / POOL

Lewicki: Chiny i USA są obecnie na etapie budowania konstruktywnej stabilizacji. Choć jednocześnie na pewno oba kraje nie zrezygnują z wzajemnej konkurencji na wielu polach

Myśli Pan, że Amerykanie rzeczywiście chcą takiej gry? Demokraci im obiecują spokój. I sam Pan mówi, że pewnie wygrają w wyborach uzupełniających.

Tylko że ten spokój byłby naprawdę dla nas wszystkich piekielnie niebezpieczny. Gdyby Stany Zjednoczone przestały interesować się światem, rozpętałoby się piekło. Putin w ogóle nie musiałby się wtedy niczego obawiać. Podobnie Xi Jinping. Nie, nawet o tym nie myślmy. Zresztą nie musimy, bo na szczęście amerykańscy politycy też tego nie chcą. Owszem, przeciętny Amerykanin pewnie woli żyć w wygodzie i dobrobycie, ale to nie on kształtuje politykę amerykańską. Ci, którzy ją kształtują, rozumieją, jak wielkie jest znaczenie Stanów Zjednoczonych dla całego świata.

Amerykańscy politycy będą też decydować o tym, czy w Polsce powstanie amerykańska baza wojskowa. Zrobią to?

Przyglądam się temu z uśmiechem. Po pierwsze, bądźmy realistami. Kiedy Stany Zjednoczone zdecydowały się na budowę dwóch baz wojskowych na Grenlandii, jednej właściwie od zera, a drugą trzeba będzie poprawić, to czy naprawdę mają jeszcze siły, pieniądze i ludzi na budowę bazy w Polsce?

Zapłacić ma Polska, więc potrzebne są tylko siły i ludzie.

Ale nie można robić wszystkiego wszędzie. Dla Ameryki Grenlandia jest nieporównanie ważniejsza niż Polska. Taka jest rzeczywistość. To jest zły moment, żeby naciskać na wszystko, czy będzie to Fort Trump, czy jakkolwiek go nazwiemy. To nie jest ten moment. My udajemy, że jesteśmy pępkiem świata i że nasze potrzeby stoją przed wszystkimi innymi potrzebami. Nie. To jest tylko nasz punkt widzenia, a nie punkt widzenia Waszyngtonu. Bądźmy realistami. Generałowie wymądrzają się w telewizji na okrągło, ale jeszcze żaden nie wytłumaczył mi, jaka jest naprawdę przewaga stałej bazy nad obecnością rotacyjną. Pomijam sprawy praktyczne: stała baza to pieniądze, wydatki, zatrudnienie. Ale z punktu widzenia bezpieczeństwa Polski nie jestem przekonany, że różnica jest aż tak ogromna.

Rozumiem różnicę czysto administracyjnie – stałą bazę trudniej zlikwidować niż rotacyjną.

Trudniej zlikwidować, ale można ją zamrozić. Proszę pamiętać, że prawdziwą bazę, taką jak Ramstein, buduje się przez dekady. Pamiętajmy, że w Ramstein są nie tylko żołnierze, ale też ich rodziny, szpitale, szkoły, wszystko. Tam jest mniej więcej 100 tys. ludzi. Ja naprawdę nie mam przekonania, że wszystkie osoby, które wypowiadają się na ten temat, wiedzą, o czym mówią. Polityk mówi różne głupstwa i to jest dla mnie przykład mówienia głupstw. Ważna jest stała obecność Amerykanów w Polsce, natomiast niekoniecznie musi to być stała baza. Pamiętajmy, że koszt stałej bazy obciąża kraj przyjmujący. Będziemy wydawali ogromne pieniądze i nie wiem, czy nasze bezpieczeństwo rzeczywiście się zwiększy w porównaniu z sytuacją, w której będzie kilka lokalizacji w Polsce, gdzie będą stacjonowali amerykańscy żołnierze. Polska musi sfinansować budowę elektrowni atomowej, a to nie jest tania sprawa. Mamy problemy z deficytem. I jeszcze do tego mamy płacić za stałą bazę, której przewaga nad bazą, nazwijmy ją rotacyjnie stałą, nie jest aż tak oczywista.

To, co wydarzy się z Fortem Trump, będzie przecież wypadkową relacji amerykańsko-rosyjskich. Sygnały, jak zwykle, są sprzeczne. Z jednej strony Trump zgadza się, żeby rosyjski miliarder sfinansował ślub jego syna, z drugiej nakłada na Rosję ostre sankcje. Czego właściwie Trump chce od Putina?

Relacje z Rosją to obecnie największy problem dla Trumpa. On ewidentnie nie docenił faktu, że Kreml nie może ulec jego naciskom. Putin być może zakończyłby nawet konflikt na Ukrainie, ale na pewno nie może tego zrobić pod naciskiem Amerykanów – to by go bowiem skompromitowało wewnętrznie, pokazało, że jest słabszy, że wykonuje polecenia Waszyngtonu. On po prostu nie może tego zrobić. Trzeba znaleźć rozwiązanie, przy którym Putin będzie sprawcą zakończenia konfliktu, a nie jego wykonawcą. I do tej pory to się nie udaje.

Czy sposobem jego znalezienia może się okazać szczyt Xi–Trump? Skoro Trump nie jest w stanie nacisnąć na Putina na tyle, żeby ten się cofnął, to może Xi mógłby go w ten czy inny sposób nacisnąć?

To nie te czasy. Putin, jak wszyscy wiemy, jest słaby, nie osiąga sukcesów, Ukraina go skompromitowała. Ale mimo tych wszystkich problemów on nie może sobie pozwolić na utratę twarzy. W takim systemie władzy, jaki obowiązuje w Rosji, to byłby jego koniec. Dziś Putin walczy przede wszystkim o zachowanie pozorów kompetencji, władzy i sukcesów. I nie może pozwolić, by pojawiło się przekonanie, że ktoś na niego naciska – czy to Xi, czy Trump czy ktokolwiek inny. Dlatego dziś trzeba zadać inne pytanie: czy jesteśmy w stanie znaleźć rozwiązanie, które będzie dla niego do przyjęcia z punktu widzenia wizerunkowego.

Rosja jest jednak dzisiaj bardzo uzależniona od Chin, przede wszystkim pod względem nowoczesnych technologii. Gdyby Chiny zaczęły przykręcać kurek, porażka zaczęłaby zaglądać Putinowi w oczy.

Ale jaki interes miałby w tym Xi? Jego interesem jest podtrzymywanie Rosji.

Można sobie wyobrazić cały pakiet. Ustępstwa USA wobec w Chin w zamian za zaostrzenie kursu wobec Rosji. Wszystko poniżej poziomu zainteresowania mediów.

To bardzo kuszący scenariusz, tylko niewykonalny. Zakłada bowiem racjonalne działanie mocarstw, które nie są zaprzyjaźnione i które chcą być na wierzchu. Nawet jeśli jedno coś zrobi, to drugie w czymś tam nie dowiezie – a potem zacznie się spór, kto zawinił. Jestem zwolennikiem psychologicznego podejścia do polityki zagranicznej i doceniam znaczenie osobowości w polityce zagranicznej. Ale w tej sytuacji złożoność problemu jest zbyt wysoka. Za dużo interesów jest w grze. Ten scenariusz nie jest realny.

Chińczycy są przecież bardzo uzależnieni od amerykańskiego rynku wewnętrznego.

Zgadza się. Tylko że to nie wystarczy, by nacisnąć na Putina. On bardzo dobrze zna się na jednym: na pilnowaniu własnego tyłka na Kremlu. Nie wierzę w żadne zamachy, w żadne spiski, które by go mogły pozbawić władzy. W ogóle nie ma mowy o jakimkolwiek zrywie Rosjan, To nie jest tego typu naród. Za Stalina nie było żadnych buntów i nie będzie ich teraz. Na to nie liczmy. Nie ten model. Chinom podoba się natomiast sam spór rosyjsko-amerykański, ponieważ osłabia obie strony. Pekin woli stać z boku. W ich interesie nie leży wzmacnianie któregokolwiek z tych dwóch obozów.

Opisuje Pan świat jako pogrążony w chaosie, bez wyraźnego lidera. I tak pozostanie? Czy jednak konflikty z czasem będą się radykalizować – aż dojdziemy do takiego momentu jak w czasach zimnej wojny, gdy naprzeciw siebie stały dwa potężne bloki?

Nie, nic nie wskazuje na to, żeby pojawiła się jakaś generalna idea, która ustawi państwa jednoznacznie wobec innych państw. Zresztą wygląda na to, że nawet gdyby ktoś dążył do stworzenia takich bloków, to jest to niemożliwe. Choćby w Unii Europejskiej, gdzie każdy ciągnie w swoją stronę.

Kraje UE siedzą na barykadzie: trochę z Rosją, trochę z Chinami, trochę z Ameryką.

I tak pozostanie. Wielkie mocarstwa ciągle funkcjonują, ale nie narzucają już swojej woli światu. Trump chciałby przywrócić Ameryce rolę globalnego hegemona, ale tego nie da się zrobić. A już nie mówiąc o Moskwie, z którą naprawdę mało kto dziś się liczy. Można się obawiać Rosji, tak jak my chociażby, ale między szanowaniem a liczeniem się jest przepaść. Przed Pekinem mamy z kolei coś w rodzaju irracjonalnego strachu. Nie wiemy, dlaczego, ale uważa się, że należy się bać Chin, choć przecież to państwo nikomu nie narzuca swojej woli. Taki stan rzeczy będzie się utrzymywał. A czy ten chaos doprowadzi do nowego porządku światowego? Tego już nie jestem w stanie przewidzieć.

FOT. BARTEK KOSIŃSKI

Prof. Zbigniew Lewicki

Amerykanista związany z Uniwersytetem Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Działacz opozycji antykomunistycznej, w latach 90. pracownik MSZ. Autor wielu książek, m.in. „Historia Stanów Zjednoczonych Ameryki 1607-2024”

eprasa.pl 2b902aabc5

ROZMOWA

Dziewięć odcinków w dziewięć miesięcy, czyli dlaczego „Lalka” Netflixa tak bardzo różni się od „Lalki” z roku 1977

Rozmowa z Wojciechem Nowickim, byłym dyrektorem Teatru im. Jaracza i Teatru Wielkiego w Łodzi, a wcześniej kierownikiem produkcji w polskich filmach i serialach, między innymi „Lalki” z 1977 roku, „Rodziny Połanieckich” i „Kariery Nikodema Dyzmy”

Anna Gronczewska

Oglądał pan „Lalkę” Netflixa?

Oglądałem zwiastun serialu. Dziś dostałem mem zawierający sceny z udziałem Izabeli Łęckiej z nowego i naszego serialu.

Generalnie wielu ludziom ta nowa „Lalka” się nie podoba...

Cóż ma się podobać albo nie podobać. Widzę, jak ludziom pozmieniały się gusty. Skapcaniało to wszystko. Jakie czasy, taki serial.

Pan pracował jako drugi kierownik produkcji przy tej klasycznej, serialowej „Lalce” w reżyserii Ryszarda Bera z 1977 roku.

Tak, byłem wtedy młodym chłopakiem. Pracowałem przy „Lalce”, „Rodzinie Połanieckich” i „Karierze Nikodema Dyzmy”.

Jak się wtedy robiło seriale?

Robiło się profesjonalnie. Przez ten czas wszystko się zmieniło, również technika. Aby powstał dobry film, serial, potrzebny jest dobry tekst, realizatorzy i kasa, dzięki której produkcję stać na piękne obiekty, kostiumy, dobrych aktorów. I potrzebne jest jeszcze coś, czego dzisiaj nie ma.

Czyli?

Nadzór artystyczny nad filmem. Przez całe lata mieliśmy kinematografię reżyserską. Teraz mówi się, że jest ona producencka. Proszę zauważyć, jak do dziś włącznie spostponowano scenarzystów. Mówimy: O, to Prus napisał! Ale przecież ktoś musiał adaptować powieść. Jak scenarzysta napisał tekst, to powiedzieliśmy o nim słowo? Tylko odmieniali na tysiące przypadków nazwisko reżysera i operatora. Tak to poszło. A kto tak naprawdę wymyślił historię? Przecież film to jest opowiadanie historii. W teatrze jest zresztą to samo. Niestety, dziś w większości mamy słabych scenarzystów. Niedawno oglądałem polski film „Filip” i bardzo mi się podobał. Jest zrobiony profesjonalnie: profesjonalnie napisany, profesjonalnie wyreżyserowany. A nie byle szybko i do kasy. Jak jest dobry scenariusz, to i film będzie dobry. Mówiąc o tekście, nie myślę o Prusie, który co napisał, to napisał. Scenopisy, czy też wcześniej scenariusze, pisali profesjonaliści. Scenariusz do „Lalki” z 1977 roku pisał Aleksander Ścibor-Rylski, do „Rodziny Połanieckich” Andrzej Mularczyk, genialny scenarzysta. Teraz przychodzi młody reżyser, coś wymyśli i bez żadnego nadzoru dostaje kasę. A my mu klaszczemy. Nie ma żadnego nadzoru nad tekstem, filmem. Ważna była jeszcze jedna rzecz, czyli muzyka. Muzykę do „Lalki” komponował Andrzej Kurylewicz, do „Rodziny Połanieckich” – Wojciech Kilar, a do „Kariery Nikodema Dyzmy” – Piotr Marczewski. I ta muzyka została do dziś.

Jak kiedyś wyglądał ten nadzór artystyczny?

Seriale powstawały w Zespołach Filmowych. Na przykład „Lalka” powstała w zespole „Pryzmat”. Wszystko było nadzorowane. Raz na dwa, trzy tygodnie przyjeżdżało szefostwo zespołu i oglądało materiały. Sprawdzano, czy wszystko to idzie w dobrą stronę. Nie do pomyślenia było, żeby reżyser robił, co chce. Na przykład w filmie o Kościuszce wymyślono sobie, że jego adiutantem będzie czarnoskóry. W normalnych warunkach by to nie przeszło. Taki twórca zostałby wyrzucony z planu. Były też tzw. kolaudacje. Siedziało 10 czy 15 starych repów, reżyserów, co zęby zjedli na niejednym i się przyczepiali do wszystkiego: to do zmiany, to do zmiany, to do wyprostowania, to bez sensu, to bez logiki. Wykonać i meldować. A jak trzeba było coś dokręcić, to taką scenę dokręcano. Teraz najważniejsze jest tempo. Dziś odcinek serialu robi się w tydzień. A myśmy dziewięć odcinków serialu kręcili dziewięć miesięcy. Film fabularny robi się w trzy miesiące. U nas każdy odcinek był filmem fabularnym. Tylko wtedy nikt nie patrzył na zegarek, wszystkim zależało, by wyszło jak najlepiej. Dzisiaj filmy i seriale kręci się na taśmie magnetycznej, w związku z tym od razu widać, co nakręcono. Z punktu widzenia technicznego dziś jest prościej. My kręciliśmy na taśmie światłoczułej. Trzeba było ją wywołać, pojechać do montażowni. Jak pracowaliśmy w terenie, musieliśmy wynająć kino, obejrzeć materiał i zadecydować, czy jest do przyjęcia. Dlatego to trochę trwało.

„Lalka” była kręcona także w Łodzi?

Generalnie zdjęcia mieliśmy w Warszawie, ale były kręcone także w Łodzi, Nieborowie, w Zaborowie, w Janowcu. Najwięcej kręciliśmy w Warszawie, bo tam rozgrywała się akcja serialu. Część akcji „Lalki”, nieduża, bo nieduża, działa się w Paryżu. Czy ktoś pojechał do Paryżu? Mowy nie było.

W takim razie jakie polskie miasto zagrało Paryż?

Właśnie Łódź. Budynek znajdujący się na ul. Piotrkowskiej, przy Grand Hotelu, zagrał Bank Zbożowy. A w Warszawie robiliśmy zdjęcia w miejscach, których już nie ma. Jak Wyścigi Konne. Te na Służewcu powstały w 1939 roku, a więc wiele lat po czasach, gdy rozgrywała się akcja „Lalki”. Zdjęcia robiliśmy na Polach Mokotowskich oraz w Łazienkach.

Trzeba było wymyślić specjalne miejsce, wyznaczyć tory, zbudować trybunę, wynająć powozy. Dbałość o szczegóły była szalenie ważna. A dzisiaj ten szczegół jest taki, że nawet mi się gadać nie chce. Nagminnie aktor wchodzi do budynku w nocy, a przez okno widać biały dzień. Nikt się tym nie przejmuje. Albo jest odwrotnie. Wychodzą w biały dzień, a tu czarna noc za oknem. Po prostu nikt o to nie dba. Ale dobrze, póki się to ludziom jeszcze podoba, to niech tak będzie.

Ze zdjęciami do „Lalki” wiązały się jakieś ciekawe historie?

Robiliśmy zdjęcia w Warszawie przy Hotelu Saskim. To jest dawny Plac Dzierżyńskiego, a dziś Piłsudskiego. Pod hotel miały podjechać sanie. Te sanie trzeba było wcześniej odpowiednio udekorować. Niestety, okazało się, że mamy słabą zimę, brakowało śniegu. Nie było takiej techniki jak dzisiaj, że posypiemy sztucznym śniegiem ze specjalnej maszynki. A przecież sanie nie mogą jechać po asfalcie. Położyliśmy na nim słomiane maty, sanie mogły po nich przejechać te 50-80 metrów. Brakowało jednak śniegu. Postanowiliśmy użyć gaśnic strażackich, tylko ta piana strażacka miała to do siebie, że po 15 minutach zaczynała kapać. Strasznie to wyglądało.

Jak rozwiązaliście problem?

Okazało się, że w Warszawie były dwie jednostki strażackie, które miały specjalną pianę do gaszenia ewentualnego pożaru w budynku Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Była to bardzo przyzwoita piana. Utrzymywała się kilka godzin. Jak się patrzy na te sceny, to wyglądają lepiej niż przy prawdziwej zimie.

W „Lalce” zagrało wielu znakomitych aktorów, między innymi urodzony w Łodzi Jerzy Kamas, który grał Wokulskiego...

Aktorzy w filmie, serialu to podstawowa sprawa. Ale tych aktorów trzeba w coś ubrać. Kostiumografem przy tym filmie była Irena Biegańska, prawdziwa profesjonalistka. Za scenografię odpowiadał Andrzej Halicki. Byli to fachowcy. Nie przepuszczali głupstw, na przykład takich, by koń był przykryty derką z XX wieku. Aktorzy byli bardzo dobrze ubrani.

Proszę pamiętać, że wtedy w Warszawie istniała specjalna firma, która nazywała się Copia, szyła kostiumy, robiła buty na potrzeby teatru i firmy. Trzeba pamiętać, że reżyser i jego ekipa odbywali wielogodzinne lub nawet całodniowe rozmowy z aktorami. Oni musieli zrozumieć, o co chodzi w tym całym interesie i jakie jest przesłanie filmu wymyślone przez reżysera czy przez scenarzystę. Tak było również przy realizacji „Lalki”. Serial skończył się znakiem zapytania. Jerzy Kamas jedzie do Zasławia i teoretycznie wysadza się w tamtejszym zamku. Nie wiemy, czy przeżył. Zamek w Zasławiu zagrały ruiny zamku w Janowcu, koło Kazimierza Dolnego. Serial kończy się niedopowiedzeniem. Zresztą z tym wiąże się pewna historia.

Jaka?

Trzeba było dokręcić dwie sceny, a zrobiła się jesień. Przy ognisku siedziały kobiety, między innymi Łęcka, i śpiewały piosenkę. Miało to być latem, a tu

eprasa.pl 2b902aabc5

FOT. GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Wojciech Nowicki: – Film to jest opowiadanie historii. W teatrze jest zresztą to samo. Niestety, dziś w większości mamy słabych scenarzystów

z ust leci im para. W związku z tym trzeba było umieścić w pobliżu wiatrak. Ale żeby umieścić wiatrak w plenerze, to trzeba było doprowadzić prąd, a żeby doprowadzić prąd, trzeba było dojechać z agregatem, który należało wygłuszyć. Wiatrak przegonił tę parę. Z Janowcem związana jest jeszcze jedna historia W zamku mieliśmy zrobić wybuch, ale zamek znajdował się pod opieką konserwatora zabytków.
W związku z tym robiliśmy ten wybuch na kilka kamer. Za wybuch odpowiadali pirotechnicy z Łodzi. Mieliśmy ze sobą walkie-talkie, bo przecież komórek nie było. Kamery poszły w ruch, daliśmy znak i za 5 sekund puk, poszło. Kamery przestawiliśmy w inne miejsce i powtórka. Zakończyliśmy ujęcie. Byliśmy po drugiej stronie Wisły i nagle słyszymy przez walkie-talkie, że pirotechnicy nie zabiorą do Łodzi tego materiału wybuchowego, który im został, i walną jeszcze raz. Przeraziliśmy się, baliśmy się, że za chwilę przyjedzie konserwator zabytków i wszystkich zabije. Nie pozwoliłem na kolejne odpalenie materiałów wybuchowych.
Za chwilę jednak słyszę kolejny huk. Na szczęście nie uszkodzili zamku.

Jak się pracowało z wielkimi gwiazdami polskiego kina i teatru?

Pracowałem z wieloma gwiazdami i nie mogę na nikogo powiedzieć złego słowa. W prywatnym życiu różnie bywało. Do kobiet przyjeżdżali różni absztyfikanci, ale nie odbijało się to na pracy. Gwiazdy były bardzo profesjonalne. Serial kręciliśmy w końcówce lat siedemdziesiątych. One zarabiały takie pieniądze, że inni mogli tylko o nich śnić. Bardzo im zależało, by grać w serialu. Średnia pensja w Polsce wynosiła 1500 –1800 zł miesięcznie. A aktorzy za dzień zdjęciowy dostawali od 2000 do 5000 zł. Serial ustawiał ich na pół życia. Oczywiście bywało, że łatwo przyszło, łatwo poszło... Różnie w życiu bywa. Większość była ustawiona, kupowali przyzwoite domy, samochody. Nie każdy brał udział we wszystkich dniach zdjęciowych, ale serial to było dla nich eldorado. Opowiadał mi kiedyś Stefan Friedmann, który w „Lalce" grał subiekta, że najbardziej opłacalną jego rolą była rola giermka tytułowego Kazimierza Wielkiego w filmie Ewy i Czesława Petelskich. Nie powiedział ani słowa, a miał 70 dni zdjęciowych.

Których aktorów wspomina pan najmilej?

Jest kilku. Jeden z nich to Włodzimierz Boruński, który grał doktora Szumana. To był bardzo przyzwoity, szczery człowiek. Rzadko się takich spotyka.

To kuzyn Juliana Tuwima?

Tak, nawet był bardzo do niego podobny. Kiedyś mieliśmy małą scysję, nawet już nie pamiętam, o co chodziło. Pewnie o jakiś drobiazg. I on wybuchnął! Minęły dwa miesiące. Przyszedł do mnie i przeprosił, że źle się zachował! Trzeba mieć klasę, by tak zrobić. Całe lata znałem się z Wojciechem Pokorą. Pracowaliśmy też przy „Karierze Nikodema Dyzmy". Bardzo mile wspominam Czesława Wołłejkę, który w „Lalce" grał barona Krzeszowskiego. Zaprzyjaźniłem się z Janem Englertem, który potem tak jak ja też był dyrektorem teatru. Przez lata świadczyliśmy sobie różne życzliwości. Ciekawa historia wiąże się z Ryszardem Berem, reżyserem serialu. Miał prawo jazdy, ale nie miał auta. W końcu kupił sobie „malucha". Wziął kilka lekcji i zaczął jeździć. Mieszkał w Warszawie i co sobotę tam jeździł. Miał jednak problem, bo nie potrafił skręcać w lewo. Cała ekipa wyrysowywała mu tak trasę, by skręcał w prawo...

Wiele zdjęć powstało też pewnie w łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych?

Wybudowano w niej dekoracje. Tam między innymi znajdował się sklep Rzeckiego z ulicą. W hali nr 4 powstała wielka dekoracja, którą budowano dwa miesiące. Tam też przez dwa miesiące robiliśmy zdjęcia. Proszę zwrócić uwagę, jaka jest różnica w dźwięku. Przecież dzisiaj ludzie wychodzą z kina i pytają: Ty, a co on powiedział? Wtedy na takiej hali wygłuszało się wszystko do maksimum. Mało tego, aktorzy potrafili na buty założyć takie kapcie, jakie zakładano w muzeum, żeby nie stukać. Oczywiście operator musiał wziąć to pod uwagę. Robiono to, by potem nie podkładać głosu, by wszystko szło w oryginale. Nie było stuku, puku. Już nie wspomnę, że dziś w większości filmów w środek kadru wjeżdża mikrofon. Ja już się nawet nie denerwuję, gdy to widzę. Kiedyś było to nie do pomyślenia. Na sukces filmu składa się mnóstwo rzeczy. Teraz powiem, jak wykładowca Szkoły Filmowej. Teatr i film to jest jedno wielkie dzieło zbiorowe. Każdy podpisuje osobną umowę, ale to jest dzieło zbiorowe. Suma tych wszystkich dzieł indywidualnych, wiedzy, intelektów powoduje, że jest sukces albo go nie ma.

eprasa.pl 2b902aabc5

WSPOMNIENIE

„Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że cię kocham". Staszku, tak bardzo będzie smutno bez Ciebie...

Kilkanaście lat temu, siedząc nad czymś bezalkoholowym (ja) i alkoholowym (Stachu), zaczęliśmy gadać o tym, że się starzejemy, że coraz więcej wspólnych znajomych odchodzi na tamten świat. Staszek mi wtedy powiedział: „Mógłbym umrzeć, ale mi się nie spieszy. Bo nikt z moich znajomych nie wrócił z tamtej strony, żeby powiedzieć, jak tam jest dobrze". Mam nadzieję Staszku, że w niebie jest Ci dobrze. Bo to, że taki cudowny człowiek jak Ty do nieba poszedł, to jestem pewien na 100 procent. Ba! Na 202 procent!

Robert Migdał

Stanisław Szelc. Satyryk. Kabareciarz. Autor tekstów. Filar kultowego Studia 202. Gwiazda Kabaretu Elita. Sławę przyniosły mu audycje „Chłop i baba", „Rycerze", „Z pamiętnika młodej lekarki". Oj, długo by wymieniać... To tak oficjalnie, encyklopedycznie, zawodowo.

Ja miałem to szczęście poznać go wiele, wiele lat temu. Prywatnie.

Ta znajomość była cudowna, bo Staszek był wulkanem ciętych ripost, strzelał żartami i arcyciekawymi opowieściami z tak wielką łatwością, jak innym przychodzi oddychanie, a po spotkaniu z nim zawsze mnie bolał brzuch ze śmiechu.

Zaskakiwał mnie wiele razy.

Na przykład telefonował i mówił: „Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że cię kocham. Bo jak ktoś wie, że jest kochany, to ma dobry dzień. No to cześć". I się rozłączał.

Albo dzwonił i mówił: „Żebyś miał dobry dzień, to ci opowiem taki dowcip". Po czym raczył mnie żartem – najczęściej jakimś sprośnym – i się rozłączał.

Kiedyś zaskoczył mnie bardzo. Zadzwonił: „Co robisz w weekend? Może byśmy w góry pojechali?".

Pomyślałem, że zwariował: ja gruby, z dużą nadwagą, a i Staszkowi kilogramów nie brakowało. Ale – zaciekawiony co dalej – się zgodziłem.

W sobotę podjechał pod mój dom i zabrał mnie na wycieczkę. W Karkonosze pojechaliśmy. Cóż to była za wycieczka po górach!

Po pierwsze – nie zrobiliśmy ani jednego kroku po górskich szlakach. Docieraliśmy tylko tam, gdzie można było podjechać/wjechać samochodem. Wysiadaliśmy z auta, oddychaliśmy pełną piersią świeżym powietrzem, podziwialiśmy widoki i jechaliśmy dalej.

Po drugie – odwiedzaliśmy ulubione górskie knajpy Staszka, w których kosztowaliśmy, polecane i wypróbowane przez niego, lokalne smakołyki.

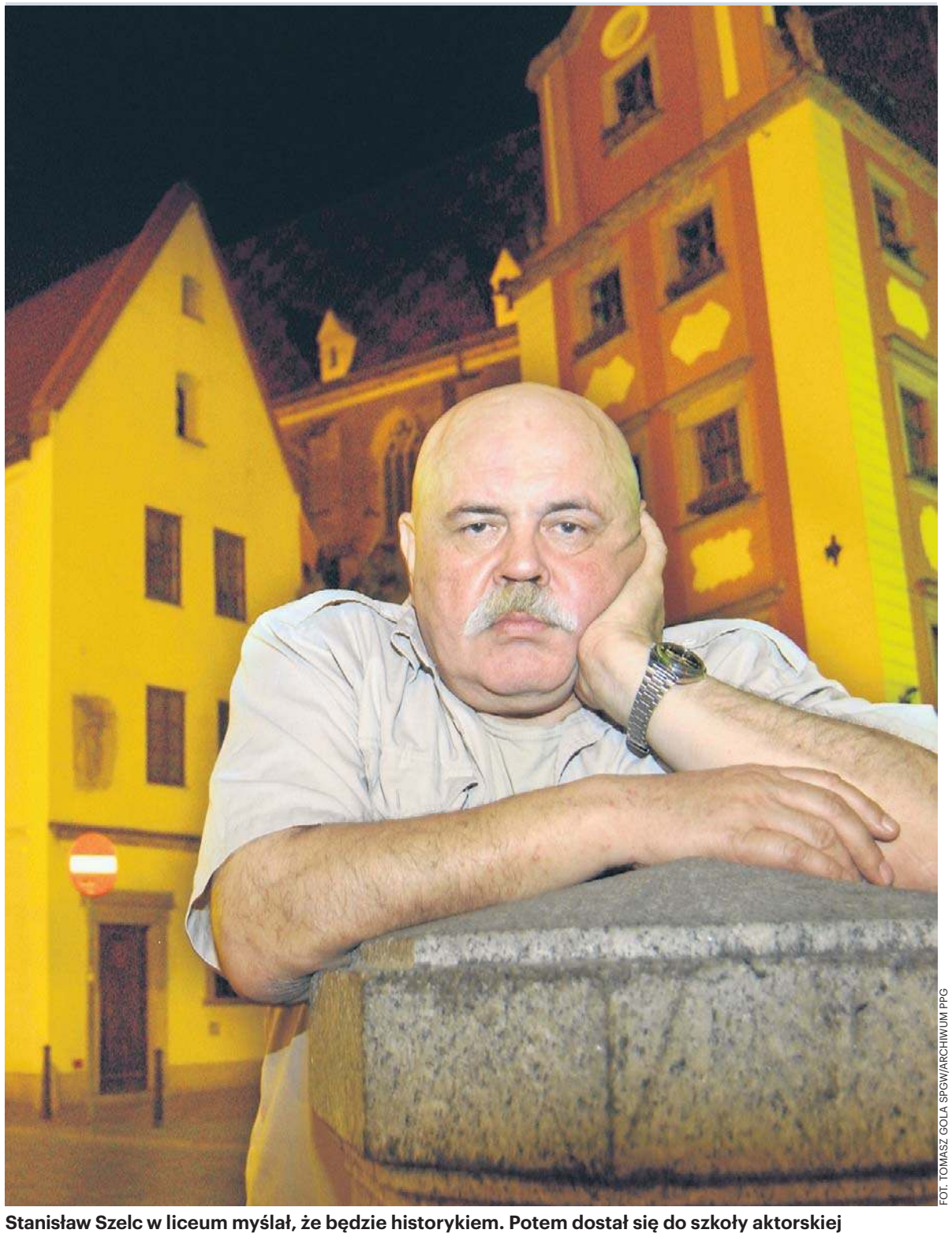

FOT. TOMASZ GOLA SPGW/ARCHIWUM PPG

Stanisław Szelc w liceum myślał, że będzie historykiem. Potem dostał się do szkoły aktorskiej

Taką wyprawę w góry to ja rozumiem!

Radził mi wiele razy. Mądrze. Bo to mądry człowiek był.

- Powiedz Pani Migdałowej, swojej żonie: mężczyznę trzeba traktować jak psa!

- Jak psa?

- No tak: dobrze karmić, głaskać i czasami na noc wypuszczać...

Staszek, jak sam mówił, prowadził osiadły tryb życia, chociaż miał cygańską naturę.

„Mój ojciec był z górali podhalańskich, moja mama Podolanka. Jak wiadomo, przez Podole przetaczały się hordy Tatarów, Turków, Rosjan, Kozaków i cholera wie czego jeszcze i pewnie ja mam krew stepową właśnie z Podola. To powoduje, że jestem takim duchem niespokojnym" - opowiadał mi.

Urodził się w Kazachstanie 29 listopada 1942 roku, a że była wojna, która się zapowiadała na długoletnią, jego mama nie chciała, żeby kiedyś w przyszłości poszedł na front.

- Dzięki temu, że w Związku Radzieckim był bałagan, mama poszła i mnie przepisała, że jestem urodzony 2 stycznia 1943 roku. Ja to teraz wykorzystuję rodzinnie, bo dwa razy obchodzę urodziny. I pal sześć imprezę! Dwa razy są prezenty! One są co prawda skromne, ale wolę dwa skromne prezenty niż jeden duży - wspominał Staszek.

Wychowywał się w domu kobiet: mama i dwie siostry. Ojciec zginął, brat poszedł jako młody chłopak z Andersem i zniknął w świecie - dopiero po latach się odnalazł w Anglii - więc całe życie w domu kobiet, a potem z tego domu żona go przejęła.

- Mam ogromny szacunek dla kobiet, bo wiele im w życiu zawdzięczam - mówił mi.

Po powrocie ze Związku Radzieckiego najpierw przez rok mieszkał z rodziną w Miliczu. Całe

eprasa.pl 2b902aabc5

Staszek Szelc z Leszkiem Niedzielskim i Jerzym Skoczylasem

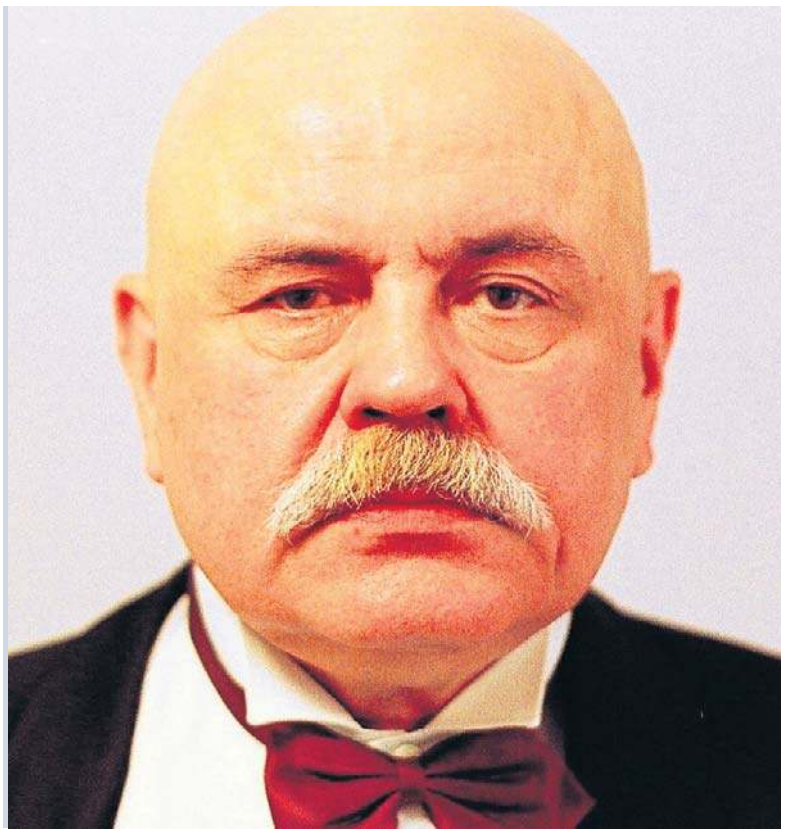

Podkreślał swój ogromny szacunek dla kobiet

życie podkreślał, że jest Miliczaninem, choć... o mały włos życia tam nie stracił. Niewiele by brakowało, by się utopił w Baryczy.

- Miałem 7 lat i idąc przez rzekę, trafiłem - bo ja jestem dość gapiowaty - na jedyne głębokie miejsce pod wodą. Tam widocznie pocisk spadł w czasie wojny. I się zacząłem topić, bo ja jako dziecko stepów kazachstańskich nie umiałem oczywiście pływać. Jakimś jednak cudem się uratowałem - opowiadał mi.

Potem był Wrocław. Ukochane przez niego miasto.

Choć całe dorosłe życie był artystą przez wielkie „A", niezbyt miło wspominał swoje pierwsze występy w latach szkolnych: „Ku mojej wściekłości, zmuszano mnie do artystycznych popisów. To ostatnie zajęcie było mi szczególnie nienawistne i tylko szantaż w postaci groźby obniżenia i tak mizernych ocen przymuszał mnie do bezmyślnego klepania tekstów".

W liceum myślał, że będzie historykiem. Bo miał znakomitą historyczkę. Potem dostał się do szkoły aktorskiej, ale jego mama powiedziała, że to zły pomysł.

- A ja się mamy bardzo słuchałem. Bo ojciec zmarł, jak byłem niemowlęciem i mama była dla mnie autorytetem absolutnym, więc po terminie poszedłem zdawać na uniwersytet. Zrobiłem takie kulki z papieru: na jednej było napisane rusycystyka, na drugiej polonistyka, a na trzeciej historia. Sięgnąłem do tyłu i wyciągnąłem polonistykę. Studiowałem ją 10 lat.

Skończył. A oprócz tego jest eksternistycznie aktorem. U samego wielkiego Aleksandra Bardiniego zdał egzamin.

- W życiu nie przeżyłem takiej tremy, bo na dodatek w komisji siedzieli moi znajomi: Jurek Dobrowolski, Wojtek Młynarski i parę innych osób, a ja przed nimi musiałem udowodnić, że jestem jakimś tam aktorem. To było koszmarne przeżycie. Wszystko mi pozasychało, nie tylko w ustach, ale i w uszach, rękach, a na plecach miałem zimny i gorący pot. Wtedy nas siedmiu zdawało i tylko ja zdałem. Przyznam się szczerze, że to moje zdawanie fatalnie wyglądało. Myślę, że zdałem dzięki Bardiniemu, u którego wcześniej zdawałem egzamin teoretyczny i mi dobrze poszło. Jednak część praktyczna poszła mi makabrycznie. Ja się potem strasznie wstydziłem, bo oni mi chyba z łaski dali ten dyplom i tylko dlatego go do dzisiaj mam – opowiadał mi przed laty.

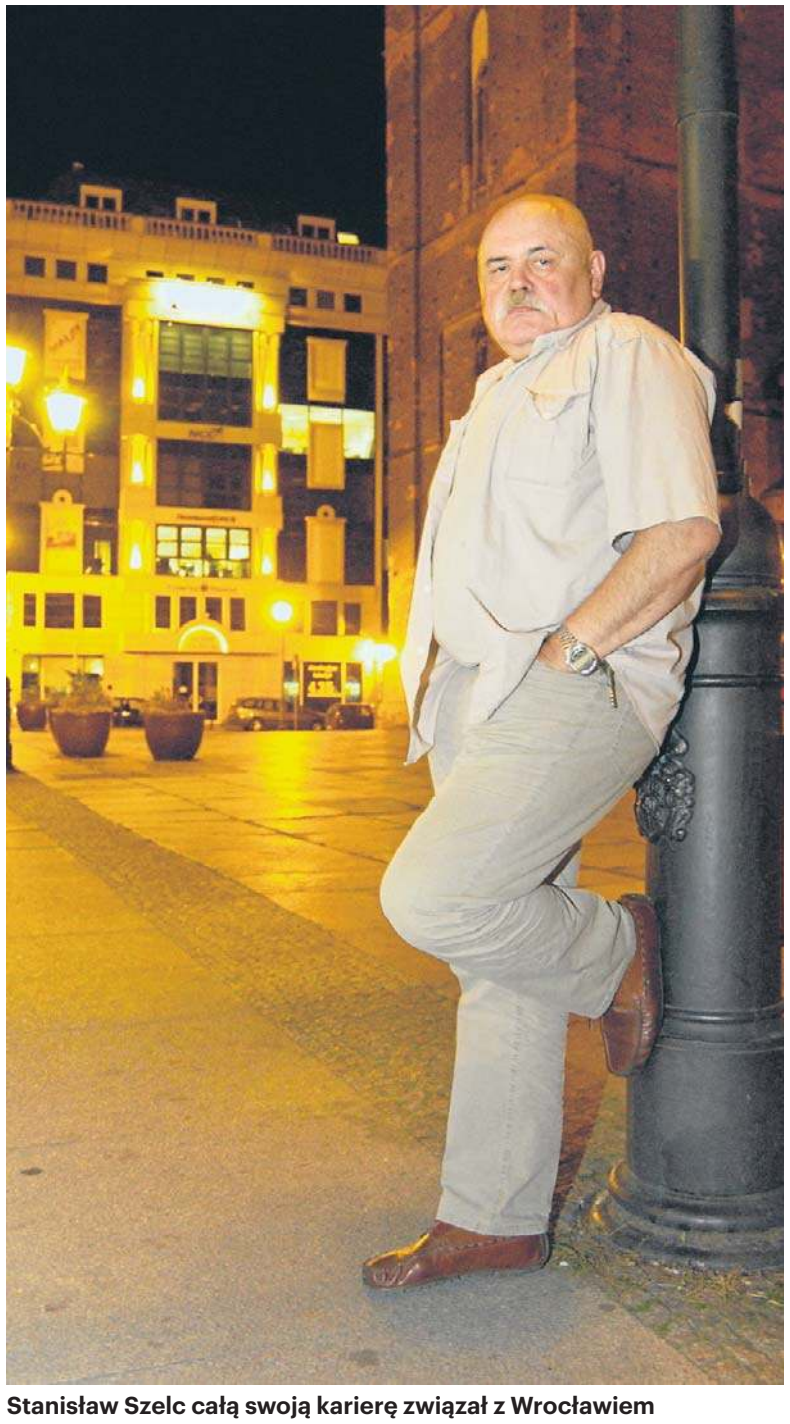

Stanisław Szelc całą swoją karierę związał z Wrocławiem

Na początku artystycznej kariery trafił do kultowego, wrocławskiego teatru Kalambur, jednak nie na scenę, tylko pod nią, do piwnicy. Był tam... dozorcą, który palił w piecu.

- Co rusz wylatywałem ze studiów za ewidentne lenistwo, bo nie zdawałem egzaminów, a że z czegoś trzeba było żyć, to Bogusław Litwiniec, szef Kalambura, dał mi wtedy pracę takiego stróża jak z serialu „Alternatywy 4". Byłem palaczem bardzo zainteresowanym tym, co się dzieje na górze, w teatrze. I tak powoli, powoli, wlazłem na górę, a że permanentnie nie dogrzewałem moich kolegów, bo nie byłem zawodowym palaczem, więc mnie chyba z rozpaczy wciągnęli na górę, żebym już przestał palić w tym piecu. Potem już wsiąkłem w ten teatr. Nawet w nim pomieszkiwałem - wspominał.

O swoich początkach artystycznej drogi w teatrze Kalambur pisał: „Nie byłem specjalnie rozgarnięty, ale instynktownie czułem, że mam szczęście uczestniczyć w czymś szczególnym, toteż kiedy mnie, biednemu lumpenproletariuszowi, zaproponowano jakiś nieistotny epizod sceniczny, myślałem, że ktoś z kalamburowej wierchuszki zwariował".

Był szalenie skromnym człowiekiem: na każdym kroku podkreślał, że to inni są cudowniejsi, lepsi, zdolniejsi.

- Pod pozorami zuchwałości jestem introwertyczny. Może nie tyle jestem skromny, co staram się nie pchać na pierwszy plan - mówił i dodawał: - Mnie bardzo krępuje kontakt z ludźmi i powoduje, że się troszkę gubię, a z racji wykonywanego zawodu muszę od czasu do czasu „świecić twarzą" i wtedy gram, że jestem taki odważny.

Był domatorem, a ze swojej nory (jak mówił o pokoiku w mieszkaniu na ul. Kiełbaśniczej - uroczym, pełnym książek i durnostojek i durnoleżek) wychodził spotykać się do ulubionej (już nieistniejącej) kawiarni „Literatka" w Rynku.

Mówił: - Jestem smutnym domatorem, a na scenie wesołym, a nawet przygłupim - takie role mi przypisują. Jednak się nie przejmuję, bo pocieszył mnie przed laty Andrzej Waligórski, twórca Studia 202. Powiedział mi: „Wiesz co, Stasiek, ty się nie przejmuj. Idiotów mogą grać ludzie tylko bardzo zdolni". No i gram tego idiotę. Niekiedy mówię rzeczy poważne, ale wyglądam, jak wyglądam, więc odbiór mojej osoby jest taki, jaki jest - tłumaczył.

Stanisław Szelc zmarł w tym tygodniu. Miał 83 lata.

Staszku, strasznie będzie Ciebie brak...

eprasa.pl 2b902aabc5

GWIAZDA TYGODNIA

Maja Kleszcz: Również w muzyce popularnej warto szukać jakości i wartości

Kiedy zadebiutowała, nazywano ją „polską Amy Winehouse". Potem udowodniła jednak, że ma własny styl. Właśnie ukazała się jej nowa płyta – „Nieklikalność". W rozmowie z nami Maja Kleszcz zdradza, dlaczego zdarza się jej płakać, wykonując niektóre pochodzące z niej piosenki

Paweł Gzyl

Cztery lata temu dostałaś Fryderyka za płytę „B.L.ues", masz też na swym koncie mnóstwo innych nagród i nominacji. Do tego każdy twój album zbiera same entuzjastyczne recenzje. Jak to się robi?

Nie wiem, czy jest na to uniwersalna recepta. Każdy artysta ma w sobie jakieś nienasycenie, mimo odnoszonych sukcesów. I tak musi być – żeby ten głód był ciągle żywy w nas. Bez niego nie byłoby rozwoju. Widzę to z takiej perspektywy.

Jak podsycasz w sobie to nienasycenie?

Na pewno nie robię tego w intencjonalny sposób. To samo się we mnie żarzy cały czas. Moja praca rozkwita dzięki kolejnym impulsom pomysłów. Ja zawsze muszę najpierw zapalić się do realizacji fajnej idei, żeby miało to finalnie swój happy end w postaci prestiżowych nagród czy pięknych recenzji. Za każdym razem jest to zetknięcie się z jakimś wyzwaniem. Dlatego każda moja płyta ma swój koncept i jest zamkniętą opowieścią. Staram się też nie powtarzać. To powoduje, że mam w sobie głód artystycznych wrażeń i ciągle sięgam po coś nowego.

„Nieklikalność" to pierwsza od ośmiu lat twoja płyta z autorskim i premierowym materiałem. Zatęskniłaś za taką twórczością?

Płyta jest napisana i skomponowana przez mojego męża i artystycznego partnera – Wojtka Krzaka. Zaczęło się od naszej dyskusji na temat odnajdywania się we współczesności. Oboje jesteśmy z natury osobami, które odczuwają nostalgię za tym, co było piękne, wartościowe, ale już minęło. Dlatego nasza twórczość często nawiązuje do szlachetnych wzorów z przeszłości, choćby dawnych ideałów polskiej piosenki. Tym razem wpadliśmy na pomysł, aby stworzyć osobistą płytę, ale posłużyć się jak najbardziej współczesnymi rozwiązaniami. I Wojtek podjął to wyzwanie: napisał piękne teksty i skomponował muzykę, które bardzo mnie zainspirowały.

Na wydanej osiem lat temu „Odysei" eksperymentowałaś z elektroniką w stylu lat 80., tym razem powracasz do akustycznych i żywych brzmień. To wśród takich dźwięków czujesz się najlepiej?

To wszystko zależy od założeń danego wyzwania. Czasem była to konwencja kwintetu jazzowego, jak na płycie „Osiecka de Luxe" z 2019 roku. Po prostu, jeśli coś jest interesujące, to się tam wybieramy. Ale faktycznie znaczna część mojego repertuaru jest zagrana na akustycznych instrumentach. Są więc mi one bardzo bliskie. Ciekawią mnie jednak również próby zmierzenia się z czymś, co jest nowe czy nawet futurystyczne, bo jest to ożywcze. Jeśli coś robi się 25 lat, tak jak ja, to potrzeba takich bodźców i zauroczenia co chwilę czymś innym.

„Nieklikalność" przynosi zaskakująco melodyjne piosenki – większość refrenów od razu wpada w ucho. Dobry pop nie jest zły?

Oczywiście. Zawsze uważałam, że wartościowy pop nie oznacza niczego złego. Bo to coś, co trafia do wielu ludzkich serc, a nie do wąskiego grona słuchaczy. To wielka sztuka zrobić coś bardzo komunikatywnego, z czym masy odbiorców są w stanie się utożsamiać. Stąd nie widzę popu jako czegoś pejoratywnego. Choć niestety trudno dziś znaleźć dobrą jakość w całym tym zalewie nijakiej muzyki. Ale przy taki szybkim tempie produkowania trudno coś takiego osiągnąć. Kiedy nagrywaliśmy w 2010 roku „Radio Retro", mówiliśmy z Wojtkiem o muzyce przeprodukowanej, o układaniu bezdusznych aranżacji w komputerze, a dzisiaj te zjawiska mają swoje apogeum. Trudno się przed tym obronić, ale warto również w muzyce popularnej szukać jakości i wartości.

Piosenki z „Nieklikalności" to niby pop, ale słychać tu też silne echa innych gatunków muzycznych. Gdzie są źródła, w których bije serce twojej muzyki?

Często odnoszę się do klasycznych gatunków muzyki rozrywkowej, bo nasłuchałam się jej, dojrzewając jako muzyk. Lubię sięgać do dobrych wzorców, które są dla mnie drogowskazami. Bardzo chętnie słucham mistrzów z przeszłości, bo to mnie wzmacnia i wyznacza kierunek rozwoju, pozwala nie poddawać się, tylko przemycać do tej współczesności rzeczy, które uważam za ciekawe.

Tytuł płyty „Nieklikalność" odnosi się do stanu, w którym odcinamy się od internetu, komputera czy laptopa. Czujesz się przytłoczona tym cyfrowym światem?

Jestem przykładem osoby opornej wobec tego cyfrowego świata. (śmiech) Ale i tak odczuwam to przytłoczenie. Kilka lat wstecz nie miałam z tym takiego problemu. Dziś częściej się łapię na tym, że w wolnej chwili sięgam po telefon, scrolluję i przeglądam wpisy. Staram się jednak zauważać to zjawisko, kontrolować je i zrozumieć jego mechanikę, to, dlaczego poświęcam mu swój czas. Stąd często mam poczucie wywieranej presji, tzw. FOMO, co jest związane z moim życiem zawodowym, z tym, że jego cząstką jest obecność w mediach społecznościowych. Oczywiście nie deklaruję tu całkowitego odcięcia się od wirtualnego świata, jednak „Nieklikalność" jest zachętą do wolności wyboru, do wolności od tej nadmiernej presji wizerunku, od tego strachu, generowanego przez serwisy informacyjne, któremu poddajemy się w sposób bezwładny i stajemy się wobec niego bezradni.

Jaki masz najlepszy sposób na odcięcie się od cyfrowego świata?

Mam dużo pracy, więc siłą rzeczy nie mam za wiele czasu na social media. (śmiech) Ostatnio patrzyłam na swą aktywność w telefonie i okazuje się, że jest ona dosyć nikła, bo jestem bardzo zajęta. Ale oczywiście, kiedy mam wolną chwilę, zaczyna się śledzenie muzycznych nowości czy innych tego typu treści. Ostatnio zauważyłam, że moja aktywność performatywna w teatrze bardzo mnie odcina od wirtualnego świata. Bo teatr to sztuka, która nie jest rejestrowana, wydarza się w danym momencie, biorą w niej udział tylko te osoby, które kupiły bilet i spotykają się w jednym czasie i przestrzeni. Bardzo mnie to uziemia i pokazuje, co jest istotne: realny, a nie wirtualny kontakt z odbiorcą. Jest to dla mnie bardzo dobry sposób na powrót do rzeczywistości. A zdrowo jest żyć realnymi wydarzeniami, które budują nasze życie. Jego poetyka nie powstanie przez scrollowanie, choć czasem próbuje się nam to wmówić.

W „Nieklikalności" śpiewasz: „Usiądź tu obok i nic już nie mówmy/ Ta cisza jest nam tak bardzo potrzebna". I o tym jest większość piosenek z płyty – o potrzebie bliskości drugiego człowieka. To najlepszy lek na całe zło tego świata?

Kiedy dyskutowaliśmy z Wojtkiem o tym, co będzie najistotniejsze na tej płycie, to wspólnie doszliśmy do wniosku, że będzie to nasza relacja: 25 lat uczucia, miłości, to, co zawsze jest poetyką naszych piosenek. Postanowiliśmy na „Nieklikalności" przypomnieć również, że te realne więzi między ludźmi, wymagają pielęgnowania. A nie jesteśmy w stanie tego robić, przeglądając wiadomości na ekranach swych telefonów. Niestety, czasem jest tak, że ludzie spędzają w ten sposób trzy czwarte wspólnej kolacji czy spaceru.

Najpiękniejsza jest piosenka „Mam nadzieję", w której śpiewasz w duecie z Kortezem: „Mam nadzieję, że usnę przed tobą/ nie chcę nawet wiedzieć, jak bez ciebie można żyć". Taką miłość można sobie dzisiaj chyba tylko wymarzyć?

Różne są współczesne wyobrażenia o miłości. (śmiech) Do tego właśnie się ten tekst odnosi. Jest jakby trochę z innej epoki: ma w sobie wzniosłość, którą Wojtkowi udało się zawrzeć w prostych i oszczędnych słowach, bez jakiejkolwiek sztuczności. Kiedy śpiewam tę piosenkę, zawsze mam poczucie, że współczesna wizja miłości bardzo odstaje od tego lirycznego obrazu. Chcieliśmy nim przypomnieć, że kiedyś miłość była postrzegana w doniosły sposób. Dla nas taka jest – bo buduje nasze wspólne życie, stanowi o jego jakości, istotności, konstytuuje naszą twórczość. Kiedy odbierzemy miłości ten doniosły wymiar, to ją dewaluujemy.

W „Nikt inny" śpiewasz: „Nie musisz dłużej już ukrywać/ lęków, blizn i skaz". Na tym polega dojrzała miłość – na pełnej akceptacji drugiego człowieka?

To jest tekst o tym, jak wspieramy się nawzajem. Kiedy jest nam ciężko i pojawiają się życiowe burze, staramy się stanowić dla siebie opokę i bezpieczną przystań. Bardzo lubię w tym tekście frazę „Nie bój się/ Nie bój się/ Dziś się bać". Bo myślę, że każdy z nas tego doświadcza. Trzeba być piekielnie odważnym, by przetrwać strach z godnością i pójść dalej. Kochając, dajemy sobie przestrzeń do bycia słabym i opiekujemy się sobą nawzajem. Ta piosenka jest zachętą do tego, by pokonywać strach i przeżywać trudne emocje z podniesionym czołem.

Te teksty napisał dla ciebie mąż. Odebrałaś je jako poetyckie listy miłosne od niego do ciebie?

Tak. Zdarzyło mi się nawet wzruszyć i rozpłakać podczas nagrywania. Wiadomo – to jest piosenka, więc podchodzę do niej profesjonalnie. Ale kiedy się ją śpiewa, pewne treści zaczynają w człowieku rezonować głębiej. I wtedy zdarza się, że pojawiają się głębokie emocje. Te teksty to ewidentnie listy miłosne – bardzo szczere, bez kokieterii, bez dodatkowych fatałaszków i kolorowych wstążeczek. A ja bardzo sobie cenię w tekściarstwie, kiedy wszystko jest wyłożone bardzo wprost.

Śpiewasz też o lęku i zagubieniu w dzisiejszym świecie – choćby w „Miasto z mgły" czy „Zaproście mnie do ognia". Co wywołuje dziś u ciebie największy niepokój?

Staram się zbyt często nie wprowadzać w ten stan i raczej chcę być odważną niż się niepokoić. Chcę czuć się sprawczą, bo jako kobieta i matka doświadczam często destruktywnego wpływu takich emocji jak lęk. Uważam, że muszę

eprasa.pl 2b902aabc5

nad tym aktywnie pracować i myślę, że wiele matek się z tym identyfikuje. Staram się więc patrzeć na rzeczywistość w wyprostowanej postawie, a nie martwić się nadmiernie. Oczywiście, mogłabym wymienić mnóstwo powodów do niepokoju, ale chcę, by „Nieklikalność" była płytą, która przynosi poczucie odporności na zło tego świata.

Gdzie szukasz odwagi, która sprawia, że nie poddajesz się lękom?

Na pewno w twórczości innych artystów. Czytając książki, oglądając teatr, słuchając muzyki klasycznej. To buduje we mnie odporność. Znajduję bowiem w takiej wysokiej kulturze uniwersalne piękno, które nie poddaje się destrukcyjnemu wpływowi upływu czasu. Tak jest w moim odczuciu, ale też w odczuciu wielu innych osób. To mnie ukorzenia i pozwala na wytchnienie, bo pokazuje, że inni kiedyś też przechodzili przez takie trudności jak ja, a nawet przez jeszcze gorsze – i mieli swoje strategie na to, by się nie poddawać.

W „Eonie" śpiewasz: „Chcę wierzyć, że gdzieś tam, ktoś spisał dla nas plan". Uważasz, że jest jakaś siła wyższa, która troszczy się o nas?

Nie wiem, czy mogę powiedzieć, że wierzę. Raczej przeczuwam, że istnieje jakiś wzorzec i wszystko to, co nam się wydaje chaosem, tak naprawdę jest porządkiem. Nie mogę tego jednak nazwać wiarą. To chyba jakaś intuicja. Tak to wygląda.

W tym roku kończysz 41 lat. Inaczej patrzysz na świat niż 10 czy 20 lat temu?

Bardziej zmieniła się moja postawa wobec świata niż moja perspektywa. To znaczy, że kiedy byłam młodsza, byłam bardziej radykalna w swoich ocenach. Byłam bardziej wojownicza, nie zgadzałam się na wiele rzeczy, nie akceptowałam wielu zjawisk. Dzisiaj może nie tyle chodzę na kompromisy, co widzę to inaczej: dostrzegam przyczynę, zastanawiam się, dlaczego jakieś zjawisko ma swoje miejsce w świecie. Nie jestem aż tak bardzo krytycznie nastawiona. Raczej obserwuję wszystko, biorąc udział w tym, co cenię, na co mam ochotę i wzmacniając te dziedziny, które uważam za wartościowe.

Zaczęłaś występować z Kapelą Ze Wsi Warszawa, mając zaledwie 14 lat. Właściwie można więc powiedzieć, że dorastałaś na scenie. Dobrze wspominasz ten czas?

Na pewno jako bardzo intensywny, jeśli chodzi o ilość pracy. Jeździliśmy wtedy bardzo dużo po świecie z koncertami. To było naprawdę coś niepowtarzalnego.

To w Kapeli ze wsi Warszawa poznałaś swego przyszłego męża. Co sprawiło, że w pewnym momencie postanowiliście odejść z niej i stworzyć duet IncarNations?

To był nasz okres młodzieńczy, który zakończył się 16 lat temu. Chcieliśmy robić coś osobistego. Otworzyć nowy rozdział w życiu i wypłynąć na inne wody. Mamy chyba w sobie taką mocną potrzebę, aby nieustannie eksplorować nowe terytoria. Dlatego ten krok był dla nas bardzo naturalny.

Kiedy wydaliście płytę „Radio Retro", wszyscy pisali o tobie, że jesteś „polską Adele" lub „polską Amy Winehouse". To były trafne porównania?

Zaskoczyły mnie one. To było wyróżnienie. W tamtym czasie faktycznie Amy Winehouse zdobywała wielką popularność. Mogłam się spodziewać, że zostanę do niej porównana, łączyły nas bowiem inspiracje muzyczne – jazz, blues, Motown, Dinah Washington, Billie Holiday. Prawdopodobnie to sprawiało, że nasze głosy pobrzmiewały dla ludzi podobnie. Chociaż nie czułam z Amy Winehouse jakiejś bezpośredniej analogii, nie stylizowałam się na nią. Byłam wtedy grzeczną, przejętą, młodziutką wokalistką, a do tego przykładną młodą mamą. Daleko mi było do ekstrawagancji Amy Winehouse.

Pierwsze twoje płyty zawierają teksty piosenek nestora polskiego bluesa Bogdana Leobla. Co odnalazłaś w nich bliskiego sobie?

Teksty te zachwyciły mnie swoją prostotą i intensywnością, czystością treści i formy. To właśnie one wciągnęły mnie w śpiewanie piosenek. Miały tak głęboki przekaz i taką symbolikę, że bardzo uruchamiały moją wyobraźnię. Dlatego po wielu latach ukazała się płyta „B.L.ues", na której złożyłam hołd panu Bogdanowi, który kończył wtedy 90 lat. Bardzo mi zależało, aby pokazać wyjątkowość jego twórczości, bo dla mnie jego teksty są wysokiej próby literaturą w małej formie. Nie są rozbudowane, jeśli chodzi o środki stylistyczne, surowe w swoim wyrazie i dzięki temu mają najgłębszy z możliwych przekazów i niezwykłą siłę emocjonalną. To absolutny fenomen na naszej scenie muzycznej.

FOT. MAT. PRAS.

Maja Kleszcz: Pop to coś, co trafia do wielu ludzkich serc. To wielka sztuka zrobić coś bardzo komunikatywnego, z czym masy odbiorców są w stanie się utożsamiać.

Teksty Bogdana Loebla osadziły cię mocno w bluesowej konwencji, co niekoniecznie miało odzwierciedlenie w muzycznej warstwie twoich piosenek.

My z Wojtkiem inaczej rozumiemy bluesa niż zazwyczaj rozumie się go w Polsce. To kwestia kontekstów kulturowych. Kiedy się posłucha płyty „B.L.ues", to tam żaden utwór nie jest konwencjonalnym, elektrycznym, chicagowskim bluesem. Bo przecież blues ma całą paletę odcieni: od śpiewów z plantacji bawełny z czasów niewolnictwa, przez utwory powstałe na styku jazzu, jak u Bessy Smith czy Billie Holiday, po wyrafinowanego, elektrycznego bluesa Muddy'ego Watersa. To całe pole brzmień, które nie zawsze kojarzą się ze stereotypowym postrzeganiem tej estetyki. Na płycie „B.L.ues" sięgnęliśmy wtedy po całe to bogactwo kontekstów, aby nieco odczarować ten stereotyp.

Każda z twoich płyt jest właściwie trochę inna. Lubisz się bawić formułą popowej piosenki?

Jest mi to potrzebne, by nie stać w miejscu. Żeby tworzyć nowe światy i stykać się z innymi estetykami. Żeby mój żywioł twórczy nie stał się odtwórczy. To wszystko jest właśnie po to. Sięgam po różne estetyki nie dlatego, że nie jestem w stanie zdecydować się na jedną, ani nie dlatego, że nie znalazłam jeszcze tej swojej ukochanej, tylko dlatego, że jest mi to potrzebne do bycia żywym twórcą.

Od ponad dekady mocno związałaś się z teatrem. Występujesz na scenach Warszawy, Wrocławia czy Krakowa. Jak odkryłaś w sobie aktorski talent?

Od zawsze kochałam dawny teatr Polskiego Radia i Teatr Telewizji. Nie spodziewałam się jednak, że będę aktorką czy kompozytorką muzyki teatralnej. Osiemnaście lat temu spotkałam w pracy ludzi z Przeglądu Piosenki Aktorskiej – i nagle trafiłam w środowisko, które wykorzystuje teatr jako środek wyrazu artystycznego. Przyjęto mnie z otwartymi ramionami i ciekawością mojej odmienności, która okazała się inspirująca. Poznałam reżyserkę Agatę Dudę-Gracz, która zaproponowała mi udział aktorski w spektaklu Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. Dała mi możliwość pełnego zanurzenia się w rzeczywistości teatru jako performerce wokalnej. Dziś mam na swoim koncie dwadzieścia tytułów teatralnych. Doświadczyłam różnorodnych współprac z reżyserami, które dały mi możliwość kształtowania dość wszechstronnie mojego warsztatu aktorskiego. Z czasem to się bujnie rozrosło i trwa do dzisiaj.

Na czym polega wasze wyjątkowe porozumienie z Agatą Dudą-Gracz?

To dynamika przyjaźni artystycznej. Łączy nas duchowa i intelektualna bliskość, która owocuje w naszej pracy. Może brzmi to trochę górnolotnie, ale czasami naprawdę zdarzają się takie spotkania. Zrealizowaliśmy razem wiele przedsięwzięć: komponujemy z Wojtkiem Krzakiem muzykę do spektakli Agaty, ja biorę potem w nich również aktorski udział, tworzymy muzykę na żywo. Teraz szykujemy w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie wielką premierę na 23 października – „Kraków narodowej sztuce, czyli tryumf miernoty". To autorski tekst Agaty, będący zakulisową historią premiery „Wesela" Wyspiańskiego, co mogło się wydarzyć tu na tej scenie w tym teatrze ponad sto lat temu. Czyli trochę wywołujemy duchy.

Również twój premierowy koncert „Nieklikalności" odbędzie się w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. To chyba nie przypadek?

Oczywiście. To splot naszej profesjonalnej przyjaźni ze środowiskiem tego teatru, które okazało się nam bardzo bliskie. Sam teatr jest przepięknym miejscem, uwielbiamy je i szalenie nas ono inspiruje. Marzyliśmy, aby zagrać na tej scenie koncert – i stanie się to 4 października. Naszym gościem specjalnym będzie Wojtek Waglewski z grupy Voo Voo. Myślę, że będzie magicznie.

Te twoje teatralne działania wpływają na to jaką jesteś wokalistką?

To niby dwa różne światy. Ale praca w teatrze pozwoliła mi odkryć w sobie całą paletę emocji, których nigdy bym nie odkryła jako piosenkarka. To są też różnorodne techniki wydobywania z siebie dźwięku, które wypracowałam w trakcie tych lat występów na scenie. Do tego dochodzi wyjątkowa koncentracja na tekście i znaczeniach, które w nim tkwią. Trochę inaczej śpiewa się piosenki w standardowy sposób, a trochę inaczej z zapleczem teatralnym. To się często kojarzy z tzw. piosenką aktorską, ale ja nie do końca rozumiem to pojęcie, bo wydaje mi się ono sztuczne. Bo albo wokalista potrafi stworzyć jakiś autentyczny i odrębny świat, śpiewając piosenkę, albo nie. I tylko tyle. Dlatego wykonując utwory z „Nieklikalności" nie używam teatralnego warsztatu. Śpiewam je autentyczną sobą – i tak to działa.

eprasa.pl 2b902aabc5

HISTORIA

Symbol nadchodzącej ery motoryzacji

123 lata temu, 30 września 1903 r., w Wielkiej Brytanii wprowadzono pierwszą na świecie ustawę o pojazdach silnikowych. Każdy kierowca musiał od tej chwili posiadać prawo jazdy

Mariusz Grabowski

Ale choć tzw. Motor Car Act nakazywał obowiązek posiadania przez kierowców stosownego dokumentu, nie wymagał żadnej formy egzaminu, który potwierdzałby ich drogowe umiejętności.

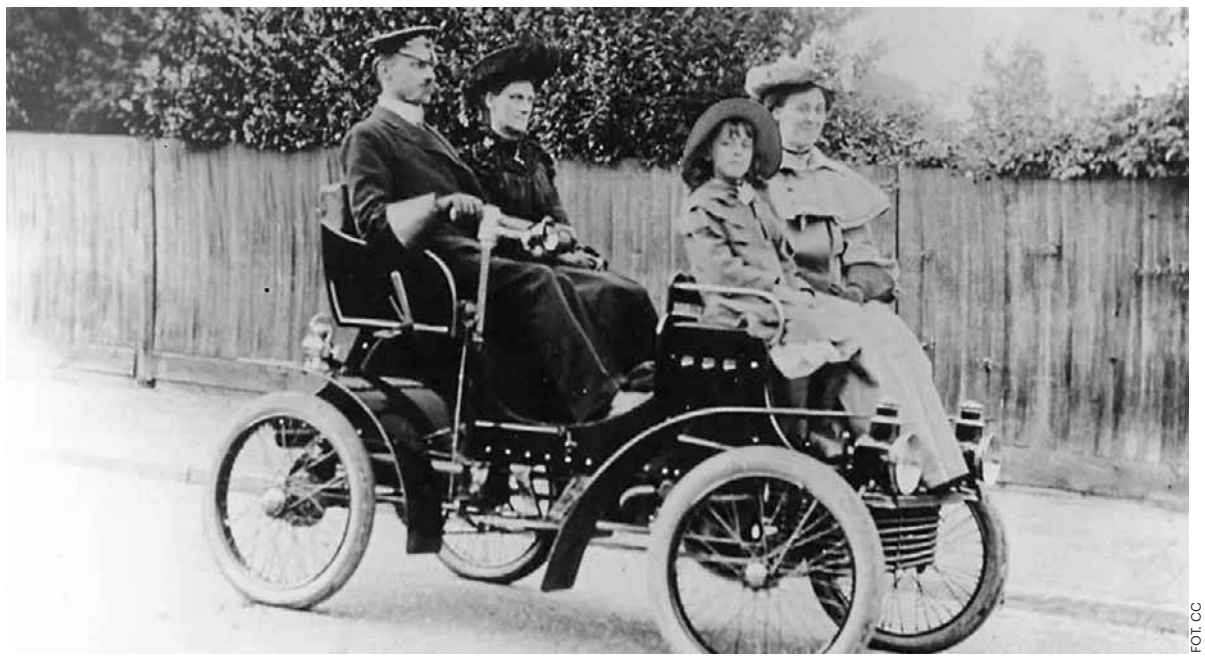

FOT. CC

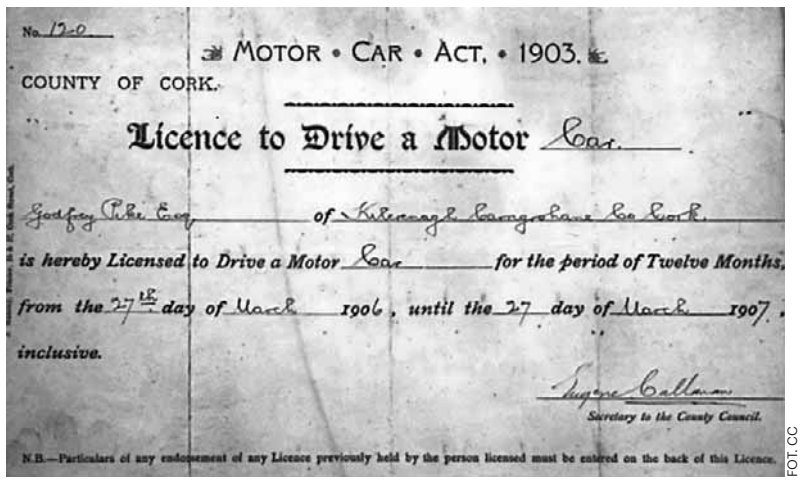

No. 120

MOTOR • CAR • ACT. • 1903.

COUNTY OF CORK.

Licence to Drive a Motor Car.

Godfrey Pike Esq. of Kilcrennagh Carrigrohane Co Cork,

is hereby Licensed to Drive a Motor Car for the period of Twelve Months,

from the 27th day of March 1906, until the 27 day of March 1907,

inclusive.

Eugene Callanan

Secretary to the County Council.

N.B.—Particulars of any endorsement of any Licence previously held by the person licensed must be entered on the back of this Licence.

FOT. CC

Jedno z pierwszych praw jazdy. U góry samochód Vauxhall w 1903 r.

Rodzi się przyszłość

Na początku XX w. na angielskich drogach terkotało już całkiem sporo samochodów, głównie Vauxhalli, Austinów czy Morrisów. Były to prawdziwe demony szos. Np. Vauxhall 5hp Light Car, wyposażony w pięć koni mechanicznych, napędzany na tylne koła za pomocą dużego łańcucha i wolantu, mógł rozpędzić się nawet do 25 mil na godz. (ok. 40 km).

Decyzja Izby Gmin była zatem perspektywiczna: wobec rosnącej potęgi motoryzacji trzeba było uregulować kwestię prawa poruszania się po drogach. Motor Car Act wymagał więc, by każda osoba prowadząca samochód miała przynajmniej 17 lat, wprowadzono obowiązek rejestracji aut w lokalnych urzędach i oznaczania ich tablicami rejestracyjnymi, ustanowiono też ograniczenie prędkości do 20 mil na godz.

Kierowca musiał oświadczyć, że potrafi bezpiecznie kierować pojazdem mechanicznym, ale nie wymagano odeń żadnej weryfikacji. Testy i egzaminy pojawiły się dopiero w kolejnych latach, a realnie dopiero po Wielkiej Wojnie.

Prawo i polityka

Pojawienie się prawa jazdy potwierdziło zasadę, że każde zjawisko cywilizacyjne wcześniej czy później zostaje obwarowane prawem. Co zwykle budzi sprzeciw zainteresowanych. Tak było i w tym przypadku – przeciw regulacjom Motor Car Act protestowali nie posiadacze aut, co zrozumiałe, ale też politycy, zarówno liberalni, jak i konserwatywni.

W licencjonowaniu prawa do rozpędzenia się swoim Vauxhallem, nawet jeśli posiadał tylko dwa biegi, po brukach Londynu i polnych drogach Yorkshire widziano zamach na wolność osobistą, a w papierowym dokumencie odgórną stygmatyzację, spiskowo zaplanowaną przez rząd Arthura Jamesa Balfoura, skądinąd zagorzałego obrońcy „Starej dobrej Anglii".

Osobistą wojnę z Motor Car Act prowadził Alfred Charles William Harmsworth, nie tylko pierwszy wicehrabia Northcliffe, ale także właściciel „Daily Mail" i „Daily Mirror". Inwektywy na posłów, którzy zagłosowali za ustawą motoryzacyjną, zajmowały jesienią 1903 r. sporo miejsca w obu jego tytułach.

Benz u księcia

Obowiązek posiadania prawa jazdy w Anglii miał charakter powszechny. Ale próby uregulowania tej kwestii indywidualnie miały miejsce już wcześniej w Niemczech, ojczyźnie motoryzacji. Pierwszym tamtejszym prawem jazdy był dokument wystawiony dla Karla Benza w 1888 r. W związku ze skargami mieszkańców Mannheim na hałas i smród, jaki roztaczał jego Motorwagen, otrzymał on pisemne zezwolenie od Wielkiego Księcia Badenii Fryderyka I Wilhelma Ludwika na używanie swego pojazdu na drogach publicznych.

Mówienie o „hałasie i smrodzie" w przypadku pojazdu Benz Patent-Motorwagen Nummer 1, rachitycznego trójkołowca przypominającego bardziej rikszę niż samochód, było grubą przesadą. Ale faktem jest, że mógł budzić grozę u badeńskich wieśniaków i wozaków, pędząc 16 km na godz. i skrzypiąc metalowymi obręczami kół.

Prawo jazdy dla Karla Benza Wielki Książę spisał ręcznie na karcie papieru, umieszczając na dole fantazyjny zawijas.

Francuzi też chcą

O motoregulacjach myślano też we Francji. Już 14 sierpnia 1893 r. wprowadzono tam obowiązek posiadania tzw. certificat de capacité – certyfikatu zdolności, w tym wypadku zdolności poszczególnego kierowcy do prowadzenia pojazdu mechanicznego.

W przeciwieństwie do przepisów angielskich, kandydat do prowadzenia musiał wykazać się umiejętnością uruchomienia swojego pojazdu, udowodnienia, że potrafi prowadzić go „w odpowiednim kierunku" i zatrzymania go. Taki test musiał przejść pod okiem mundurowych na dziedzińcu Prefektury Policji w Paryżu.

Jednak powszechność posiadania dokumentu wprowadzono we Francji dopiero w 1922 r. Przy okazji określenie „certificat de capacité" zastąpiono terminem „permis de conduire", czyli nazwą odpowiadającą z grubsza dzisiejszemu prawu jazdy.

Lawina aut w Stanach

Z kolei pierwsze amerykańskie prawo jazdy wystawiono w 1899 r. w Troy, jednym z centrów ówczesnego amerykańskiego przemysłu stalowego, w stanie Nowy Jork. Miało formę, jak w przypadku Karla Benza, zwykłego listu podpisanego przez burmistrza i poświadczonego pieczęcią, który zezwalał na jazdę „powozem bez koni" z prędkością do sześciu mil na godzinę.

Podobne dokumenty wystawiano w innych stanach. Aby je otrzymać, nie trzeba było zdawać żadnego testu, ani teoretycznego, ani praktycznego – wystarczyło opłacić symboliczną opłatę. Egzaminy – w formie dość uproszczonej – pojawiły się dopiero ok. 1913 r. Cały proces koncesjonowania przebiegał dość wolno, zważywszy, że Stany Zjednoczone były już na drodze do motoryzacyjnej potęgi.

Statystyka podaje, że na przełomie XIX i XX w. za oceanem zarejestrowanych było 8 tys. aut. W 1903 r., gdy Anglia regulowała stan prawny kierowców, 33 tys. W 1906 r. po amerykańskich drogach śmigało już ponad 100 tys. aut, w 1913 r. ich liczba przekroczyła milion, a w 1920 r. osiem milionów.

Konsekwencjalizm

Spójrzmy na prawo jazdy przez pryzmat społeczny. Zdobycie dokumentu to nie tylko proces administracyjny, ale przede wszystkim świadome wejście w przestrzeń społeczną opartą na odpowiedzialności za skutki swoich czynów. Od strony filozofii prawa tę teorię na gruncie etyki normatywnej, obowiązującą dziś praktycznie na całym świecie, nazywamy konsekwencjalizmem.

Zmarły w 1997 r. amerykański filozof Richard B. Brandt w pracy „Etyka. Zagadnienia etyki normatywnej i metaetyki" wyróżnił dwa główne typy konsekwencjalizmu: egoistyczny, który nas w tym momencie nie interesuje, oraz uniwersalistyczny, wedle którego powinnością moralną jest dokonanie „takiego czynu, którego konsekwencją jest przyrost dobra w ogóle".

Prawo jazdy daje przywileje, ale wymaga odpowiedzialności. Z grubsza można to ująć następująco: „Chcesz jeździć samochodem – przestrzegaj obowiązujących przepisów". Droga jest przestrzenią publiczną, w której wolność jednostki jest rygorystycznie ograniczona. Z górą sto lat temu protestowali przeciw temu angielscy liberałowie, ale czas pokazał, że nie mieli racji.

Prawa jazdy w Polsce

Na koniec przypomnijmy, jak przebiegała recepcja idei praw jazdy w Polsce. Początkowo była to kalka pomysłów zachodnich. Ale już jesienią 1918 r. powstały pierwsze komisje egzaminacyjne dla kandydatów na kierowców. Zasiadali w nich członkowie automobilklubów, pasjonaci motoryzacji i wojskowi.

Pierwsze dokumenty miały wygląd małych, zielonych książeczek, zawierających dane osobowe kierowcy, datę uzyskania uprawnień i wykaz „przykazań" automobilisty. Przepisy dotyczące praw jazdy doprecyzowano w 1921 r., wraz z wejściem w życie pierwszego polskiego kodeksu drogowego – „Przepisów o ruchu pojazdów mechanicznych po drogach publicznych".

Już wówczas zamiłowanie Polaków do komplikacji administracyjnych było ogromne. Wprowadzono np. kategorię praw jazdy, zróżnicowanych od rodzaju pojazdu. Najniższa, V kategoria, upoważniała do prowadzenia motocykli, a posiadacz tzw. jedynki, czyli kategorii najwyższej, mógł prowadzić autobusy. W tym czasie Henry Ford wprowadził taśmową produkcję samochodów, a że Fordy T docierały również do Polski – powstała specjalna kategoria prawa jazdy – II B – która uprawniała do prowadzenia tylko tego modelu auta.

eprasa.pl 2b902aabc5

Krzyżówka panoramiczna

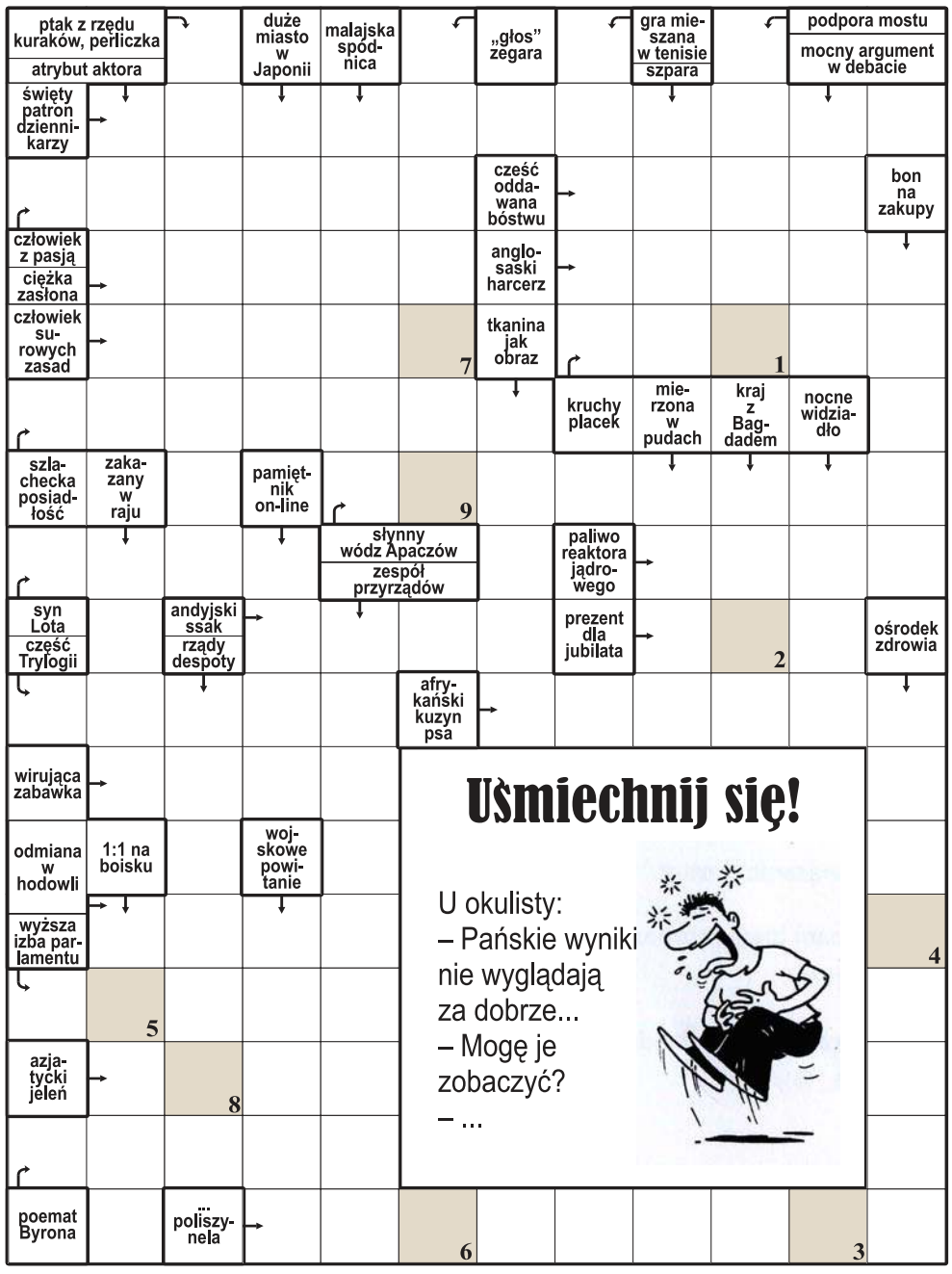

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 9 utworzą rozwiązanie: dokończenie dowcipu z okienka.

Krzyżówka A-Ż

Każdy odgadywany wyraz (w nawiasie liczba liter) zaczyna się literą poprzedzającą określenie. Miejsce wpisywania – do odgadnięcia. Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

A) dawniej dokument, załącznik (6).
B) dolna część twarzy (5).
C) bryka za krasulą po łące (6).
D) aktorka z filmu „Uwierz w ducha” (4,5).
E) król przed koronacją (5).
F) bezgranicznie utożsamia się z jakąś ideą (7).
G) maruda, grzebalski (8).
H) strunowy instrument szarpany (5).
I) Kwiatkowska, grała w „Czterdziestolatku” (5).
J) ... Robak z „Pana Tadeusza” (5).
K) ilasta skała osadowa o barwie białej (6).
L) mama Simby z kreskówki Disneya (5).
Ł) włóknista tkanka drzew i krzewów (4).
M) żona hinduskiego dostojnika (8).
N) gdy siła nas opuściła (6).
O) nakrycie na stół (5).
P) Walewska lub Bovary (4).
R) Szota, autor epopei „Rycerz w tygrysiej skórze” (9).
S) ludowe święto obchodzone w czasie letniego przesilenia Słońca (7).
T) ryba z rodziny łososiowatych (4).
U) państwo w Arfyce, na równiku (6).
W) działa na naszą szkodę (4).
Z) „... na kraterze”, powieść Wańkowicza (5).
Ż) stop odlewniczy (6).

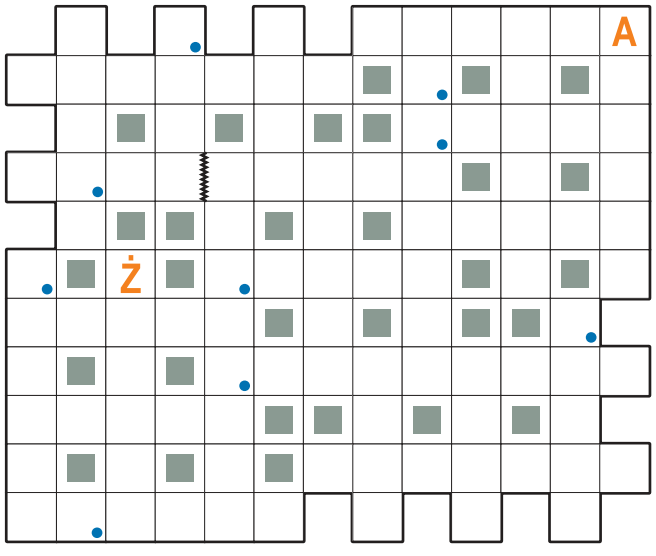

Krzyżówka z hasłem

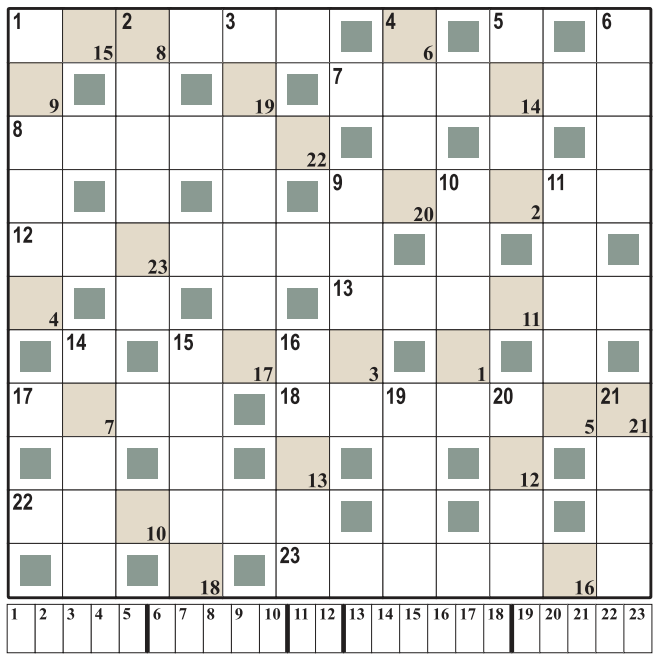

Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu od 1 do 23 utworzą rozwiązanie: myśl Eurypidesa.

Poziomo:
1) ziemniaczana lub rybna,
7) na pewno krzepi?,
8) ciężki koń pociągowy,
9) elegant, modniś,
12) jądrowy z prętami,
13) wybitny mówca,
15) sopran lub baryton,
17) łatwo topliwy metal,
18) narzędzie kopacza,
22) praktyczna lub teoretyczna,
23) rozsądek, roztropność.

Pionowo:
1) osoba godna naśladowania,
2) waga bagażu,
3) trzy miesiące,
4) dawna kopalnia soli,
5) gruby, mocny sznur,
6) ostrze włóczni,
9) wdowia moneta,
10) egzotyczne pnącze,
11) mityczna córka Tantala,
14) bania w ogrodzie,
15) zasłona w boksie,
16) słynna nagroda filmowa,
19) dokuczliwy chwast,
20) dawny wenecki VIP,
21) część karabinu.

Początek wpisywania odgadniętych wyrazów w polach z kreską, kierunek zegarowy. Litery w oznaczonych polach, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie: sentencję łacińską.

Duet jolek

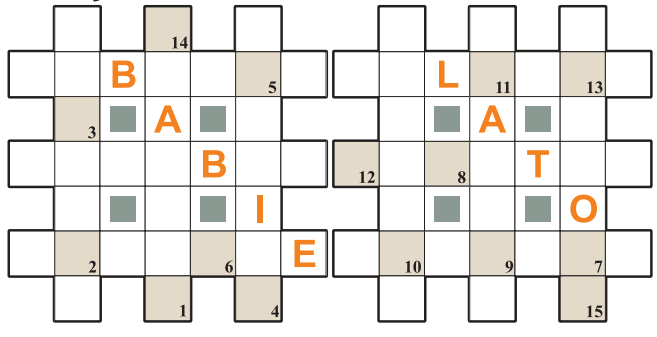

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 15 utworzą rozwiązanie.
W przypadkowej kolejności:
– imię Narutowicza
– dostojni obywatele miasta
– beza lub eklerka
– tatarski oddział zbrojny
– mieszkańcy pustyni
– krewniak, powinowaty
– hiszpańskie wino czerwone
– przysmak z zająca
– Paul, francuski malarz
– stateczne, szanowane kobiety
– „... zwany pożądaniem”
– znakomity muzyk

Logogryf

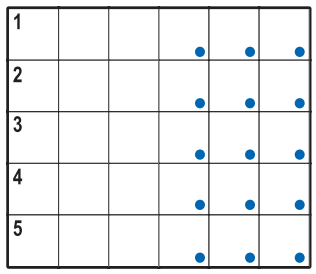

Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie: imię i nazwisko aktorki.
1) artystyczny gatunek grafiki użytkowej,
2) człowiek o wielkiej sile fizycznej, atleta,
3) biegłość nabyta przez lata praktyki,
4) turystyczna kuchenka spirytusowa,
5) siedzi na koźle.

Szyfr

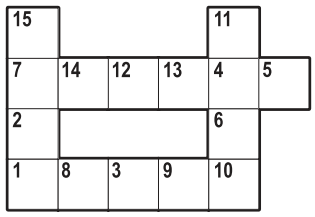

Litery z pól od 1 do 15 utworzą rozwiązanie: imię i nazwisko aktora.
Poziomo:
7) niewielki - wypity z butelki,
1) pysk psa lub krowy.

Pionowo:
15) nieprawda, łgarstwo (dawniej),
11) podwodny wał piasku.

Krzyżówka

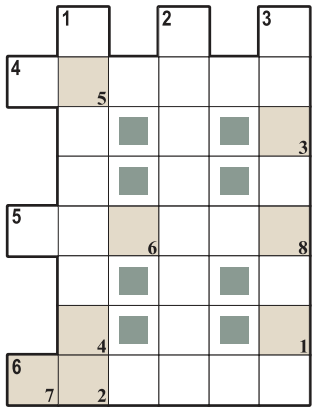

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 8, utworzą rozwiązanie.
Poziomo:
4, 5, 6) powóz konny.

Pionowo:
1) kraj z Ułan Bator,
2) hiszpański taniec ludowy z kastanietami,
3) wskazuje kierunek.

Rozwiązania

Krzyżówka panoramiczna: Racze; **krzyżówka A-Ż:** przechera; **krzyżówka z hasłem:** Nasze życie to ciągła walka; **wirówka panoramiczna:** Ufaj, lecz baczkomu; **duet jolek:** Jesienne klimaty; **logogryf:** Katarzyna Herman; **szyfr:** Marek Włodarczyk; **krzyżówka:** karioka.

eprasa.pl 2b902aabc5

SPORT

Adrian Rzeźnik: Byłbym załamany, gdyby mi to mistrzostwo uciekło

Gdy okazało się, że wygrałem, że jestem pierwszy, wszyscy w zespole mieli łzy w oczach. Moje też zrobiły się wilgotne – mówi 19-letni Adrian Rzeźnik (Orlen Team), rzeszowski kierowca, najmłodszy w historii zwycięzca Rajdowych Samochodowych Mistrzostw Polski.

Tomasz Ryzner

FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Adrian Rzeźnik jest najmłodszym kierowcą, który triumfował w Rajdowych Samochodowych Mistrzostwach Polski. – Drugie miejsce mnie kompletnie nie interesowało – zapewnia Adrian Rzeźnik, od kilku dni mistrz Polski.

Odpoczywasz?

Na razie mam obowiązki sponsorskie. Prawie codziennie coś jest.

Ciągle jesteś nastolatkiem. Może nie potrzebujesz odpoczynku?

Potrzebuję. Planuję wyjechać w jakieś ciepłe miejsce, popływać, poleżeć na słońcu. Jeżdżę tu i tam, także za granicę, ale to nie są podróże. Od czasu do czasu chciałbym się poczuć jak zwyczajny turysta.

No to do rzeczy. Przed Rajdem Wisły miałeś punkt przewagi na braćmi Szejami, tyle co nic. Oni pochodzą z Ustronia, znali teren, ty nie. Musiało ci wystarczyć tak zwane zapoznanie z trasą. Miałeś po nim dobre przeczucia?

Mieszane. Wyszło mi, że 60 procent trasy jest okej, ale pozostałe 40 procent już nie bardzo. Były tam odcinki szutrowe, inne pokryte jakimiś starymi płytami, rozwalonym asfaltem. Idealne miejsca, żeby złapać kapcia. Nie wiedziałem, czego się spodziewać.

Jak się relaksowałeś przed startem? Słuchałeś muzyki?

Przed pierwszym rajdem w sezonie założyłem słuchawki, później z tego zrezygnowałem, ale mogę powiedzieć, że zanim w Wiśle ruszyłem na trasę, grała mi w głowie piosenka „Po swoje" Belwedera.

Po pierwszym dniu rajdu byłeś już jedną nogą na najwyższym stopniu podium. Seria wygranych odcinków dała ci 34 sekundy przewagi nad drugim miejscem. Idealny dzień, jazda bez przygód?

Można tak powiedzieć. Samochód został świetnie ustawiony, mogłem cisnąć, jechać swoim tempem. Ostatni OS odbył się po zachodzie słońca. Przydały się wtedy specjalne okulary, które dostałem od taty (Maciej Rzeźnik to były rajdowy wicemistrz Polski, zwycięzca Rajdu Rzeszowskiego – red.).

?

Mają żółte szkła, trochę rozjaśniają obraz. Czułem się za kierownicą trochę tak, jakbym grał w grę komputerową z serii WRC.

W drugim dniu to bracia Szejowie wygrywali kolejne oesy, a twoja przewaga topniała. Było nerwowo?

Nie od razu, choć na pierwszy odcinek wjechałem na nierozgrzanych oponach. Tak się złożyło, że nie było na to dość czasu. Zacząłem tracić, ale po pierwszej pętli wciąż mieliśmy 25 sekund przewagi. To dużo. Byłem spokojny.

Zaliczka nadal się jednak zmniejszała.

Niechcący w tym pomogłem. Na jednym z szutrowych odcinków za późno zahamowałem, przód auta wyleciał z trasy, trzeba było cofać. Trwało to z 11-12 sekund. Na kolejnym oesie Jarosław Szeja pojechał na dużym ryzyku, więc przewaga znów się zmniejszyła.

Przed finałowym odcinkiem zmalała do 6,2 sekundy. W tym momencie spokojny już raczej nie byłeś...

Nie było szans, pojawiły się grube emocje. Trudno to opisać, miałem milion myśli. Dobre było to, że było około godziny przerwy, zanim trzeba było wyjechać na ostatni OS. Mieliśmy czas na analizę sytuacji. Co mogę dodać, podjęliśmy rękawicę, wróciliśmy do jazdy z pierwszego dnia rajdu i wygraliśmy ten Power Stage. Na koniec przewaga wyniosła 7 sekund „z groszami".

Co było potem?

Jedne rzeczy pamiętam, drugie nie bardzo. Każdy w zespole miał łzy w oczach, moje też się zrobiły wilgotne. Jeszcze gdy byłem w samochodzie, pojawiły się kamery, mikrofony. Trzeba było coś na gorąco powiedzieć. To właśnie nie bardzo pamiętam, ale mówiłem chyba do rzeczy (śmiech).

Ktoś powiedział coś, co zapadło ci w pamięć?

Filip Nivette, który jest moim nauczycielem i przyjacielem, wysłał SMS-a „witaj w gronie mistrzów". Gdy sam zdobył mistrzostwo Polski (w 2017 roku - red), dostał identyczną wiadomość od Łukasza Habaja (MP w 2015 roku – red.). Miał nadzieję, że będzie mógł kiedyś zrobić to samo. Miła rzecz.

Była impreza po rajdzie?

Było spotkanie z zespołem niedaleko od Wisły.

Sprawiłeś sobie w Wiśle wymarzony prezent na urodziny. We wtorek kończysz 20 lat. Jakieś plany na ten dzień?

Nic szczególnego na razie nie planuję. Może coś się urodzi z marszu.

Andrzej Rosiewicz śpiewał, że „czterdzieści lat minęło jak jeden dzień". Dwadzieścia mija chyba wolniej...

Na początku pewnie tak, ale od piętnastego roku życia czas bardzo przyspieszył. Sporo się dzieje i nie pamiętam, kiedy przeleciało ostatnie pięć lat.

Wyhamujesz teraz ze startami?

Generalnie tak, ale w grudniu chcemy wystartować w Rajdzie Barbórka.

Mówisz w liczbie mnogiej, co mi przypomina, że nie jechałeś po mistrzostwo sam. Powiedz kilka słów o Kamilu Kozdroniu, twoim pilocie.

Ma dużą odwagę, skoro jeździ ze mną. Poważnie mówiąc, jest pracowity, profesjonalny, a przy tym to pozytywny, otwarty człowiek. Jest taki, jak to widać na zdjęciach.

A jakbyś siebie opisał?

Jestem szczery, mówię, co myślę. Pewnie nie zawsze warto takim być, ale w sporcie jest to raczej zaleta.

To powiedz na koniec jeszcze coś od serca.

Nie byłoby tego sukcesu, gdyby nie wsparcie rodziny, mojego taty, Filipa Nivette, Grzegorza Grzyba, całego zespołu, naszych partnerów. Muszę też dodać, że kompletnie mnie nie interesowało drugie miejsce.

Lubisz powiedzenie, że „drugi to pierwszy z przegranych".

Bo tak to widzę. Byłbym zły, gdybym wypuścił to mistrzostwo z rąk. Zły to zresztą za słabe słowo. Byłbym załamany. ©℗

eprasa.pl 2b902aabc5

HISTORIA DARIUSZ ANDRZEJ CZAJA PRZYBLIŻA CZYTELNIKOM DZIEJE PRZEDWOJENNEJ PIŁKI NOŻNEJ W MIEŚCIE

O początkach futbolu w Głogowie

RED
Głogów

Pierwszym sformalizowanym klubem piłkarskim w przedwojennym mieście był SC Preussien Glogau. Klub założony został 1 marca 1911 roku.

Około 20 młodych mężczyzn uregulowało wtedy zasady funkcjonowania grającej do tej pory rekreacyjnie drużyny. Co ciekawe, zdecydowaną większość grupy założycielskiej nie stanowili Głogowianie.

Powstały zespół piłkarski początkowo trenował i rozgrywał swoje mecze na wydzielanej części placu defiladowego przy Viktoriastrasse (dziś ul. Piastowska), na którym bramki musiały być demontowane po meczu. Grano też na boisku przy Schützenhaus (dziś ul. Topolowa) a od sierpnia 1927 roku, po uruchomieniu stadionu miejskiego, już przy Bismarckstraße (dziś Wita Stwosza).

Drużyna mogła liczyć na wiernych kibiców, którzy licznie oglądali jej występy przeciwko zespołom z regionu, m.in.: z Zielonej Góry, Chojnowa, Nowej Soli, Jawora, Wałbrzycha oraz kilku zespołów z Legnicy i Wrocławia. Przez pewien czas w Głogowie funkcjonowały też inne drużyny piłkarskie, z którym zawodnicy SC Preussien rywalizowali nie tylko w meczach towarzyskich ale i ligowych. Zresztą pierwszy mecz zespołu – jeszcze nie sformalizowanego jako klub sportowy – miał odbyć się już w 1861 roku (!) a przeciwnikiem była drużyna z głogowskiego klubu gimnastycznego.

W klubie od początku grali też żołnierze z miejscowego garnizonu, którzy trafiali do naszego miasta w ramach służby wojskowej.

FOT. ARCHIWUM/DARIUSZ CZAJA

Okolicznościowa wpinka z herbem klubu z 1911 roku

Po latach część z nich kontynuowała kariery piłkarskie w innych niemieckich zespołach. Do wybuchu I wojny światowej w 1914 roku, SC Preussien dwukrotnie zdobyło mistrzostwo regionu. Klub liczył wówczas 110 członków a funkcjonowało w nim kilka sekcji, w tym młodzieżowe. Systematyczny rozwój klubu zachwiał wybuch wspomnianego konfliktu, kiedy to ok. 90 członków klubu zostało zmobilizowanych do armii niemieckiej. Większość z nich nie wróciła już z pól bitewnych.

Działalność klubu reaktywowano wiosną 1919 roku, wtedy też wznowione zostały rozgrywki piłkarskie. Prezesem klubu został Bruno Langer, którego w 1922 roku zastąpił Kurt Scheinichen. Następnie od 1927 roku funkcję tę sprawował Carl-Heinz Döpke, a od 1933 roku prezesem był Adolf Motzigkeit. Znany w mieście jako „Motz", kierował klubem do stycznia 1945 roku. W klubie działały też inne sekcje, m.in. lekkoatletyczna, piłki ręcznej (w tym kobiet) i boksu.

Największym sukcesem SC Preussien jest trzykrotne wicemistrzostwo Dolnego Śląska (1927,1930,1931). Od 1933 roku klub grał w drugiej lidze Dolnego Śląska, awansując w 1943 roku do rozgrywek Gauliga Niederschlesien, jednak w sezonie 1943/44 drużyna, z powodu trudności wojennych, została wycofana z rozgrywek.

W 1953 roku odbyło się w Hanowerze (w którym osiedlili się po wojnie liczni niemieccy Głogowianie) pierwsze spotkanie żyjących członków nadodrzańskiego klubu. Z kolei 2 lata później, znany klub piłkarski Hanower 96, objął patronat nad klubem SC Preussien i jego działaczami.

Dziś reprezentacja gra o głowę selekcjonera Jana Urbana

RED
Warszawa

Polska reprezentacja piłkarska zmierzy się dziś z Rumunią w Lidze Narodów. Po kilku słabych meczach posada Jana Urbana nie jest pewna. Ocali stołek?

FOT. SYLWIA DĄBROWA

Po klęsce ze Szwedami strapiona mina Jana Urbana nikogo nie powinna dziwić

Specjalizujący się w polskim futbolu serwis Gol24 przeprowadził sondaż wśród czytelników, w którym postawiono pytanie, czy trener Urban powinien pożegnać się z posadą w kadrze. Wynik ankiety - a wydaje się, że blisko 2 tys. respondentów to reprezentatywna grupa - okazał się jednoznacznie niekorzystny dla selekcjonera. Otóż 62 proc. głosujących domaga się jego ustąpienia.

Jeśli weźmiemy pod uwagę rezultaty kadry pod wodzą Urbana, wydźwięk sondażu nie powinien nikogo dziwić. Ostatnie zwycięstwo Biało -Czerwoni odnieśli przecież w marcowym półfinale barażu o mundial z Albanią (2:1), ale wówczas - delikatnie określając - także stylem nie zachwycili. A potem były już tylko niesatysfakcjonujące wyniki (2:3 ze Szwecją, 0:2 z Ukrainą, szczęśliwe 2:2 z Nigerią, 0:0 z Bośnią i Hercegowiną oraz 1:3 ze Szwecją) i rozczarowująca gra.

Generalnie pod wodzą Urbana rozegraliśmy dotąd 12 spotkań, w których zanotowaliśmy 5 wygranych (przy trzech porażkach). Warto jednak zauważyć, że wszystkie zwycięstwa zostały odniesione w rywalizacji z przeciwnikami plasującymi się poniżej 60. miejsca w rankingu FIFA.

Piłkarze ręczni zwyciężyli po fantastycznej walce

RED
Głogów

To była walka od pierwszego podania. Obie drużyny rzuciły się na siebie z impetem, ale to gospodarze zadawali więcej celnych ciosów. I ostatecznie dopięli swego.

KGHM Chrobry grał pewniej, odważniej i bardziej zdecydowanie. Przy świetnie funkcjonującej defensywie głogowian Wybrzeże musiało się mocno postarać, aby wypracować sobie pozycję rzutową.

Końcówka pierwszej połowy to prawdziwa walka na przysłowiowe gołe pięści i wynik 17:14 do szatni. Jeśli komuś podobała się pierwsza połowa tego meczu, to druga musiała rzucić na kolana! Goście błyskawicznie doprowadzili do remisu, rzucając trzy razy z rzędu. Worek z bramkami dla gospodarzy otworzył Paterek, zdobywca w tym spotkaniu 9 trafień!

Ciosy padały na zmianę i żaden z zespołów nie odpuszczał. Gdańszczanie gonili wynik, ale tego dnia było ich stać co najwyżej na remis, bo ani razu w tym spotkaniu nie prowadzili.

Mecz rozstrzygnął się w 60 min., bo to przez ostatnie 60 sekund padły trzy bramki, decydujące o wyniku spotkania. Kiedy wydawało się, że skończy się karnymi, głogowianie wznowili grę tak szybko, że Wybrzeże nie zdążyło zareagować i Adamski G do bramki gości z połowy boiska. KGHM Chrobry nadal pozostaje niezwyciężony w lidze.

KGHM CHROBRY GŁOGÓW - PGE WYBRZEŻE GDAŃSK 32:31 (17:14)

KGHM Chrobry: Stachera, Dereviankin - Stolarski 1, Zieniewicz, Żyszkiewicz 2, Kosznik 2, Orpik 1, Dadej 1, Adamski 5, Styrcz 4, Mosiołek 3, Paterek 9, Komarzewski 2, Skiba, Pavlovskyi 2
PGE Wybrzeże: Zembrzycki, Poźniak - Będzikowski 1, Czapliński 8, Czertowicz 2, Gębala 4, Michałowicz 5, Morkovsky 3, Pepliński, Poźniak, Siekierka2, Stępień 3, Thordvaldsson 1, Tomczak 2, Walczak, Zmavc

FOT. KLUB

Gospodarze wygrali po wyrównanym pojedynku

eprasa.pl 2b902aabc5

REKLAMA 0011589842

MATERNA FERMA

SKUP ZBÓŻ

ROWNIEŻ MOKRA KUKURYDZA
SOJA • SŁONECZNIK

ERGO-ROL Sp.z o.o.

513 675 365

NASZE ELEWATORY:
Kiełpiny 57 k.Wolsztyna
Bojadła ul.Kolejowa 11e
Marianki 8, Konotop

- MOŻLIWOŚĆ ODBIORU WŁASNYM TRANSPORTEM
- USŁUGA ZBIORU MOKREJ KUKURYDZY
- SZYBKI PRZELEW

AKTUALNE CENY: www.fermamaterna.pl

eprasa.pl 2b902aabc5